

Józef Ignacy Kraszewski

# JELITA

*Legenda herbowa  
z roku 1331*

Tom I

Elibron Classics

Józef Ignacy Kraszewski

## **JELITA**

*Panu Gracjanowi Ungrowi*

*wdzięczny autor*

Drezno, 1 stycznia 1881

## **TOM PIERWSZY**

### **I**

Pora była jesienna, jeszcze letnim ciepłem ogrzana; na polach stały tam tylko nie pozwożone do brogów i stodół kopy, gdzie duchowieństwo dziesięciny z nich swojej nie oddzieliło.

Mało który zagon pochylonym od wiatru i deszczów zbożem był okryty. Na skoszonych łąkach pasło się bydło swobodnie, na ścierniach rozproszone czerniały owce. Wśród żółtych pól, pasami zorane na przyszłą siejbę widać było role czarne, nad którymi ulatywało ptactwo szukające w świeżej ziemi robaczego żeru.

Na niebiesiech jeszcze jesień nie rozwiesiła była szarych opon deszczowych, porozrywane tylko obłoki przesuwały się po bladym błękitcie, złotymi i pomarańczowymi bramowane pasami słonecznych promieni. Wiejska cisza otulała osadę wielką, z dala lasami otoczoną.

Siedziała ona tu zakryta od napaści nieprzyjaciela, który tak często kraj niszczył i pustoszył, bo nigdzie koło niej zgliszcz widać nie było, a chaty czas miały postarzeć w spokoju.

W pośrodku na wzgórzu, opasany wałem porośłym zielenią, a obwarowanym częstokołem, rozsiadał się dwór duży, drewniany, z dachem wysokim. Brama wyższa jeszcze od niego wjazd wskazywała. Stała ona teraz otworem.

W podwórzu dosyć pustym, wśród którego studnia z żurawiem i korytami najwidniejszą była, rozłożyły się wozy jakieś, od których konie odprzęgano. Jezdni zsiadali, gwarno było i czeladzi dużo, wybiegłszy z szop, kręciło się pospiesznie około dworu.

Włodarz miejscowy, w długiej opończy podpasanej rzemieniem, w czarnych skórzniach, z twarzą ogorzałą, z długimi włosy spadającymi na ramiona, czapkę wysoką w rękę trzymając, w drugim kij biały, zdawał się zajęty i zakłopotany ugaszczaniem przyjezdnych. Spadli tu widać niespodziewani, bo wszystko się koło nich kręciło, potraciwszy głowy.

Dwór pański, który w podwórzu się rozglądał, wcale był wspaniały i znamionował

dostatniego człeka. Kilkudziesięciu zbrojnych w nie lada oręż, na koniach dobrych i strojnych, wozów kilka, odzież czeladzi barwna, postawy dworu i żołnierza dumne a rzezkie mogły bodaj udzielnego książątka w podróży kazać się domyślać.

Gospodarowało tu owo rycerstwo jakby w domu. Jeden, starszy widać nad orężnymi, do włodarza nakazująco przemawiał, a ten, czapki nie nakładając, zafrasowany czeladź popędzał.

Trzeba było pomieścić ludzi i konie, na wypadek słoty kędyś pod dach zaciągnąć wozy, choć one skórąmi ponakrywane były, w ostatku garść tę znużoną i zgłodniałą karmić i poić. Włodarza też głos ochrypły a krzykliwy co chwila nawoływał parobków, a ci biegali, to i owo chwytając postraszeni. Jeden pochwycił już był żuraw i, stanąwszy na zrębie studni, co rychlej wodę w koryta nalewał, bo konie spragnione do suchych się cisnęły; drugi siano z szopy ciągnął. Rycerstwo nakrzykiwało i klęło.

Ten sam ruch widać było przy dworze, którego drzwi wszystkie otworem stały i okna były odsunięte. Lecz tu, oprócz czeladzi, przybyłych gości nie widać było.

W sieniach dwu zbrojnych spoczywało na ławie, żelazne hełmy pozdejmowawszy z głowy; siedzieli znużeni, nic nie mówiąc do siebie. W izbie sąsiedniej, której drzwi nie zamknięte były, tylko przywarte, dawał się słyszeć krok ciężki mężczyzny, który z wolna, dziwnie się jakoś poruszał. Po tym chodzie znać było, jak by go droga odbyta nie uspokoiła i nie znużyła. Zbrojni, co słuchali pode drzwiami, spoglądali czasem na siebie, jak by się pytali, co on robi.

W istocie ktoś tam się poruszał jakby bez myśli, a pod władzą uczucia, co nim miotało.

Szedł to żywo bardzo i jak by pędził za czymś, to stawał nieporuszony, to włókł się, nogi za sobą ciężkie pociągając. Ruchom tym towarzyszył to szczeł oręża, który musiał mieć na sobie, to dychanie piersi zmordowanej. Czasami przysiadł ciężko na ławę. Słysząc było uginające się pod nim suche drzewo, to wstawał pospiesznie i biegał po izbicy, zbliżając się ku drzwiom samym i oddalając w drugi koniec, skąd głucho stapania dochodziły.

Orężna straż, ile razy się przysunął ku drzwiom, zdawała się gotować do powstania, a gdy się nie doczekała pana, opadała znużona, swobodniej oddychając.

Tymczasem w podwórzu orszak pański zabierał się na nocny spoczynek, bo wieczór nadchodził.

W chacie stojącej niedaleko dworu baby już roznieciły były ognisko wielkie, widne przez

drzwi roztwarte, którymi dym wilgotnych, nagle podpalonych polan wychodził kłębamii. W drugiej obok, gdzie łaźnia była, także parobcy co rychlej nakładali drzewo, aby dla podróżnych, choć późno,

kąpiel była gotowa.

Z wolna słońce blade spuszczało się, poza chmurami przeświecając ku zachodowi. Od wsi dochodził teraz gwar i beczenia a ryk trzód, które z pastwisk powracały. Z dala u stawu kołatał młyn. Stada kaczek sznurami i gromadami przeciągały na błota.

Z izby, po której się przechadzał przybyły pan czy gość, niekiedy przez okno odsunięte, otwarte, pokazywała się głowa. Ile razy ona wyszła z tych ram, na ciemnym tle głębi izby, ci, co w podwórzu stali, a ujrzeli ją — jak by po nich mrowie przechodziło, prostowali się, milkli, stawali pokorni i gotowi na skinienie.

Była to głowa, która na lada ramionach siedzieć nie mogła, ni do lada kogo należeć. Pańskie oblicze, groźne, straszne, piękne razem i trwozę wrażliwe. Dwoje oczów siwych, ale bladym wejrzeniem zimnym przeszywających, nos orli, czoło wysokie, usta ściśnięte, policzki blade, zorane już bruzdami trosk i lat. Dokoła włos bujny, siwiejący.

Z ust dziwnie złożonych, niby do uśmiechu i kąsania razem, duma, pycha, panowania siła i żądza dyszeć się zdawały. Gdy wargi te zadrgały, a oczy im szarym blaskiem swym szklannym zawtórowały — najmężniejszy poczuł trwozę, która czeladź na widok tego bladego oblicza

przejmowała.

Głowa ta wysuwała się nagle, jak popchnięta czymś ze środka, ale nie spoglądała na ludzi, co się nią czuli zagrożeni — patrzała gdzieś w dal, jakby wyczekiwała i nasłuchiwała... Chwilę tak malowała się na czarnym tle, z dwojgiem rąk silnych, spartych na zrębie okna, i ginęła w mroku.

Naówczas straż siedząca na ławie w sieni słyszała znowu chód niecierpliwy, chrzęst i stękanie...

Zmierzchać zaczynało, gdy z dala ziemia zadrgała, jakby od kopyt końskich.

Zbrojni ludzie u studni pozwracali oczy ku gościńcowi i głowa w oknie błysnęła. Stała, nie chowając się długo do głębi. Rękę przyłożył nasłuchujący do ucha, czekał...

Słysząc było kłusem nadjeżdżających, których za drzewy i budowlami widać jeszcze nie

było. Zbliżali się. Rozeznawali już w podwórzu nie tętent pędzonego stada, co się płosząc rozpędza, ale mierzone kroki gromadki ludzi, których konie nawykły iść razem. Szczękało jakby żelazo. Chód był ciężki.

Głowa w oknie poruszała się żywo, wychyliła więcej jeszcze. Zza opłotków ukazały się żelazne hełmy spiczaste i dzid kilka. Patrzący znikł, odbiegłszy stanowiska.

Kilkanaście koni zmierzało ku wrotom otwartym. Przodem jechał w pięknej zbroi

czarnowłosy, silnie zbudowany mąż, na koniu ciężkim i spoconym. Żelazem był okryty na pół, choć w podróży, obyczajem tych, co go nigdy nie zwykli byli zrzucić, aby ramion nie oduczać od rycerskiego brzemienia. Za nim tuż pachole tarcz wiozło i miecz, a dalej zbrojni, wąsaci, zarośli, chłop w chłopa ludzie dobrani a rośli, różnie pouzbrajani, pędzili na koniach postrojonych, jak kogo stało, w rzemieńne i mosiężne rzędziki.

Na tarczy, którą pachole wiozło, i na hełmie u tego, co przodem jechał, widać było znamię zawołania, chustę białą, zwiniętą, ze spuszczonej końcami. Po znaku tym ludzie w podwórzu musieli się domyślać kogoś, bo między sobą żwawo szeptać zaczęli, rozstępując się i drogę wolną czyniąc przyjezdnym.

Jadący na przedzie, zobaczywszy orszak u studni, trochę żywiej podjechał pod dwór i,

osadziwszy konia, zsiadł z niego nie troszcząc się oń, bo już pachole u cugli stało. Sam krokiem pospiesznym wbiegł, ledwie na straż w sieni spojrzawszy, która, zobaczywszy go, powstała, i drzwi do izby otworzył, gdzie w progu czekał nań wcześniej przybyły.

Ten, któregośmy siwą głowę tylko widzieli w oknie, stał teraz cały, czekając na gościa,

jeszcze z podróźnej zbroi nie rozdziawszy się, przy mieczu, głowę tylko mając od hełmu

wyswobodzoną, który na stole wśród izby rzucony świecił blaskiem, jaki okno nań ciskało.

Spojrzeli sobie w oczy i przybyły rękę wyciągnął ku siwemu gospodarzowi. Nie powiedzieli słowa do siebie, oczyma mierząc się tylko.

— Bóg płac — głuchym, stłumionym głosem odezwał się wreszcie siwy mąż. — Bóg płac,

żeście przybyli. Sroga potrzeba była rozmowy...

Postąpili kilka kroków ku przodkowi wielkiej a pustej izbicy. Czysta ona była, ale snadź

dawno nie zamieszkiwana, bo w niej okrom niezbędnego sprzętu, ław i stołu, jakby wrosłego w podłogę, nie było nic. Na stole hełm się świecił i dzban stał a kubek. Na ławie leżał płaszcz ciśnięty od niechcenia.

— Biegłem, jakom mógł i co sił starczyło, do Pomorzan — począł teraz, hełm zdejmując i

czoło ocierając z potu przybyły. — Poseł wasz mi napędził strachu, bo mi na łeb spieszyć kazał do was. Obawiałem się zastać tu co złego.

— I niceś tu dobrego nie zastał — odparł głosem drżącym siwy.

— Cóż? wojna? Krzyżacy znowu na karku. Nie nowina to — odezwał się gość. — Jeżeli ich

nie mamy, zawsze się ich spodziewamy. Rozejm pono wypowiedziany, więc już niszczą pewnie w Mazowszu albo gdzie na granicy.

— Krzyżacy! Krzyżacy! — z gorzkim uśmiechem żywiej coraz począł siwy. — Toć chleb powszedni — nie byłoby po co was wołać na nich.

Potań czoło i urwał, a po chwili, silnie się w piersi bijąc, krzyknął.

— Nie o to dziś idzie, ale o mnie i o wszystkich nas, i o tę ziemię wielkopolską całą, która przepadnie.

— Jak to? — odparł zdziwiony gość.

— Tak, jak mówię — unosząc się ciągnął dalej siwy. — Nadeszła ta godzina, że jej bronić potrzeba.

— Od kogo? — zdumiony spytał stojąc gość.

Siwy, którego kilka słów wyrzeczonych już o jakieś roznamiętnienie przyprawiły, drżał, nie mogąc czy nie śmiejąc powiedzieć, co myślał.

— Rozgoście no się — rzekł hamując — pomówimy o tym, bo mówić o czym jest, na

Boga miłego! Spocznicie z drogi, siadajcie. Ja też ledwiem z konia zsiadł, ale we mnie wre wszystko... jeszczem nawet tchnąć nie mógł.

— Straszycie mnie! — rzekł, spokojnie miecz odpasując, gość. — Ani mogę odgadnąć, o co idzie i co was tak zaniepokoiło.

— Chybabyś kamiennym był — zakrzyknął siwy — abyś jak ja nie zakipiał, gdy ci rozpowiadać zacznę. Ale gościem mi jesteście, synowcze miły; naprzód trzeba po podróży ciało pokrzepić.

Klasnął w ręce. Wszedł jeden z siedzących u drzwi.

— Jeść i pić niech dadzą, co mają — zawołał — a nie opieszale! Włodarza pędzić, aby nas nie morzył głodem! W dzbanie woda tylko!

Wszedł zbrojny. Gość się tymczasem ze zbroi powoli rozdziewał i ręce wyciągał, a nogi prostował. Ciemne swe włosy rękami poprawił i na tył głowy zarzucił. Twarz jego wyszła teraz w całym blasku.

Gdyby nie wieku różnica i nie to, co on zawsze po sobie zostawia, gdyby nie życia zapisane ślady, twarz siwego do tej młodszej byłaby wielce podobną. Rysy mieli też same, lecz wyraz ich był różny. Ciemnowłosy miał coś rycerskiego, butnego a lekceważącego w sobie, zwiastującego, że życie brał

po prostu, szedł jawnie do celu, a mówił, jak myślał. I gdyby zgrzeszył, byłby grzech swój wyznał. Starszy tę butę miał już przerobioną na dumę niezmierną, drażliwą, chorobliwie bolejącą, niespokojną... W tej chwili była ona jak rana rozdarta — tknąć jej nie można było.

Wrzenie wewnętrzne zdradzało się poruszeniami i wzrokiem obłąkanym a ostrym.

Nie rozpoczęli jeszcze rozmowy, gdy już czeladź żeńska i męska, tak po prostu odziana, jak ją tu niespodziani goście zastali, wnosić poczęła jadło niewykwintne, mięsiwa pieczone, polewki, jaja, kaszę, a do nich piwo i miód.

Oba do wojaczki i myślistwa nawykli, niewybredni, rzucili się na ten posiłek chciwie. Lecz starszy, szybko zaspokoiwszy głód, rychło porzucił jedzenie, nóż swój otarł, ręce obmył i począł po izbie się przechadzać zasępiony. Dłużej u stołu pozostał gość, oczyma ścigając gospodarza i przekąsając powoli.

Stróż tymczasem w kominie ogień wieczorny naniecił, a gdy dojadł gość, zebrano misy i

zostawiono tylko miód i kubki. Starszy popijał coraz, lecz w taki sposób, jak by sam nie wiedział, co czynił. Zaprzątnięty był czym innym.

— Miły stryju — odezwał się, na próżno wyczekawszy, by mówić począł, czarnowłosy — czekam na to, coście mi mieli rzec i po co wezwany byłem tak pilno.

Siwy się namarszczywszy stanął i począł patrzeć nań.

— Obaśmy Świdwy — począł — tyś syn brata mojego, a dziś, gdy jego na świecie nie ma,

tyś drugiej gałęzi naszego rodu, zawołania Nałęczów, głową. Nie z Dobkiem chciałem mówić, a z Nałęczem i tymi, co z nim idą.

— Wiecie — odparł Dobek spokojnie — że dotąd po bożemu ród nasz zawsze, w złej i dobrej doli, spójny był i jako snop związany. Nie rozwiąże on się i teraz.

— Wszystkich bo nam sił trzeba, aby się nie dać pognębić — zawołał stary Świdwa.

Dobek słuchał, jak by nie rozumiał.

— Ojczaszku — rzekł łagodnie — bom ja od śmierci pana rodzica mojego tak was nawykł

zwać — ojczaszku, cóż nam zagrażać może? Dzięki Bogu stanęliście z łaski pana a króla naszego tak wysoko, że całym krajem władacie. Wielkopolską rządzicie, panem jej jesteście.

Stary zachnął się cały.

— Tak, tak! Mówisz o tym, co było — zakrzyknął — a co nie jest! Tak, król mi oddał

wielkorządy w Polsce, bo ja mu ten kraj dałem, jam mu go ocalił, jam wyrwał z rąk Szlązaków.

Należało mi się to — i więcej... Gdyby nie ja, dawno by stracił Poznań i Gniezno. Dał mi wielkorządy, bo musiał i był powinien.

Zapalał się stary.

— Nie tylko mnie — ciągnął dalej — ale dzieciom moim Wielkopolska należała. Gdyby nie ja, nie miałby jej Łoktek dawno... Na tom rachował, zem tu dla siebie pracował, nie dla niego.

Byłbym koronie jego hołdował, z nią trzymał, służył mu, ale w kraju tym, który już za swój uważałem, com robił, to była moja sprawa. Jam tu panem powinien być pozostać... jak inni...

Tu stary połknął snadź nazwisko pomorskich panków, które chciał wymówić.

Dobek słuchał, coraz poważniej.

— Teraz, jeżeli ja nie opatrzę się w czas, co czynić — mówił Świdwa — stracone

wszystko... Jaki mi koniec gotuje ten chytry starzec — któż przewidzi. Jestem dla niego kamieniem na drodze, solą w oku. Chciwy, pochłonałby wszystko, gdy tego, co ma, utrzymać mu trudno.

Czeski król Jan, Krzyżacy, Mazury, wszystko przeciwko niemu. Zamiast bronić Krakowa on sięga po Wielkopolskę.

Zaczął się śmiać szydersko.

— Ojczaszku — odparł z cicha Dobek — aleć bo to przecie jego dzielnica, przecie on koronowany król nasz...

— Tak, tak! koronowany! — śmiał się Świdwa. — Korony ja mu z głowy nie zdejmuję, ale

w Poznaniu ja pan. Hołdu mu nie odmawiam, a wyrzucić się nie dam. Jużem zaraz podejrzewał złe zamiary, gdy tu młodego Kaźmirza z żoną wysłał na mieszkanie do mnie. Teraz mu już

wielkorządy oddaje, a ja wojewodą mam pod nim być, więcej nic? Z zamkiem się dla królewicza wynosić musiał precz. Rozumiesz ty to?

Patrzył na Dobka, który wcale nie okazywał wzruszenia.

— Ojczaszku — począł uspokajająco — rozumiem ci ja, że tobie, coś tu długie lata jakby

udzielnym był księżęciem, teraz pod rozkazy iść dwudziestoletniego młodzieniaszka może przykro, ale, miły panie, syn to królewski, ziemia królewska. Cóż począć!

Stary Wincz Świdwa (tak go z Wincentego mianowano) cały się wstrząsnął.



— Tego nie zniosę, nie będzie to! — krzyknął. — Raczej niech wszystko przepada, niżbym ja miał cierpieć upokorzenie.

Byłby może zapędził się dalej w wyznaniach, co chciał poczynać, gdyby go wyraz twarzy Dobka, na którą spojrzał, nie powstrzymał. Dobek jego oburzenia nie dzielił, stał zimny.

— Gotujcie się na moje rozkazy, do kupy pod moją chorągiew — odezwał się Wincz po małym namyśle. — Tom wam chciał rzec. Nie opuście mnie przecie samego. Nałęczcie i ich powinowaci pójdą za mną. *Powinowactwo* nie co innego znaczy, tylko *powinność* rodowi. Za Nałęczami, oprócz ich nieprzyjaciół plemiennych, muszą wszyscy... Będzie tego więcej niż pół Wielkopolski.

— Na Boga, ojczaszku — przerwał podchodząc Dobek — uspokójcie się ino. Ślijcie albo jedźcie do króla, ale mu tak zaraz nie rzucajcie rękawicy. Możni my tu jesteśmy, ani słowa, macie przyjaciół, ale i na nieprzyjaciółach nam nie zbywa. Łoktek stary jest, przyciśnięty, prawda, ale król to i pan nasz. Węgry za nim stoją, papież się nim opiekuje. Pan to nasz, namaszczony...

Wstrząsł się Wincz stary i huknął.

— Milczcie. Wiem ja to wszystko. On król, a jam wielkorządca, nie synaczek jego. Niech go sobie posadzi gdzie indziej, ma zamków dosyć — ja go w Poznaniu, gdzie pierwszym był, nie ścierpię. Drugim tu nie mogę być! nie będę!

Odwrócił się i począł chodzić żywo. Buchał z niego gniew. Dobek patrzył, stał, milczał.

— Ojczaszku, na Boga! Namyślcie się, podumajcie — rzekł w ostatku, widząc, że stary zryma się i rzuca ciągle. — Królowi wojnę wypowiedzieć niemała rzecz! Łatwiej pono się na to rzucić, niż podołać temu. Sroga to sprawa! Boże uchwaj!

— Ani tak straszna, ani taka ona trudna, jak ci się widzi — krzyknął Wincz. — Nie wiesz, jaką siłę mam. Niech ja tylko Łoktka odstąpię, a szala się przeważy. Pójdzie chyba znów na skargę do papieża, ale już nie do Rzymu, a do Awinionu, ale mu posiłków ojciec święty nie da... a będzie kłąć! Jużci my do tych piorunów nawykli. Nauczyl nas Krzyżacy, że można pod klątwą żyć i nic się nie stanie człowiekowi.

Dobek ręce załamał. Stary Wincz mówił coraz goręcej.

— Ma króla Jana Czeskiego przeciwko sobie, który się też polskim królem zowie, a jego

krakowskim królem tylko zwa. Ma Brandeburgów, ma Szlązaków przeciwko sobie, ma moc krzyżacką, a ta niemała jest. Niech ja stanę po ich stronie — wygnamy go!

Oczy mu się zaiskrzyły okrutnie. Dobek milczał namarszczony.

— Cóż ty na to? co? — nalegał zapalony starzec.

— Milczę — rzekł powolnie Dobek. — Wyście, ojczaszku, mocno zażaleni, a żal pomiarkowania nie zna. Trzeba ochłonać.

— Nie! Trzeba drugich rozpalić! — zawołał Wincz. — Ja? Nie ochłone! Jam zestarzał na wielkorządach, posiwiał, a miałbym na starość karku ugiąć przed młokosem? Nigdy!

— Sroga rzecz, sroga — zamruczał Dobek — rozmysłu trzeba. Jeżeli się wam niesprawiedliwość stała, do króla by iść wprost, a otwarcie mu skarżyć.

Wincz się rozśmiał.

— Tak to znasz Łoktka? — krzyknął. — On, gdy co postanowi raz, żelaznym klinem mu tego nie wybić z głowy. Mały jest, stary, lat siedemdziesiąt mu, ale kamienny. Syn ten — to jego ukochanie, to jego przyszłość cała, dla niego mnie poświęcił. Targować się z nim, wodę warzyć daremne... Chciał nieprzyjaciela, będzie go miał we mnie. Ja sobie kraju tego wydrzeć nie dam!

To mówiąc uderzył nogą w podłogę, aż na stole kubki zadrgały.

Dobek przyszedł powoli doń i chciał go w ramię całować, aby uspokoić. Odepchnął go stary i rzucił się na ławę.

— Dla was ja i dla całego rodu pracowałem — począł głosem przerywanym. — Z tej ziemi chciałem dziedzictwo zrobić dla plemienia mojego. Także samo z Pomorzem się stało... z

wielkorządców porośli władcy... Ale ja bym się był nie odrywał od korony i tak jej hołdował jak Szlązacy czeskiemu królowi. Byłbym wiernym pozostał. W samo serce mnie ugodził niewdzięczny Łoktek. I zwiódł mnie. Powiedział, że Kaźmirza z młodą żoną nie ma kędy posadzić i tylko mu na zamku mieszkanie dać niby chciał, a łowy w lasach. Co mi to szkodziło? Nie sprzeciwiałem się.

Aliści najechali, zamek ich pełen, Polaków, Litwy, służby, czeladzi, ciurów, bab... już dla wielkorządcy kąta nie ma. Dalej Kaźmirz sobie rządy przywłaszcza i on tu już rozkazuje, a ja stary pod nim — wojewodą! Na równi mnie z kasztelanem Jędrkiem stawia! Mnie! Wincza Świdwę z

Pomorzan i Szamotu! Mnie!

To mówiąc wstał, rozprostował się i, ścisnąwszy rękę a wyprężywszy ją, zdawał się chcieć niewidzialnego odpierać wroga.

Dobek, czując, że mu się sprzeciwiając więcej go jeszcze podrażni, milczał. Spoglądał tylko, szukając w twarzy i oczach znaków uspokojenia, które nie przychodziło.

Stary Wincz coraz to z kubka popijał i mówił, jakby sam do siebie, mniej zważając na Dobka.

— Jeszczem ja tu dosyć silny, aby nie dopuścić, czego nie chcę. W Polsce tej mojej lepiej mnie znają i więcej mnie się boją niż Łoktka i synka jego. Jest nas kupa, wszyscy moi pójda na skinienie ze mną, za mną. Nie odstanie dla niego żaden. Jam zęby na tym zjadł, aby tu się panem uczynić, i jestem nim. Królewicz ze swoją śpiewającą Litwinką i wszystkimi dziewczkami poza wrota zamku nie rozkazuje, kraju nie zna, ani jego nikt. W Krakowie się chował, na Węgrzech dokazywał, nauczył się pięknie stroić, mówić gładko, śpiewać może, ale do oręża niezdolny. Młokos jest, z nim ja sobie rady łatwo dam, a Łoktek starzec...

— Samiście przecie mówili, że kamienny to pan — przerwał Dobek.

— Tak, ale i kamienie ludzie kruszą, a jam też nie przewiało słomiane! — zawołał stary, uparty Wincz.

— Ojczaszku! — począł błagająco synowiec.

— Nie do rady jam cię tu wezwał — przerwał, nie dając mówić, Wincz — lecz bym ci rozkazy dał. Rozumiesz?

Zamilkł Dobek. Po chwili przecie Świdwa trochę się zdał spokojniejszy.

— Przywiedli mnie do ostateczności — odezwał się — nie jam winien, że tam się rzucę, gdzie muszę, abym sromu uniknął.

— Jużci pana swojego nie zdradzicie! — szepnął Dobek. Wyraz ten — zdrada — jak miecz w piersi uderzył starego.

Porwał się z wrzaskiem.

— On mnie zdradził! — zawołał — on mnie! Jam miał obiecane wielkorządy do żywota.

Nie umarłem przecie, żyję, zdradą mi królewicza na zamek wwiedli, zdradą mnie z mojego stołka zrzucili. Sami oręż mi w ręce pchają! Biorę go i nie puszczę.

Wśród rozmowy noc nadeszła ciemna, ale chmury się przerzedziły, niebo zaiskrzone od

zachodu u góry szerniało i osypało gwiazdami. W izbie zamkniętej od ognia i upału dnia gorąco się zrobiło.

Stary Wincz wstał z ławy, na której siedział, i poszedł do okna.

— Po tom cię wezwał — począł — abyś mi ludzi zbierał. Wszystką siłę, jaką my mamy, powinowaci nasi i przyjaciele, zwoływać trzeba.

— Ojczaszku — przerwał Dobek — poczniemy my, opatrzą się i drudzy. A nie wszyscy pójdą z nami, to pewna. Dużo mamy druhów, ale i wrogów dosyć.

Wincz się uśmiechnął.

— Garść ich jest — rzekł. — Nie wołać ich, będą siedzieli po kątach. Naszych więcej. Nie darmo ja tu lat tyle gospodarzył i ludzi sobie jednał.

— Lecz jeśli zmiarkują, że przeciw królowi ich prowadzić masz? — zapytał Dobek.

— Oni króla nie znają, bom ja tu im za niego był — wyrwał się stary — dość mi tego.

Wstał z ławy i chodząc począł. Na chwilę rozmowa się przerwała, gdy w progu stanął

Włostek, prawa ręka wojewody, pułkownik jego, mąż jak olbrzym z wąsami miotlastymi, w kaftanie skórzanym i pasie kutym, na którym miecz wisiał ogromny. Wincz się ku niemu zawrócił.

— Ludzi swych pomieściłeś? — spytał.

— Po szopach śpią, warty stoją — rzekł Włostek — ale nie z tym przyszedłem. Ziemianin z Sieradzkiego jakiś od króla się do was opowiada. Tylko co przybył.

— Z pismem? — zapytał Wincz.

— Widzi mi się, że z gębą tylko — rzekł Włostek.

— Dawaj go tu! — zamruczał wojewoda, powolnym krokiem idąc ku drzwiom.

Pułkownik wyszedł spieszenie i po chwili małej wprowadził zapowiedzianego posła.

Mężczyzna był lat średnich, prawy ziemianin a wojak, który się w miękkich pieluchach nie chował. Mąż jakby z dębu wyrzeźbiony, słuszny, barczysty, silny, twarz ni piękna, ni brzydka, a rozumna i mocy jakiejś dusznej pełna. Po chodzie i obrocie znać było, że się ani zatrwoży, ni zdziwi, ani da zbić z drogi.

Wszedł tak pewien siebie, jak by nie przed wojewodą stawać miał, a do równego sobie w

odwiedziny przybywał. Skłonił się mało, hełm zdjął i na rękę swym go położył.

— Czołem, panie wojewodo.

— Skąd Bóg prowadzi? — hamując głos zapytał Wincz.

— Od wojska królewskiego mnie wysłano do was — rzekł poseł.

— Król? — przemówił Wincz.

— Nie, panam nie widział, ino naszego wojewodę sieradzkiego, bom ja Sieradzianin znad Pilicy od Hebdy i Hebda mnie z rozkazu króla do was wyprawił.

Wojewoda, nim się zapytał, z czym, jakby mu niepilno się było dowiedzieć lub łatwo się domyślał, o co szło — naprzód kubek miodu nalał i podał go gościowi.

— Po drodze się pokrząpcie — rzekł.

Wolnym krokiem przybyły ku stołowi podszedł, wąsy odgarnął, kubek ujął i miodu się napił.

## II

Znał Dobek dobrze stryja swojego i wiedział, że mimo gwałtowności umiał w potrzebie i

spokojnego udać, i co wybuchało z niego, w głąb nazad zepchnąć, nie spodziewał się jednak, aby tak nagła zmiana zajść w nim mogła. Twarz nawet tylko co namiętnością drgająca wygładziła się jak jezioro w pogodę, ani zmarszczki na niej nie było; głos brzmiał, jakby w duszy pokój panował.

Z gwałtownych ruchów przeszedł naraz do ociążałych jakichś i obojętnych. Przybyły też pewnie odgadnąć nie mógł, iż na chwilę przedtem burzył się wojewoda. Niepilno mu było nawet pytać o to, z czym przyjechał.

— A jakież tam drogi? — rzekł zimno.

— Różne — rzekł z równym spokojem poseł. — Deszcze już ulewne przechodziły gdzieś, to wody jesienne poprzybierały.

— Rozkisło u was bardzo? — mówił Wincz.

— Ano! U mnie nad Pilicą wody dość — rzekł gość — indziej drogi niegorsze.

— Cóż? Zbieracie się już? Wici były? — pytał stary.

— Co żyło, to się pozbiegało pod chorągwie — mówił ziemianin. — Nie ma bo rady, król chce raz skończyć z Niemcami.

Wojewoda się uśmiechnął.

— Z Krzyżakami! — poprawił — ano! Dobrze by było raz ich precz zegnać i Pomorze odzyskać, ale bodajby nie było trudno...

— Przy bożej pomocy — zamruczał z wielkim spokojem poseł.

— Z czymże was do mnie wyprawiono? — odezwał się nareszcie Wincz.

— Waszej Miłości też do tego tańca proszą niezwłocznie — odezwał się wysłany. — Król pan nasz nakazuje, aby, co żyje, na granicy postawić, bo Krzyżaków tylko co nie widać.

Wojewoda obojętnie uśmiechał się.

— Będzie ich słychać wprzód, niż widać — rzekł. — Głośno idą te Niemcy, ho, ho!

Poseł nie zdawał się tym bynajmniej strwożony, gładził się po głowie, usta ściągał, nie ogarniał go strach żaden przed tą głośną potęgą.

— Daremno was do mnie gnano — odparł wojewoda — bom ja moją powinność znał i bez tego. Co ma być, w swoim czasie przyjdzie... Spocznijcież u mnie — dodał. — A kto wam wskazał, że mnie w Pomorzanach najdziecie?

— Byłem ci w Poznaniu na zamku — odparł ziemianin — stamtąd mnie za wami wyprawiono.

Wojewoda nie rzekł nic. Namyslił się nieco i wskazał na ławę przybyłemu, aby siadł, sam też nieco opodal się usadowił.

— Jak was zowią? — zapytał.

— Florian Szary jestem, z Surdęgi nad Pilicą — rzekł głosem spokojnym przybyły.

— A zawołanie wasze?

— Różnie nas wołają, ano i Koźlarogi — odparł Florian. — Ziemianieśmy w Sieradzczyźnie, tak starzy jak ona.

— Sami też na wojnę idziecie? — szło dalej pytanie.

— Idę — mówił Szary — syna dorosłego nie mam jeszcze, a ojciec stary już i na konia nie siędzie. Rad nierad ludzi prowadzić muszę.

— Jak to nierad? Ziemianin a rycerz zawsze wojnie rad być musi — rzekł wojewoda.

— I ja też — mówił z flegmą Szary — ale ojczysko stare rady sobie nie da z sąsiadem, a mam pod bokiem takiego z piekła rodem..

Westchnął. Rozśmiał się tej szczerości wojewoda.

— Ten ci też musi na wojnę — dodał.

— Nie, nie pójdzie, pośle kogo za siebie, bo będzie teraz właśnie z ojcem moim i czeladzią wojował — mówił Szary. — Od czasu, jak tam siadł, dnia jednego pokoju od niego nie mieliśmy.

Westchnął znowu.

— Dlatego człowiek, co by wojnie dla króla był rad, nie może się nią cieszyć, bo mu swoja własna dolega.

Wincz patrzył uważnie na mówiącego, a że w głosie jego żal i smutek się przebijał, nie wyciągał go już więcej na słowo.

— Nalejcie sobie miodu — rzekł półgłosem.

Nie wymawiając się podróżny poszedł do dzbanka, nachylił go, kubek napełnił i z nim powrócił na ławę.

— Wojna będzie sroga — począł wojewoda trochę pomyślawszy. — Królewskiemu wojsku

nic zarzucić nie można, dobre ono jest, ale Niemcy w stal pookowywani, każdy z nich gdyby twierdza. Choć do niego się nasi dostaną, nie wiedzieć, skąd go począć. Od stóp do głowy żelazo, konie też zbrojne.

— Prawda to — rzekł Szary — ale za to gdy który z konia padnie albo na ziemię się obali, nie podniesie się łatwo i toporami go można dobić. Nie ruszają się też w boju tak ręczo, jak nasi.

— Ale za to murem stoją — rozśmiał się wojewoda. — Toście pewnie słyszeli, że gdy w

rząd się ustawią, a chcą nieprzyjacielowi oprzeć się, łańcuchami jeden do drugiego, od pasa do pasa poczepiają i wszyscy jakby z jednej bryły.

— Za to — rzekł Szary obojętnie — byle jeden padł, muszą z nim też wszyscy leżeć.

— Rzadko to u nich bywa — odezwał się wojewoda. — Już co do tych spraw wojennych i oręża doskonałego, nie wiem, czy gdzie na świecie lepszy jest niż u Krzyżaków. Co roku do nich ciągną pielgrzymi nie tylko z Niemiec całych, Francji, ale i z Anglii i kto wie z jakich krajów.

Gdzie kto co wynalazł i zrobił, oni to pierwsi mają. Oręż od Saracenów, od Arabów, z Włoch i z Hiszpanii. Powiadają nawet, że jakiś ogień piekielny, co go niedawno mnich w klasztorze gdzieś na Niemczech zrobił, już od lat trzech mają u siebie.

— Jaki ogień? — zapytał Dobek ciekawie.

— Kto go wie, co to takiego jest — począł wojewoda. — Tajemnicę z tego robią, jak ów ogień przyrządzać, ale straszny bardzo, bo go z rur żelaznych puszczają z wielkim hukiem i leci daleko, a co napotka, to pali i kamienie ciska.

Szary się przeżegnał pobożnie.

— Szatańska chyba moc, a mnichy jej duszę zapredawszy kupili — rzekł. — U nas o tym nie słychać, dzięki Bogu.

— U nas nie słychać — odezwał się ironicznie wojewoda — to prawda, a oni trzy lata temu już ten ogień robić się nauczyli. Przyjdzie im oblegać twierdzę, rzucą tylko ogniste pociski i, żeby najlepiej była obwarowana, to ją zżegą.

— Ale na ludzi w boju przecie nie będą szatańską mocą ciskali? — przerwał ziemianin.

— Dlaczego? — rzekł wojewoda. — Albo oni nas za ludzi mają i pożałują? U nich co nie Niemiec, to nie człowiek. Srogie bestyje!

Szary westchnął, lecz miód popił i dodał tylko.

— Jak skoro moc szatańską mają, a nią się posługują, Pan Bóg ich sam pobije jak Lucypera i zastępy jego.

Wojewoda z prostoduszności ziemianina uśmiechnął się nieco.

— Mnie się widzi — dorzucił — że nie z szatana oni to mają, kiedy krzyże na płaszczach noszą.

— Na płaszczach — rozśmiał się Dobek — ale nie w sercach.



Florian Szary spojrział ku niemu i uśmiechnął mu się. Wojewoda tymczasem prawił dalej.

— Nie będzie nam z nimi łatwo wojować, bo choć nasz lud mężny, ale tej chytrłości i rozumu, co oni, nie ma. Oni w sto włóczni na naszych tysiąc idą.

Milczeli słuchający.

— Nie dlategoż serce mamy tracić? — odezwał się Szary. — Mądrzy oni, ale i król, pan nasz, rozumny jest i wie, jako z nimi poczynać, a Bóg łaskaw. Sprawa nasza dobra, swojej ziemi bronimy, oni cudzą rozdrapują.

Popił miodem Szary, obejrzał się, powoli z ławy wstał, kubek postawił i skłonił się, ku drzwiom zmierzając.

— Jaką mam odpowiedź zanieść panu Hebdzie? — spytał od progu.

— Spieszno wam! — wtrącił Wincz.

— Jutro muszę być w drodze — rzekł Szary. — Spoczywać nie czas.

Wojewoda postął trochę dumając.

— Jedźcie z Bogiem — odezwał się — a wojewodzie powiedzcie, że ja, co mi powinność moja każe, uczynię. Znajdą mnie, gdzie potrzeba.

Tak dwuznacznie odprawivszy poselstwo, kiwnął głową wojewoda, ręką dał znak. Szary się trochę pokłonił i wysunął z izby.

Czas był do snu już dawno, Dobek też przeciągnął się, ziewnął i obejrzał za posłaniem.

— Mnie jeszcze sen nie bierze — rzekł rozstając się z nim wojewoda — a jutro pomówimy z sobą, bo mi ludzi przyprowadzić musisz i godziny do stracenia nie ma.

Dobek już na wychodnym się wstrzymał. Spojrział stryjowi w oczy, mówiąc wejrzeniem to, czego już nie śmiał powtórzyć słowy. Zrozumiał wzrok Wincz i odwrócił się z uporem.

— Spij spokojnie — rzekł ściskając go za rękę. — Żadna siła w świecie nie może mnie od tego odwieść, com raz postanowił.

Dobek wyszedł. Za ledwie się oddalił do izby, w której mu posłanie ludzie jego

przygotowali, gdy wojewoda Włostka do siebie zawołać kazał. Zbliżył się do niego znowu rozgorączkowany i niecierpliwy.

— Ślij mi po ludzi — rzekł — spieszyć! Już mnie posłami gnają aż tu. Niech pułki

wszystkie i co naszego rycerstwa jest, do mnie przybywa. Im więcej nas będzie, tym lepiej. Zbierać, a wici słać nagłace pod gardłem, pod sromotą, do ostatniego człeka. Potrzebuję ludzi wielu.

Mówił tak przerywanym głosem, a Włostek, proste niby człeczysko, tak mu w oczy patrzył,

jak by jego myśl odgadywał. Było to spojrzenie starego sługi albo zwierzęcia wiernego, co się z człowiekiem żywszy, czyta mu w oczach i nie wypowiedziane wrywa z głębi duszy. Po cichu rzekł Włostek:

— Nie już tak pilno królowi służyć, kiedy on nas...

Nie dokończył; wojewoda tylko nań spojrzał i po ramieniu go uderzył.

— Ludzi trzeba — rzekł porywczo — a co potem — mnie wiedzieć. Idź, a spraw się.

W drugiej izbie zgotowane było posłanie dla Wincza, nie na łożu, bo go tam brakło, ani na tarczanie, bo i tego nie było we dworze, ale obozowe, na ziemi, skórami pokryte. Podszedł Wincz ku niemu, popatrzał, lecz układać się do snu nie miał ochoty. Pachole go rozebrało do siwego kaftana, siadł w nim dumać na ławie...

We dworze ucichło — spali wszyscy; wojewoda na komin polan dorzucać kazał, sen go nie brał.

W duszy jego całe życie przechodziło płomieniami i czernią, wspomnieniami jasnymi i smutnymi. Stał jakby w progu nowego — a na stare się oglądał. Żal serce ścisnął chwilami, to gniew brał górę — duma nim rzucała, wszystko zasłaniając sobą. Zemsty pragnął.

Tak długa noc posępna cicho upłynęła cała w półśnie, półburzy tej dusznej, która czasu obliczyć nie dała. Zaczęło już szarzeć na dzień i ogień wygasał, gdy wojewoda, jak siedział u stołu wsparty na rękę, usnął.

Otworzył oczy, zaledwie mógł im uwierzyć. W półmroku stała przed nim postać

niewieścia, w długich szatach podróżnych, w białej zawitce dokoła twarzy i pod brodą, w czapce na głowie, z chustą białą w rękę. Stała i ręce złożony zwisłe patrzyła nań z politowaniem i przestachem razem.

Twarz, którą biały rąbek otulał, piękna niegdyś, była jeszcze urodziwą, szlachetną, a

słodczy pełną, razem i męstwa nie niewieściego. Wielkie czarne oczy w oprawie powiek zarysowanych wdzięcznie patrzyły łzawo, ale śmiało i brwi nad nimi ciemne jakiś ból ściągał.

Wyraz jego piętnował i usta małe a zbladłe.

Panią i matronę poznać w niej było łatwo, która choć niewiastą, więc ledwie na pół wolną się czuła, zachowała powagę i wiarę w moc swoją. Patrzyła tak na śpiącego, jak by stała nad kolebką chorego dziecka, zrozpaczona i mężna, ufająca w Boga.

Wojewoda podniósł głowę, oczy przetarł, obejrzał się dokoła, jak by nie wierzył im i potrzebował przypomnieć sobie, kędy się znajduje. Ona wciąż milcząc wpatrywała się jeszcze, a potem rzuciwszy nagle z wybuchem płaczu i jęku zawiesiła mu się na szyi.

— Halka? Co ty tu? — zamruczał poruszając się Wincz. — Halka? tutaj?

— Tak, tutaj aż zbiegłam za tobą — odezwała się niewiasta głosem dźwięcznym a pewnym.

— Tak, musiałam dogonić ciebie — bo wiem, czuję, co się w duszy twojej dzieje, Winczu mój!

Głos jej zmiękł i w płacz się znowu przemienił. Wojewoda z lekka odtrącił ją od siebie.

— Babskie trwogi dziecinne — rzekł pomięszany — cóż się ma dziać? Nic się nie stało i nic...

— Winczu mój, panie mój, w twojej duszy stała się okropna sprawa — poczęła Halka. —

Nie mówiłeś mi nic, alem niedaremnie żyła z tobą lat tyle i umiem odgadywać nawet to, co jutro myśleć będziesz.

Odstąpiła na krok i załamała ręce.

— Panie mój — nie! To się nie stanie. Lepiej być męczennikiem niż katem i zdrajcą!

Ostatni wyraz posłyszawszy wojewoda jak piorunem ciśnięty rzucił się z ławy, wyprostował, głowę odrzucił na ramiona.

— Mnie zdradzili — krzyknął — ząb za ząb! Nie zdrada to będzie, ale spleta długu. Nie byłbym mężem, gdybym ścierpiał sromotę, nie zmazawszy jej krwią.

Usta Halki otwarły się, jak by mówić coś chciała.

— Milcz! Milcz! — zawołał wojewoda, którego twarz straszliwym wyrazem się zmieniła.

— Tyś niewiasta, ty nie rozumiesz tego, nie twoja rzecz. Strzeż swej czci, ale mojej straży zostaw mnie.

Ruszył się, jak by iść chciał; niewiasta mu drogę zastępowała.

— Zgadłam więc! — zawołała podnosząc ręce. — Panie mój! Jeszcze czas!

Z gwałtownego oburzenia i gniewu Wincz przeszedł nagle w jakieś urąganie i szyderstwo, z którym mu łatwiej może było żonie dostać placu.

— Dość! Dość! Wiesz, że się nikomu mięszuć w moje sprawy nie daję. Długie włosy macie, czeszcie je, aby pięknie świeciły, to wasza rzecz! Dać mi pokój! Dać mi pokój!

— Żoną jestem twoją — odparła mężnie Halka. — Nie mięszam się do niczego, lecz gdy o cześć i sumienie chodzi, ubij mnie...

Wojewoda ruszył ramionami.

— Ubić, nie ubiję — rzekł szydersko — lecz na koń lub wóz wsadzić każę i odprawię, abys mi nie rozbijała głowy. Świdwowie się nigdy babom wodzić nie dawali, ani ja pozwolę.

Namarszczył się groźno, lecz żona stała nieustraszona. Łzy biegły po jej twarzy, nie

wiedziała, co mówić miała, słów jej nie stało, padła na kolana. Wojewoda się rozgniewał i krzyknął, lecz widząc ją omdlewającą na poły, schylił się, podniósł w milczeniu i na łożu swym, które stało nie tknięte, położył.

Dwie towarzyszki, które za drzwiami czekały, wsunęły się natychmiast niespokojne o panią, a wojewoda, korzystając z tego, wysliznął się z sypialni, przeszedł wielką izbę pierwszą i nie zatrzymał się, aż w podsieni u słupów.

Tu już był Dobek, który wstał raniej. Nie powitali się nawet. Wojewoda był gniewny i wzruszony. Zwrócił się do niego.

— Nie masz tu już co dłużej gościć — rzekł. — Wiesz, czego żądam. Jedź!

Dobek popatrzył mu w oczy.

— Jam głową domu, jam wojewodą waszym, nie zrzucili mnie jeszcze. Posłuchu żądam, posłuch mieć muszę. Nie proszę o radę nikogo. Jedź, a spiesz!

Dobek tak go widział poruszonym, iż długo przemówić nie mógł.

— Do dziś dnia — odezwał się w końcu — byłem gałęzi mej Nałęczowego zawołania głową, ale od dziś nie chcę być więcej. Stawcie na miejsce moje innego, ja tam, gdzie wy, nie pójdę. Wincz natarł nań groźno.

— Wieszże ty, dokąd ja idę? — zawołał.

— Wiem — rzekł Dobek stanowczo — i dlatego z wami iść nie chcę.

Zwrócił się, wołając na swych ludzi. Wczoraj łagodny i miękki Dobek dziś występował męsko i śmiało. Wojewoda zamruczał tylko i podniósłszy głos:

— Bez jednego człeka obejść się łatwo — zawołał, śmiejąc się złośliwie. — Z Panem

Bogiem! Pamiętajcie tylko, że ja, choćby mi wielkie rządy odjąć chciano, rychlej tu rozkazywać będę niż kto inny!

Dobek ze spuszczoną głową, nie chcąc sporu przedłużać, z bolem wypowiedziawszy, co

miął na sercu, stał milczący. Rękami tylko dawał swym ludziom w dziedzińcu znaki, ażeby mu konie co rychlej prowadzono.

Czeladź biegła, siodłając i wędzidła nakładając, bo konie dopiero u wodopoju były.

Przeciągnął się więc wyjazd, na który Dobek zzymając się i niecierpliwiąc czekał.

Wincz, który stał długo w nadziei, że z synowcem na nowo rozmowę zawiaże, w końcu widząc go odwróconym w stronę i umyślnie milczącym, odszedł gniewny.

Miał już siadać na podprowadzonego mu konia młodszy Nałęcz, gdy za płotem ukazali się

jezdni i w podwórzec wpadł kłusem zbrojny mąż, od Dobka młodszy, z oczyma bystrymi, żywy, wesół, lecz coś obce pochodzenie i obyczaj zdradzającego mający w sobie. Strój jego i uzbrojenie było mniej więcej takie, jak naówczas nosili wszyscy ci, co do zamożniejszego liczyli się rycerstwa.

Polska nie odróżniała się wielce od narodów Zachodu powierzchownością w wyższych

społeczeństwa klasach. Wojsko było mniej dobrze uzbrojone, ubożsi ziemianie nosili się ze staroświecka i podług dawnego obyczaju. Ale na dworach królów i książąt, mających stosunki częste z Europą, strój i zbroja pochodzenia francuskiego, włoskiego, niemieckiego przeważały.

Duchowieństwo, które dawniej jeździło do Rzymu często, teraz do Awinionu, rycerstwo, które także chętnie się zaciągało za granicą dla poznania świata, kupcy dla zysku przywozili sprzęt, oręż, sukna flamandzkie, holenderskie tkaniny, klejnoty, broń itp. Na wojnie ziemianie bogatsi zbroje nosili takie,

w jakie Niemcy i Francuzi opatrzeni byli.

Przybywający wyglądał jeżeli nie z cudzoziemska, to na wzór obcych w stal okuty i suknie miał wykwinicie szyte, o które dbać się zdawał. Koń też jego miał drucianą siatkę na sobie i rozmaite świecące blaszki na rzędzie.

Mężczyzna lat około trzydziestu, pięknej twarzy, ciemnowłosa, zręczny, zatoczył koniem

przed dworzec jakby dla popisu i choć dużo miał blach na sobie, lekko skoczył z siodła, konia pacholikowi tarczowemu oddając.

W chwili, gdy Dobek spozierał ku niemu, oczy się ich spotkały. Znajomi musieli być, bo

przyjezdny chciał go witać i posunął się już ku niemu, gdy Dobek, głową mu skinąwszy tylko, szybko podanego wierzchowca dosiadł i od podsieni ruszył.

Przybyły stanął nieco tym zdziwiony, gdy Wincz, który musiał go zobaczyć, wyszedł na

spotkanie. Ujrawszy gospodarza rycerz zwrócił się zaraz ku niemu i powitał go z poszanowaniem wielkim. Zamienili wejrzenie, jak by się porozumiewali. Wojewoda wprowadził go do dworu, lecz nie do izby, blisko której żonę zostawił, ale do głębszej komnaty na tyłach, tak pustej jak całe to domostwo.

Przybyły ów gość osiadłym był od dziada w Wielkiej Polsce i liczył się już do tutejszych ziemian, chociaż krwią do nich nie należał. Ojciec jego na dwór króla Przemka sprowadzony z Niemiec dla biegłości w sztuce turniejów i różnych rycerskich ćwiczeniach, zasłużywszy się panu, otrzymał od niego posiadłości znaczne, ziemię i lasy. Tu się z córką ubogiego ziemianina ożenił i nazwisko nawet swe niemieckie von Kopfen zmienił na Kopę. Syn jego Petrek na pół był Niemcem dla ojca, pół Polakiem dla matki, więcej go jednak pono ciągnęło serce nad Ren, skąd pochodził, niż nad Wartę i Wisłę.

Za młodu stary oddawał go na służbę rycerską do wojsk cesarskich. Petrek włóczył się z

nimi po Włoszech, napatrzył świata i nabrał smaku do obczyzny. Gdy powrócił, nic mu w domu nie smakowało, tęsknił za Niemcami i za życiem zachodnim. Wszystko mu w domu się barbarzyńskim wydawało, wyśmiewał się z ludzi i obyczaju.

Lecz ziemię, jakie po ojcu wziął, trzymały go tu, a że z ziemiany prostakami żyć nie lubił, najwięcej po dworach różnych przesiadywał.

Nim królewicz Kaźmirz przybył do Poznania, wieszał się u dworu wojewody poznańskiego

Wincza Świdwy z Pomorzan i Szamotuł. Lubił go on, bo wesołymi rozmowy i śpiewkami wedle obyczaju niemieckiego i opowiadaniem o podróżach swych go zabawiał.

Petrek, choć go pan wojewoda stale do siebie chciał przywiązać, nie dał się skusić żadną

dostojnością. Siadywał u niego po dobrej woli, a podczas znikął i mówiono różnie o nim. Jedni utrzymywali, że za granicę jeździwał i po dworach niemieckich się zabawiał, drudzy, że z Krzyżakami wyprawy przeciwko Litwie jako gość odbywał. On sam powiadał, że doma siedział.

Do stosunków z zakonem niemieckim, z powodu, że się on srodze z królem Łoktkiem zadzierał, niebezpiecznie przyznawać się było.

Jak wszyscy tacy ludzie, co raz błędnego życia zakosztowali i miejsca zagrzać nie lubią, Petrek płocho był, bawić się i śmiać lubił, szukał wesołego towarzystwa, wypraw awanturniczych, towarzyszków coraz nowych. Na męstwie mu nie zbywało, lecz więcej miał jeszcze wprawy i zręczności niż siły, a sprytu i wymowy — niż rozumu i powagi.

Gdy z wojewodą razem weszli do pustej izby, a wojewoda się obejrzał wkoło, jak by upewnić chciał, że ich nikt nie podsłucha, Petrek hełm już zdjął i pasa począł sobie zwalniać.

Zbliżyli się do siebie tak, aby po cichu rozmawiać mogli.

— Dotarłeś aż do gniazda? — zapytał Wincz.

Z uśmiechem zwycięskim głową naprzód Petrek dał znak potakujący.

— Panie wojewodo — rzekł wesołym głosem z przechwałką butną — znacie służbę waszego, że co zamierza, zawsze dopiąć musi, choćby karku nastawić przyszło. I tym razem, prawdę mówiąc, w chwili, gdy już wojna wypowiedziana, gdy oni idą na nas, dostać się do wielkiego mistrza nie było łatwo.

— Samli on dowodzić będzie? — zapytał ciekawie wojewoda.

— Myślę, że nie — odparł Petrek. — Poprowadzi może swoich do Torunia, a wyprawą dowodzić będzie marszałek.

— Widzieliście jego samego? — począł badać wojewoda.

— Tak jako was widzę w tej chwili — śmiejąc się odparł Petrek. — Widziałem go i mówiłem z nim, bo takiej sprawy ani nawet wielkiemu komturowi, ani marszałkowi poruczać nie mogłem. Musiałem z samym Luderem mówić i to na cztery oczy. Do Bromberga aż musiałem, aby go pochwycić.

Wojewoda słuchał widocznie z zajęciem wielkim, dech wstrzymywał, oczy mu się zaiskrzyły. Petrek, jak by tej niecierpliwości dowiedzenia się skutku nie rozumiał, mówił

przechwalając się obojętnie.

— Przyjęli mnie bardzo dobrze jak starego znajomego i towarzysza broni. W Toruniu

musiałem z nimi pić całą noc. Ochota okrutna, bo się na tę wyprawę z wielkim sercem gotują, a dali sobie hasło w pień ciąć, co napadną, i palić, żeby jedna chata ni budynek po nich nie pozostał.

Mówią, że korzystać chcą z tego, iż króla Jana z sobą nie będą mieć w początku wyprawy, bo Czech im ludzi wyrzynać nie dawał, a chrzcić kazał, czego mu darować nie mogą.

— Ale cóż mistrz? co mistrz? — przerwał wojewoda.

— Mistrz też mnie przyjął dobrze i zaraz do rozmowy dopuścił — mówił Petrek — choć gości dostojnych miał z Anglii i Niemiec, których przyjmować musiał.

— Cóż rzekł? co? — wtrącił Wincz — mów, a nie trzymaj mnie na wolnym ogniu!

— Zdawał się radować postanowieniu waszemu — odezwał się Petrek — ale cóż?

Ogólnymi słowy tylko się ze mną o tym rozgadał, wciąż powtarzając jedno: Sam z wojewodą o tym muszę się układać. Chce, abyście do niego przybyli.

— Mówiliście mu warunki moje? — pytał Wincz.

— Juściż to było najpierwszym — rzekł Petrek — iż chcecie i domagacie się, aby waszego

kraju nie napastowali i nie niszczyli, a uważali go jako sprzymierzony. Na to mi rzekł kwaśno mistrz, iż do arcybiskupa gnieźnieńskiego żal ma i na nim się mścić musi, ani mu może darować, choć na tej ziemi siedzi.

Nachmurzył się wojewoda.

— Ciągną już? Gdzie są? — zawołał.

— Myślę, że koło Torunia się zbiorą wszyscy i mistrza tam też zastaniecie, ale prędko potrzeba iść, aby was wyprzedzając nie rozlali się na Wielką Polskę.

Wojewoda na ławę przysiadłszy zadumał się.

— Pojedziecie ze mną — rzekł po namyśle.

— Rozumie się, że nie odstąpię was — prędko dorzucił Petrek. — Nie pochlebiam sobie,

trudno by też było beze mnie, który wszystkie drogi i przesmyki znam i rozmówić się z nimi umiem, dostać się z całą głową do Krzyżaków.



Wojewoda wstał, popatrzył na podłogę, podumał.

— Cicho! — rzekł. — Cicho! Zapowiedzą się łowy na jutro, pojedziemy w lasy, wy ze mną i do Torunia! Nie może już inaczej być. Chcieli tego... zmusili mnie. Nie mogę inaczej... Sromu nie zniosę — lepiej śmierć. Chciał król... chciał... stanie się.

Westchnął ciężko wojewoda. Tłumaczył się jakby z potrzeby przed samym sobą i powtórzył razy kilka jeszcze półgłosem:

— Chciał król... zmusił mnie... Nie może już inaczej być... nie może...

### III

Twierdza i osada krzyżacka w Toruniu, przed stu laty już naprędce naówczas sklecona pod strachem takim, że budujący ją czółna gotowe do ucieczki trzymać musieli, napaści Prusaków obawiając się — miała czas rozrosnąć się, wybujać, umocnić w rękach Zakonu.

Teraz było to okazałe i silne zamczysko, gród murami, basztami i samą rzeką, a wałami i przekopy broniony. Z dala już ściany jego wspaniale się okazywały, świadcząc, jak ci, co tu niegdyś z małą garścią przyciągnęli na cudzą ziemię, silnie w nią już wrośli i w potęgę się wzbili.

Minęły dawno te czasy, gdy za lichym wałem i naprędce wbitymi ostrokołami pierwsza gromadka rycerzy niemieckich przysła tu, na prawym brzegu rzeki stawiając kroki nieśmiałe, co ją tak daleko zaprowadzić miały.

W przeciągu wieku Toruń, ciągle się rozpościerając, krzepiąc ciągle, nowymi osadnikami zaludniając, walczył teraz niemal z Malborgiem o lepsze. W murach było się gdzie i większej sile rycerzy pomieścić, a znaczne zapasy oręża i żywności w wielkich gmachach były nagromadzone.

Żaden rok nie minął, by się tu z czerwonej cegły misternie budowane domostwo jakie nie podniosło ku górze.

Krzyżacy w częstych wycieczkach swoich tu mieli miejsce zborne i stąd wyciągali w różne strony. Z pewną czcią byli dla tego jednego z najpierwszych gniazd swoich, pełnego pamiątek. Tu teraz mistrz Luder, książę brunświcki, z tego domu, który trzech swoich członków oddał na posługi Zakonu, doprowadził wojsko, które na Polskę, grabież i pożogę Łoktkowych włości przeznaczonym było.

Sama głowa rycerskiego tego stowarzyszenia wiodła starszyznę i gości na brzeg Wisły, zdać tu mając dowództwo marszałkowi i komturowi wielkiemu. Dziwiono się trochę temu, iż wielki mistrz, który zawczasu oświadczył, iż sam wyprawą dowodzić nie może, chciał ją aż do Torunia wieść, choć

ważne sprawy powoływały go do Malborga.

Mistrz Luder, który po Orselnie zabitym zdradziecko nastąpił, miał wielkie zadanie na

barkach swoich. Krzyżacy, którym od przesiedlenia się na tę ziemię, podarowaną im dla dalszych na poganach zdobyczy, wiodło się ze szczęściem szczególnym, choć je słabości i nieopatrności tych zawdzięczali, co ich na pomoc wezwali — Krzyżacy, od przybycia swojego tu z surową regułą zakonną, samym trybem życia wojennego z niej się wyłamywać poczęli.

Dawne owe prawa, które ich półmnicami czyniły, zapomniane zostały i lekceważone.

Napływ rycerskich awanturników z całej Europy przynosił tu z sobą wcale nie mnisze obyczaje.

Wyprawy na pogan dzikimi jak oni czyniły ludzi. Nie szanowano w nich nic, ani też siebie.

Zakonnik co dzień na śmierć się narażając, gdy tylko mógł, z życia chwili każdej korzystał.

Zamiast modlitw brzmiały śpiewy wesołe i piosnki miłośne u stołów, nie mierzono wina,

nie wzbraniano kosztownych łańcuchów. Mnich, co nie powinien był mieć żadnej własności, bo nawet suknia, którą nosił, mogła mu być odjęta, łupił czasu wojny i łupu nie oddawał do ogólnej skarbnicy. Rozpusta, samowola, zbytki się zagościły. Przyszło do tego, że jeden obrażony rycerz, którego przeszły mistrz na wyprawę wziąć nie chciał, mściwą ręką go ubił.

Po zabitym Orselnie wybrano mistrzem Ludera, który swym tytułem książęcym i związkami

wrażał powagę, a był mężem energicznym i rozumnym, ażeby dawną karność przywrócił w

Zakonie. Zadanie to było ciężkie, nad którym musiał on, nie odstępując na krok stolicy, czuwać, aby je w najmniejszych spełniać szczegółach.

Był Luder już od lat kilkudziesięciu krzyżackim płaszczem przyodziany, bo go bardzo za

młodu oddano Zakonowi. Pół wieku niemal dzieląc losy jego wtajemniczonym był najlepiej w to życie wewnętrzne, którego znał wszystkie sprężyny. Mężny żołnierz, ale zarazem pobożny pan, człowiek wykształcony, poeta po troszę — Luder szanowanym był przez współbraci i gdy do

wyboru przyszło, postawiono go na czele, bo on najlepiej wyrywających się z posłuszeństwa i spod prawa utrzymać w nich umiał.

Siwiejący już, czynnego ciągle życia, wojak, myśliwy, Luder mimo wieku był jeszcze

mężem wielkiej siły, powagi i rzeźwości do pracy. Choć starszyźnie krzyżackiej, która się teraz białymi płaszczami odznaczała, uboższych braci strojąc szaro, nie zbywało na mężach rycerskiej postawy i warunkiem niemal przyjęcia do Zakonu była siła fizyczna — mistrz Luder, stanąwszy wśród swoich, pół głową ich przerastał, a zbroi jego bez kilku kaftanów pod spód podłożonych żaden by z braci nie wdział na siebie.

Twarz też miał jakby do rozkazywania stworzoną — oczyma, brwiami, wyrazem samym rozkazującą.

Mówił mało, lecz gdy co rzekł, spierać się z nim nie było można. Wydawał wyroki i nie odwoływał ich nigdy.

Od śmierci Orselna, którego w chwili napaści na progu własnego mieszkania bronić nie było komu, postanowiono, by dwu rycerzy nieodstępnie wszędzie mistrzowi towarzyszyli. Wybrał sobie na kompanów tych Luder Konrada von Gartau i Ottona Dobnera. Właśnie z nimi razem zajmował izby, które dlań na zamku toruńskim przeznaczone były, gdy Dobner, który się był u drzwi nieco zatrzymał, szepnął mu, iż tu już nań oczekiwano.

Mistrz ledwie był z konia zsiadł i należał mu spoczynek, bo część nocy spędził w drodze, lecz posłyszawszy imię, które Dobner mu szepnął, wnet dał rozkaz, aby przybyłych do sąsiedniej izby wprowadzono.

W Toruniu jak w Malborgu na zamku z dwojga komnat rodzajów składały się mieszkania.

Wielkie i bardzo przestronne sale służyły dla zgromadzeń zakonnych i gościnnych stołów, do których często po sto i więcej osób zasiadało. Izby, w których pojedynczy zakonnicy, nie wyjmując mistrza, komtura i dostojników, przemieszkiwali, były ciasne, małe, a dla samego ogrzewania łatwiejszego kominami nie bardzo przestronne. Były to niemal cele klasztorne.

I ta, w której Luder się przedziewał, nie większą była od innych, lecz obok mała jadalnia kilkanaście osób mogła pomieścić. Widok z niej przez okno duże na Wisłę i przeciwne jej brzegi wychodził.

Tu w przyciemnionym kącie, na ławie, ze spuszczoną głową siedział stary mężczyzna w stroju, po którym stanu jego rozpoznać było trudno. Można było sądzić, iż się umyślnie przebrał tak, aby go nie poznano. Szare suknie, ale z sukna przedniego, nie miały nic, co by je odznaczać i oko mogło zwrócić na nie. Miecz krótki a szeroki w pochwach czarnych także się nie świecił ozdobami. Mimo to coś w tym człowieku znamionowało nawykłego do rozkazywania raczej niż posłuszeństwa.

Siedział i czekał, a samo oczekiwanie już krew w nim burzyło. Patrzył na drzwi, poruszał się niespokojnie, jak gdyby obrażało go to, że nie pospieszono prędzej przeciwko niemu.

Był to wojewoda i wielkorządca poznański, Wincz z Pomorzan. On! U Krzyżaków on oczekujący na mistrza, u drzwi jego... w ręku wrogów i ich mocy. W duszy powtarzał to sobie

sztydersko, z goryczą, jakby sam nie wierząc temu, co z nim uczyniły losy.

Na towarzyszu jego Petru Kopie pobyt na zamku toruńskim tak wielkiego nie czynił

wrażenia. Chodził on z wesołą twarzą po izbie, oknem wyglądał i wspaniałością gmachów, w których się znajdował z przyjemnością napawać się zdawał. Na twarzy igrał uśmiech, jak by rad był, że wielką sprawę szczęśliwie doprowadził do końca.

Wincz milczał i wzdychał. Potrzebował ciągle przypominać sobie, co go spotkało, aby wytłumaczyć, co czynił, i zagłuszyć sumienie.

Po chwili wyczekiwania, która mu się nad miarę długą wydawała, otwarły się wreszcie drzwi i mistrz Luder w białej sukni, bez miecza, odziany po domowemu, wszedł sam, zamykając je natychmiast za sobą.

Wojewoda wstał nie spiesząc, powoli i mierzonymi krokami począł zbliżać się ku niemu.

Oba oni, nie znając się wcale, naprzód oczyma ciekawymi mierzyli, siły swe oceniając.

Wincz Świdwa tak miał pańską postawę jak Luder; oba niemal się czuli równymi dumą.

Mistrz czuł, że człowieka tego musi oszczędzać i łagodzić. — Wincz zrozumiał, iż pod płaszczem zakonnika stał przed nim książę niemiecki...

Skłonili się sobie głowami, lecz Luder ręki nie wyciągnął. Usłużny Petrek żwawo po niemiecku zaczął wojewodę polecać, ułatwiając rozmowę, która łamanym językiem dla obu niełatwą być miała.

Od pół wieku tu już siedząc książę się języków różnych uczył po trochu, lecz żadnym nie mówił dobrze, mając je jako barbarzyńskie w pogardzie. Pruskim z musu i dla stosunków z ludem mówił najlepiej. Świdwa zaś oprócz polskiego mało co niemieckiego tylko rozumiał.

Petrek Kopa stał się jako tłumacz i pomocnik niezbędnym i tak ta rozmowa, która powinna była być tajemną i poufną, bez świadka się nie obeszła. To ją czyniło nad wyraz trudną i przykrą dla wojewody.

W pierwszej chwili ledwie srom swój mógł przemóc, zabełkotał coś niewyraźnie i łzy mu z oczów trysnęły. Skarżył się na upokorzenie, jakiego doznał od króla, a tu on sam, z dobrej woli, na stokroć się boleśniej narazić musiał. Przybrał tym dumniejszą postawę, im boleśniej czuł się dotkniętym.

Luder zdawał się rozumieć, co się w duszy tego człowieka działo, i chciał litościwym i łagodnym się okazać.

Po krótkiej walce z sobą wybuchnął wojewoda, nie zważając ani na to, czy zrozumianym będzie i czy usłużny tłumacz za słowami jego wydaży.

— Widzicie mnie przychodzącego do was — mówił gorączkowo — bo panu temu, któremu do siwego służyłem włosa, dłużej nie chcę i nie mogę... Stała mi się krzywda... chcę pomsty... kraj, którym rządziłem lat tyle, który mu dałem i utrzymałem, jest mój do dziś dnia, pójdzie za mną.

Przyprowadzę wam wojsko w posiłek i nie lada ludzi, ale takich, co najlepiej znają tę ziemię... a ja, ja znam najlepiej nieprzyjaciela, z którym walczyć macie.

Mistrz słuchał, zaledwie lekkim głowy poruszeniem dając poznać, że rozumie. Wojewoda wybuchał wciąż z gorączką wielką, mistrz, jak by od niej ostygł, stawał się zimniejszym coraz. Nie odpowiedział ni słowa...

To jątrzyło wojewodę, który powtarzać się począł z narzekaniami i gniewy, z wysławianiem siebie. W zamian krzyżacki pan nie spieszył z żadną ze swej strony ofiarą. Wojewoda zmuszonym był przez tłumacza zażądać warunków dla siebie.

— Spodziewam się — rzekł — iż ocenicie usługę, jaką wam oddaję osobą moją i ludźmi.

Pragnę, abym się przy tej ziemi, którą wam jako sprzymierzeniec oddaję pod opiekę, utrzymał panem zwierzchnim. Nie tylko ją pozyskacie, ale pozbędziecie się króla i jego do Pomorza pretensji. Mam więc prawo domagać się...

Mistrz nie dokończoną mowę przerwał z wolna cedzonymi wyrazy, po niemiecku mówiąc dla Petrka, a patrząc chłodno i z góry na wojewodę.

— Zakon niewdzięcznym nie jest... Skoro usługa się okaże wielką, nagrodę da słuszną... Ale potrzebuje naprzód mieć to, co mu obiecujecie, a potem oceni i zawdzięczy...

— Chcecie więc, bym się zdał na łaskę lub niełaskę? — zawołał wojewoda. — Ja tu czuję się równym wam i jako z równymi mówić przychodzę. Przymierze przynoszę, mówmy o warunkach.

Mistrz spokojnie się uśmiechnął.

— Mylicie się, panie palatynie — rzekł do Petrka. — Jak skoro już tu jesteście i krok ten uczyniliście, na łaskę i niełaskę Zakonu zdaliście się dobrowolnie. Lecz wspaniałomyślny Zakon Rycerzy Grobu Pańskiego i Sług Maryi nie zechce korzystać z tej mocy, jaką mu daje nad wami nieszczęście wasze. Spokojni bądźcie!

Wojewoda postrzegł dopiero teraz może, jak daleko zaszedł i jak zwrot był niepodobnym.

W istocie był na łasce lub niełasce Zakonu, w rękach jego, nie wolnym sprzymierzeńcem, ale przymusowym sługą. Zemsta czyniła go niewolnikiem. Westchnął boleśnie. Mistrz uznał właściwym ranę złagodzić i wyrzekł kilka słów pochlebnych.

— Nie trwożcie się — począł — byśmy posługi waszej nie umieli ocenić. Jest ona dla nas przydatną i nie zaprzemy jej.

Po czym natychmiast spytał jeszcze Petrka, ilu mu ludzi przyprowadzić może wojewoda, jak zbrojnych i kiedy się z nimi stawić może. Rozmowa z namiętnej stawała się chłodniejszą i rachunkową. Lecz niepodobieństwem było wojewodzie ściśle siły zbierające się oznaczyć.

Obiecywał do tysiąca rycerstwa dobrze zbrojnego, a kilkakroć tyle ludu pospolitego, który ono prowadzić miało.

Mistrz chłodno uczynił uwagę, że najlepiej zbrojny Polak z niemieckim rycerzem na równi stanąć nie mógł i dodał, że ludu też niewiele ceni, chyba dla straży przy łupach i zdobyczy.

Zniżał tym sposobem szacunek ofiary, jak gdyby chciał razem i nagrody niemieckie uszczuplić. Dotknęło to wojewodę, zzymnął się srodze.

— Prawda jest — rzekł — że nasze rycerstwo tyle żelaza na sobie nie nosi, lecz się łacniej za to obraca, a czasu boju, gdy się na stronę, w której posiłków potrzeba, przerzucić może, wielkie usługi oddać potrafi.

Luder nie chciał temu zaprzeczać, głową tylko potwierdził, co słyszał. Rzekł potem zaraz, że mu pilno było i że posiłków tych oczekiwać długo nie może, wszystko już mając do wyprawy pogotowiu.

Wojewoda odparł opryskliwie i niechętnie, że gońców rozesłał i że w dni kilka przyciągnąć może. Mistrz na dni kilka wyraził zgodę. Tak na mały czas wyczerpana pozornie przerwała się rozmowa. Spozierali na siebie, lecz nietrudno było zrozumieć, iż wojewoda miał wiele na sercu, z czego się nie wypowiadał, co chciał obwarować i wypowiedzieć. Luder też cierpliwie czekał.

Szepnął Wincz Petrkowi, już prędko mówiąc, aby zawarował u mistrza, że ziemi tej, z której on mu żołnierza przyprowadzi, niszczyć i najeżdzać nie będzie. Nastąpiło długie milczenie, stał

mistrz zadumany, niepewny, obrachowując, co miał powiedzieć, nie spiesząc z obietnicą żadną.

— Znacie, co to wojna — rzekł w końcu. — Gdy się wyciąga w pole, wie wódz, dokąd

prowadzi, a jak daleko zajdzie i gdzie mu zboczyć przyjdzie, pewnym nie jest nigdy. Próżną tu więc byłaby obietnica, której dotrzymać nie jest w ludzkiej mocy. Zechcemy ziemię waszą i posiadłości szanować, jak posiłkującemu należy — lecz za los wojny któż zaręczy?

Poruszył ramionami. Wincz wlepił w niego oczy i nic wyczytać nie mógł w wejrzeniu

oprócz chłodu i pewności siebie, a tej wyższości, z jaką mistrz to mu dawał, *co* chciał, do niczego się nie widząc zmuszonym.

Wojewoda drgnął, zbladł, ale uczucie upadku swojego, który poczuł, ukrył, bo się go

sromał. Gorycz tą połknąć musiał i strawić w sobie. Siwa głowa opadła na piersi. Tak więc on oddawał całego siebie, życie, cześć, wierność swą, niepodległość, do jakiej nawykł — a w zamian zyskiwał tylko jedno — spragnionej zemsty nasycenie. Krew, której się miał napić, winna mu była starczyć za wszystko.

Uśmiechnął się do siebie sam.

— Zemstę — zemstę będę miał — pomyślał — choć ją okupię drogo...

Mistrz Luder, który już rozmowę za skończoną uważał, a był z niej i z siebie rad, z

rozjaśnionym czołem przystąpił bliżej do wojewody i tonem łagodnym, poufalszym, przez Petrka go rozpytywać zaczął, troskliwie niby, czy rodzinę swą uprowadził, czy bezpiecznym był od króla i królewicza, że zawczasu myśli jego nie odgadną.

Na to wojewoda mrukliwie, krótko, nie bardzo chętnie, półsłowy tylko dał odpowiedź

zbywającą. Oświadczył zarazem, iż długo tu zabawić nie może i widzianym by być nie chciał, zatem upewniwszy się o miejsce, na które się ma stawić, natychmiast mistrza pożegnać musi.

Chciał potem wznowić mowę o tym, co uparcie przymierzem nazywał, lecz Luder powtórnie zbył

go słowy ogólnymi, a co przykrzejsza, okazał cię pewien nieufności, jak gdyby do zrozumienia dać chciał, iż ten, co jednego zdradza, i drugiemu może słowa nie strzymać. Musiał i to przełknąć wojewoda, udając, jako by nie rozumiał; westchnienie z piersi mu się wyrwało.

Jeszcze rozmawiali, gdy Luder, wychyliwszy się ku kompanowi za drzwiami nań

oczekującemu, rozkazał podać wino i jedzenie, nie mogąc gościa, który widzianym nie chciał być, prowadzić do wspólnego stołu. Wszystko było obrachowanym tak, aby do uczt królewskich

nawykłemu Winczowi, który sam zamożnym był panem, okazać Zakonu bogactwo i wspianiałość.

W trzeciej izbie stał już nakryty obrusem szytym, zastawiony srebrnymi naczyniami i

pożłocistymi, szkłem weneckim, misternymi puchary i misami stół, od którego zapach silny korzennych przypraw z dala czuć było.

Tu Luder wprowadził gościa, zapraszając do posiłku przed podróżą. Sam on, do kubka nalawszy tylko nieco pigmentu, do ust go przyłożył za zdrowie wojewody.

Petrek się chciwie, nóż wydobywszy zza pasa, rzucił na jadło. Wincz nic oprócz wina nie

tknął, chleba kawałek skruszył i zadumany pił tylko. Posępność gościa, który miał odjechać z bolem w duszy, musiała nie być miłą mistrzowi, gdyż, zmuszając się do wesołości, usiłował go w lepszy humor wprowadzić. Trudne to było zadanie. Dopiero gdy o królu Łoktku, o synu jego, o głośniejszej historii na dworze Karola Roberta mówić począł, zapowiadając, iż wobec Jana, króla czeskiego, który razem polskim się zwał i był, Władysław utrzymać się nie potrafi — usta się rozwiązały wojewodzie. Namiętnie przeciwko królowi występować zaczął, wyśmiewając się i odgrażając nań.

Całe tam Łoktkowe życie przeszło przez gryzące zęby człowieka, który temu królowi

wszystko, czym był, zawdzięczał. Owe boje początkowe młodzieńcze, zuchwałe, szczęśliwe i niefortunne, ubóstwo, prześladowanie, wojskowe hasanie po kraju, pokuta, wygnanie, powrót, walki. A wszystko to, co się na najpiękniejszy obraz niezmordowanej pracy składało, w ustach Wincza było przedmiotem szyderstwa i najczarniejszych potwarzy.

Mistrz Luder, który nie siadał do stołu ani jadł z nimi, słuchał, rozumiejąc po troszę, ale nie potakiwał. Jako Krzyżak nienawidził on upartego Łoktka, który Zakonowi dokuczał i przed

papieżem go skarżył, a Pomorza broniąc opanować nie dawał. Ale od dawna słysząc o nim i patrząc nań, miał dlań poszanowanie, jakie każda wytrwałość i męstwo obudza nawet w nieprzyjacielu.

Petrek tylko, jedząc i pijąc, czuł się w obowiązku uśmiechać i podnosić, co mówił

wojewoda, aby mu się przypochlebić, niekiedy naprędce tłumacząc mistrzowi co dosadniejsze ustępy z wykrzykiwań Wincza.

Przeszła tak chwila dość długa, wojewoda spojrzął w okno i ruszył się z pożegnaniem,

widząc, że dłuższym pobytem nic już tu nie zyszcze, czując, że był jak w zasadzkę wprowadzony i schwyty, z małą lub żadną korzyścią dla siebie. Przy pożegnaniu też, gdy mistrz wielce był

uprzejmym, wojewoda rozstawał się z nim z dumą i wyraźną jakby obrazą. Sam sobie był winien

— nie było już na to ratunku.

Gdy sami znaleźli się w korytarzu, zwrócił się nagle do Petrka, który nie zdawał się uczuć jego rozumieć ani podzielać.



— Bodaj cię pioruny biły, ciebie, coś mnie tu wprowadził! — zawołał. — Z tymi lisami w mniszach sukniach i zbrojach razem, w kapturach, a przy mieczach, diabeł nie dojdzie sprawy! Petrek osłupiał.

— Samiście chcieli z nim rozmowy! — wykrzyknął zdziwiony.

Wojewoda ramionami ruszył i począł kląć.

— Głupim był — mówił idąc — trzeba ich było do mnie sprowadzić, a inaczej by się gadało.

— Z nich żaden by do was nie pojechał.

— A, bo rozumniejsi są ode mnie — zawołał Wincz — a nade wszystko zimniejsi, gdy tu we mnie kipi wszystko, kipi, wre! Ha, stało się! Jeszcze mnie całego w rękę nie mają.

To mówiąc korytarzami zwrócili się ku podwórcom, w których konie ich i ludzie stali ukryci.

Widok tych wielkich, przestronnych placów wśród twierdzy wielce teraz był ożywiony.

Zwykle dosyć puste, napełniły się przybywającymi co raz z innych burgów zakonnymi rycerzami, sergentami, pachołkami, czeladzią i wozami.

Wyprawa przeciwko Polsce, po rozejmie, gotowała się całymi siły Zakonu popartego przez przebyłych z Zachodu gości. Szeroko miano rozpuścić zagony i po drodze warowne grody zdobywać, aby się w nich sadowić samym lub nie dać chronić nieszczęśliwemu ludowi.

Przybory więc widać było niezmierne, mogące dać pojęcie, z jaką straszliwą wojną na polskie posiadłości runąć mieli Krzyżacy, spodziewając się Łoktka przestraszyć, osłabić i uczynić sobie powolnym, a pomścić się za jego skargi do papieża wnoszone.

Wojewoda stanął zdumiony tym ogromem przyrządów wojennych, które zepchnięte stały w podwórcach, jedne przy drugich, dziwne jakieś przedstawiając rusztowania, windy, drabiny, belkowania, w których lesie trudno się rozpoznać było.

Wszystko, co dawniej znanym było i używanym przy obleganiu zamków i co teraz wynaleziono na Zachodzie, a zaledwie używać zaczynało — Krzyżakom służyło. Od 1328 roku

mieli oni już moździerze długie, z sztab żelaznych spajanych obręczami i śmigownice, znali użycie prochu i kul ognistych. Gotowali się właśnie przerażać nimi polskich kasztelanów i palić zamki, których oni bronili. Wszystkie one prawie naówczas drewniane jeszcze były, rzadko gdzie jaki kawał muru się znajdował, a od podkładanego ognia broniła ich nalepa gliniana. Łatwo więc było zapalać dachy i odarłszy ściany ogień pod nie podłożyć.

Oprócz moździerzy i żelaznych działek, z którymi jak z tajemniczymi narzędziami kryli się Krzyżacy, widać było w podwórcach ogromne bleydeny, wippy do ciskania kamieni, balioty na kołach, liburny, drabiny i haki. Większe z nich, których za wojskiem ciągnąć było niepodobna, rozbierali cieśle na wozy, inne na czółna składano do przewozu.

Około nich kręcił się mnogi lud szwargoczący po niemiecku i nadzorcy stali, rozprawiając, co brać, co porzucić i jak zabierać.

Ciekawy Petrek, który już tu sznurkował wprzód i podglądał, prowadząc wojewodę wśród

tego lasu, kędy drogę sobie utorować nie było łatwo, zawiódł go umyślnie do miejsca, gdzie nowe przybory do wyrzucania ognia i kul kamiennych stały osobno pod strażą. Tu najwięcej też się ludzi skupiało, opowiadając o cudownej sile jakiegoś czarnego proszku, którego parę garści starczyłoby, by ogromną kulę, którą ludzi kilku zaledwie podnieść mogło, cisnąć na nieprzyjaciela...

Opowiadano sobie, że pobożny jakiś mnich, zabawiający się robieniem lekarstw i różnych

eliksirów, za przyczyną patronów świętych, ten straszny ogień wynalazł, aby on służył przeciwko poganom na chwałę bożą. Uczeńsi utrzymywali, iż robiono go z siarki, soli jakiejś i węgla i że pobożny też Albertus Wielki, mnich w Kolonii, znał już tego ognia siłę i jej używał...

Wincz mógł z dala przypatrzeć się niepozornemu żelaznemu działu i na wozie złożonemu

moździerzowi. Postali, poruszyli głowami, a że tu na nich krzyżacka służba z nieufnością patrzyła, wprędce musieli odstąpić i szukać ludzi swoich i koni.

Te przygotowania do strasznej wojny, której skutki znał dobrze wojewoda, choć ona do

pomszczenia go przyłożyć się miała, zachmurzyły mu czoło bardziej jeszcze. Któż kiedy w

pochodzie strzymał zwycięskich Krzyżaków, jeśli się im poszczęściło, a z bezbronnymi mieli mieszkańcami do czynienia? Wincz wiedział, że i jego ziemie, dwory, poddani, jeżeli się na drodze znajdą, poszanowanymi nie będą.

Wszędzie, kędy przeszedł zastęp krzyżacki, zostawała po nim pustynia, zgliszcza i nawet

Bogu poświęcony kościół ni klasztor się nie ostał. Nie brali niewolnika, wycinali w pień. Z

tatarskiej niewoli okupić się było można, spod miecza krzyżem naznaczonego nikt żyw nie uszedł...

Gdy sprawiwszy poselstwo swe Florian Szary z Surdęgi nad Pilicą wyszedł ze dworu

wojewody Wincza, szukając sobie noclegu krótkiego, bo się wnet nazad ze sprawą do swojego wodza Hebdy do Sieradzia chciał pospieszyć — Włostek, prawa ręka wojewody, zastąpił mu drogę i ofiarował się izbę ukazać, zapraszając na kubek miodu do pościeli zwykle wychylany dla snu lepszego.

Czynił to w myśl pana swojego, a może z rozkazu.

Szary, który do rozmów wesołych, do pogadank żartobliwych cale nie miał ochoty, w kubku też pociechy nie zwykł był szukać, choć troski miał dosyć na głowie — grzeczną ofiarę pułkownika przyjąć musiał, lecz milcząco, na swój sposób, spokojnie i chłodno.

Zaszli do osobnej izbiny, gdzie już i ogień znaleźli naniecony i dzbanek gotowy i łoże

posłane, a przez pachółka Florianowego opończą jego i skórą narzucone. Przysiadł się Włostek, żołnierz od dzieciństwa, wychowanek wojewody, służka powolny, zręcznie usiłując Floriana wybadać, z ciekawości niby, jakie tam i gdzie siły król zbierał i kędy miał iść z nimi.

Florian, choć podejrzenia najmniejszego o knującej się zdradzie mieć nie mógł, instynktem, a po trochu i naturze swej posłuszny, nie bardzo się wygadywał. Składał się niewiadomością swą, że go dopiero teraz Hebda z domu wyrwał, że niewiele co było mu wiadomo.

— Tyle wiem — rzekł — że król bardzo pilno zbiera ludzi, a i Węgrów zaciężnych będzie miał, i Litwa mu się też posiłkować przyobiecała.

— No, to siły, dzięki Bogu, znaczne zbierze — mruknął Włostek — ale takich też na

Krzyżaków potrzeba, bo ludzie bardzo mocni są i także nie sami. Za plecami ich i król Jan, i Niemców siła...

Nie znalazłszy w Szarym żadnego popędu do rozgadania się przy kubku, bo mu tylko

półsłowami odpowiadał i zdał się jakby znużonym i sennym, co po podróży dziwnym nie było, Włostek, nie bawiąc tu nadaremnie, dobrego snu życzył gościowi i wyszedł z izby.

Szary, sam pozostawszy, ciężko westchnął, począł odzież na sobie zwalniać, pas zdjął i

przybierał się do łoża, naprzód pokłękłszy na modlitwę. Ród to bowiem był pobożny bardzo i w bojaźni bożej chowany.

Miał pokłęknać, gdy od drzwi coś zaszelpotało.

Myślał pan Florian w początku, że w kominie ogień się ruszył usiadając i odwrócił ku

niemu, patrząc, by głównie na podłogę się nie stoczyła — gdy w ciemnym kącie dojrzał kogoś stojącego i jakby skradającego się ku niemu.

Kto by to mógł być — zrozumieć było trudno. Wśliznął się dopiero, ostrożnie drzwi

uchyliwszy człek ten, cały otulony opończę, której kołnierz wysoko mu stał napięty dokoła głowy i zakrywał ją całkiem prawie. Stąpał noga za nogą tak, aby chodu jego słyhać nie było. Nie mógł

wszakże złodziejem ani napastnikiem być, bo oko w oko patrzył na Szarego i znaki mu ręką dawał, aby milczał. Ziemianin nasz wielce był zdumiony.

Doszedłszy do granicy tej, gdzie się ciemność kończyła, a blask od komina poczynał, stanął

ów tajemniczy przybysz i palcami znaki dawał Florianowi, by się ku niemu przybliżył. Coraz więcej zdumiewał się Szary, co to oznaczać miało.

W mroku człeka rozpoznać nie było można i on też nie chciał pono się bardzo ukazywać.

Był wzrostu niewielkiego, krępy, czapkę miał nasadzoną na czoło i kołnierz prawie do niej dochodzący tak, że ledwie ślepa widać było, gdy migały.

Nie zawahawszy się i nie pomyślawszy nawet o wzięciu miecza, który już odparał i na

pościeli położył, Szary podstąpił do dającego mu znaki. Zbliżywszy się tuż, twarzy nie rozeznał, lecz głos posłyszał stłumiony a szparki.

— Kiedy ci król miły i wiernyś sługa jego, chodź! I naglic zaczął chwyciwszy go za pętlę u sukni.

— Chodź!

— Dokąd?

— Mało stąd, mało, gdzie byśmy się bezpiecznie rozmówić mogli.

To mówiąc, zawrócił się nieznajomy człek, wysunął przez drzwi, oglądając za siebie, i jak by go co tknęło jeszcze, rzekł Florianowi.

— Okno wprzódy zasłońcie, aby nie podpatrzono, że was w izbie nie ma.

Szary zaciekawiony posłuchał rady, choć całej tej osobliwej tajemnicy nie rozumiał ani po co go z izby wyciągano. Zakłęcie: jako ci król miły — wiele poskutkowało, bo całym plemieniem owi z Surdęgi, jak znaczniejsza część Sieradzian, do Łoktka byli przywiązani.

Z izby wyszedłszy, omackiem musieli po sieniach iść, aż w bezpieczniejszym kącie jakimś

prowadzący stanął, za suknią ujął Szarego i do ucha mu się chyląc szeptać zaczął.

— Pan Bóg cię tu miłosierny przyprowadził. Wszak Hebda królowi wierny, a i wy?

— A komuż byśmy sprzyjać mieli? — odmruknął urażony niemal Szary. — O to i pytać się nie godzi.

— Słuchajże i bądź posłuszny — ciągnął dalej głos drżący, w którym Szary męski, silny, ale stłumiony poznawał. — Pan Bóg cię tu przywiódł... Pan Bóg! Sam on! Miłosierdzie jego... Nad królem wisi straszna zdrada. Ten, ten, którego on zrobił wielkim i potężnym, ten pan wojewoda Wincz, zły, że mu dla młodego pana odebrano rządy, zemstą się pali, idzie do Krzyżaków z całą swą siłą i poprowadzi ich na królewskie grody.

Spokojny dotąd i chłodny Florian rzucił się oburzony.

— Na imie Chrystusowe! To nie może być! Kto? Wojewoda?

— Psyt, milcz! — począł drugi ciągnąc go za suknię. — Ja ci to pod przysięgą zeznaję, jak Boga oglądać pragnę. Prawda jest... Ja należę do wojewody, jam w jego rękę. Gdyby się domyślał, że go wydaję, jutro by mnie obwiesić kazał, na stan nie zważając... Ale sumienie mam, ale pobożnego króla starego bronić muszę. Czas jeszcze, aby nieszczęściu zapobiec można. Jedź, jedź

naprzód nie do Hebdy, ale do Poznania do młodego pana, do Kaźmirza. Ten o niczym nie wie, a pod nim ogień podkładają. Potem w skok do Hebdy, aby staremu panu dawał znać. A niech się wam nie roi, że wam lada kto po ciemku baśń do ucha włożył. Bogiem się klnę — prawda to jest...

Zdyszany szybkim mówieniem nieznajomy mąż tchnął nieco, a Szary stał coraz więcej

zdumiony, aż mu się w głowie zawracało. Nie wiedział, czy miał wierzyć słowom i przysięgom, obawiał się jakiegoś podejścia, aby go na złe nie użyto.

Pomimo zaklęć nie chciał wierzyć, aby ten wojewoda, z którym niedawno mówił, a o

którym wiedział, że z dawna mu król ufał i całą tę Wielką Polskę zdawał na niego — miał pana swego haniebnie zdradzić.

Słyszał o tym, że Kaźmirza do Poznania z żoną wysłano, ale nie zrozumiał, jak by urzędnik miał zazdrosnym być o należną królewiczowi władzę. Milczał więc w niepewności wielkiej i rozdarty na poły między obawą łatwowierności lub niedowiarstwa.

Mówiący odpoczął chwilę i, nie doczekawszy żadnej odpowiedzi, odezwał się do Szarego.

— Rozumiecie mnie? Posłuchacie?

— Rozumiem ci — odparł Florian — ale żebym spełna już wiarę dawał, nie powiem. Widzi mi się to niepodobnym do prawdy, a może mściwym...

— Człeczcie! — przerwał głos groźny. — Nie mogę ci powiedzieć, kto jestem, bo życie ważę, ale klnę ci się Przenajświętszą Krwią Chrystusową... Słuchaj... Kapłan jestem, ksiądz jestem. Nie ważyłbym takiego słowa, co na szali jak kamień zawisnie, gdybym nie wiedział, iż prawdę w sobie zawiera.

Florian milczał. Większe miał teraz poszanowanie dla tego, z kim mówił. Poczował się do należącego posłuszeństwa.

— Cóż mi czynić każecie? — spytał.

— Powtórzę ci: Do Poznania mi stąd jedźcie do samego młodego pana. On o niczym nie wie, do ostatniej chwili się niczego nie domyśli. Zdrada go otacza, wojewoda ma u jego boku swoich ludzi. Żadnemu wierzyć nie można okrom Trepki. Powiedz mu to i niech się na ostrożności ma. Niech lepiej do ojca i do wojska jedzie z Nekandą, a nie siedzi w Poznaniu. Długo się na tę zdradę zbierało, długo Wincz z sobą się rozpierał, ale już paskudny wrzód w nim dojrzał, już.

Rozkazy wydane, on sam pewnie z Petrkiem Kopą do Krzyżaków pojedzie. Z Poznania albo do króla starego z tym słowem jedź, lub do Hebdy — dokąd bliżej, gdzie staniesz prędzej, znać dawaj, a spiesz, a leć!

Żywa dusza jeszcze nie wie o tym, co się knuje, oprócz zauszników wojewody. Król bezpieczny rachuje na posiłki z Wielkopolski, a one przeciw niemu pójdą, przeciw niemu... I ziemię naszą wezmą Krzyżacy niepocziwi. I wy, i Łoktek zginie!

Choć w ciemnościach twarzy mówiącego dojrzeć nie mógł Florian, z głosu drżącego poruszenie wielkie i niepokój odgadywał. Jeszcze raz bojaźliwie, po cichu spytał.

— Więc do Poznania?

— Nie mówiąc nikomu — dodał nieznajomy — nikomu. Nie nocuj tu długo, każda godzina droga.

To rzekłszy począł go nazad do izby prowadzić nie znany człek, do drzwi jej dowiódł i, rękę położywszy na głowie, szepnął po łacinie:

— *Benedicat te Deus!*

Szary chciał go w rękę pocałować, ale obróciwszy się, już tylko szmer odchodzącego posłyszał. Po cichu więc wsunął się do izby, w której ogień był przygasł, i jak stał, na pościel się

rzucił, nie żeby spał, lecz by spoczął i rozmyślił się.

Do jego własnych ciężkich trosk przybyła mu teraz nowa, a nad nie straszniejsza. Nie o jednego tu człeka szło, ale o tysiące, a najbardziej o tego starca króla, który całe przewalczywszy życie, nie zaznawszy spokoju, nie wzięwszy za trud swój zapłaty — z siwym włosom, ze starganymi siły stał teraz znów u brzegu przepaści, nie wiedząc o niej.

Litość wielka zdjęła mu serce dla pana tego, który tylu miał już nieprzyjaciół, a tu mu własny sługa miał się stać wrogiem. Twardej natury, nigdy do łez nieskłonny, Florian o mało nie zapłakał.

Nie było tu co już do snu się kłaść, bo znużony mógł rano zaspać. Zatrwożył się — pierwsze kury już słyhać było. Przyłożył parę polan na ognisko — zadumał się.

Pilno mu było przed wyprawą zajrzeć do domu, ależ stokroć teraz pilniej do Poznania, do królewicza z językiem. Wiedział, jak stary król jedynaka swojego miłował, bo na nim całą rodu swego złożył nadzieję i przyszłość, a tam temu ukochanemu zdrada już uknuta zagrażała.

Spieszyć więc musiał, a baczny być.

Wszystko to w sobie wążąc, Szary ucha nastawiał, rychłoli drugie kury zapieją. Dzień

jesienny wprawdzie nierychło miał nadejść, lecz przypomniał sobie, iż resztką księżycy ostatek nocy mogła oświecić. Szło tylko o to, aby w tym dworze i nie znanych szopach, wśród natłoku ludzi, konie swe i czeladź znaleźć po nocy, nikogo nie budząc i na siebie oczów nie zwracając.

Piały drugie kury, gdy Szary podniósł się z pościeli, czapkę wdział, miecz na wypadek

wszelki przypasał, bo bez niego nocką w obcym miejscu wyjść nie było bezpiecznie, i wysunął się z izby, szukając drzwi na podsienie.

Starym obyczajem wszystko tu stało otworem. W podwórcach się spodziewał, wychodząc,

znaleźć sen i ciszę, lecz zdumiał się bardzo mocno, gdy stanąwszy u wielkich drzwi i wyglądając ku wodopojowi i szopom, postrzegł między ludźmi wojewody ruch wielki. Poza studnią rozpalone było ognisko i ludzie się około niego jak ćmy kręcili. Noc w istocie, jak się spodziewał, nie bardzo była ciemna, dostrzegł więc, że niektórzy na koń wsiadali i ruszali się już w drogę, drudzy w podwórku konie wiedli, inni, nie śpiąc, przy ogniu czuwali.

Z postawy człeka, który, przeciw płomieni stojąc, jak czarny cień się wydawał, zdało się Florianowi, iż Włostka poznawał.

I jemu więc tym bardziej czas było w drogę. Nie myśląc długo posunął się ku szopom, aby czeladzi się dobudzić, o której wiedział z doświadczenia, że sen miała twardy.

Szczęściem dlań pachole jego, zaniepokojone tym nocnym ruchem, który we dworze panował, nie spało i, poznawszy kroczącego pana, podbiegło ku niemu spod szopy. Konie nakazawszy natychmiast siodłać, Szary spokojniejszy do dworu powrócił, przyodział się, jak należało, i wprędce zabrawszy, co miał, do przedsieni wyszedł czekać.

Bardzo mu o to szło, aby jego wyjazdu tak pospiesznego nie dostrzeżono, lecz było to prawie niepodobieństwem.

Musiał więc wreszcie konia dosiadłszy powoli ciągnąć i nadchodzącego Włostka pozdrowić, rad, że mu się bez przeszkody za wrota wydobyć udało.

Drogi do Poznania nie pamiętał wprowadzić ani o nią mógł pytać, aby podejrzania nie obudzić, instynktem więc ruszył ode dworu w prawo, choćby miał pobłądzić, postanowiwszy rychło u ludzi nie badać o gościniec. Musiał się na łaskę bożą spuścić i na oślepie ciągnąć po nocy.

Księżyc, przekrojony już na pół, kawałkiem mu przyświecał po troszę aż do dnia.

Ku lasom się zbliżał, gdy i pierwsze brzaski na niebie się ukazały. Z nimi też i ludzie w polu musieli się zjawić, pastuchy z bydłem, a później z radłami i bronami rolnicy. Pustą jednak wydawała mu się okolica i żywego ducha w niej, oprócz stad wron i kruków, nie znalazł, które zobaczywszy, jak od złych proroków się przeżegnał.

Był już na skraju lasu, gdy nareście człeka zobaczył z dala o kiju krocącego. Spozregł go daleko wprzód, nim on się widzianym być spodziewał. Mężczyzna wydał mu się silnym i roslym, chociaż o kiju szedł i podobnym był ze stroju, łachmanów i torby do żebraka.

Lecz gdy Szary właśnie się mu przyglądał, stał się cud. Ów żebrak wnet się zgiął, zgarbił, zmałał, na kiju począł ciężko opierać i wlec tak nogą za nogą, jak gdyby ledwie mu na to sił stawało.

Bystre miał oko Szary i ta nagła odmiana nie uszła mu. Lecz że ubogich siła się takich

włóczyło jeszcze, wróżbitów, śpiewaków, nędzarzy, a ci się często schorzałymi czynili, aby litość obudzić, tak to sobie Florian wytłumaczył. Baczenie jednak wpatrywał się w żebraka, który tym samym przeciwko niemu szedł gościńcem. Widać teraz było, że głowę miał z karkiem



przekrzywioną, a krzyże jakby złamane, choć niedawno przysięgłby był Szary, że go prostym z dala ujrzał.

Zwolnił koniowi kroku, bo się u żebraka o drogę chciał popytać i na równi z nim stanąwszy stanął.

Żebrak się pokłonił, rękę wyciągając, podniósł też nieco i głowy, o ile mu kark pozwalał.

Oboje — twarz i ręka jakoś się dziwnymi zdały Szaremu. Twarz miał białą i rysów

niedziadowskich, oczy wielkie i mądre, rękę nie zapracowaną. Tylko usta wykrzywione, z wargą dolną jakby naumyślnie odwaloną, nadawały mu wyraz znękanego i cierpiącego. A oczy, jakby u kogo innego pożyczone, patrzyły.

— Dobrzeć jadę do...

Tu Szary się pomiarkował i zmienił pytanie.

— Dokąd prowadzi ta droga, bom obcy?

Dziad się począł mu przypatrywać, nie spiesząc z odpowiedzią, a gdy się na nią zebrał, zabrzmiał głos jego dziwnie. Polską miał mowę, ale nie prostych ludzi i dźwięcząca jakby z obca.

— Droga? — powtórzył — droga? Toć do Poznania ona. A wam, miłościwy panie, dokąd trzeba?

Florian się zamyślił.

— Do kata! — zawołał. — Nie do Poznania mi... Ano, co robić... Nawrócę dalej, gdym zbłądził.

Sparłszy się na kiju dziad stał i z oka nie spuszczał jeźdźca.

— Wyście tuteczni? — pytał Florian.

— E! Z całego świata! — mruknął dziad. — Kto z torbami chadza, domu nie ma i wszędzie mu dom, byle łom!

Westchnął. Florian z kalety dobył pieniążka i rzucił mu go na tę dłoń białą. Nie ruszał się żebrak, nie jechał Szary.

— Rozpowiedzcież no mi, dokąd ja zajadę tym gościńcem? — począł.

— A toć droga wojewodzińska, co ją wyjeździł pan Wincz, ludzie prawią — zamruczał

dziad. — Ja tam nieświadom. Panisko też nietuteeczny — mówił — pewnie od wojewody po sprawie posłany, bo on, słyszę, w Pomorzanach.

Szary zmilczał, rozmyślając i nie odpowiadając; wolał sam rzucić pytanie.

— Po świecie co tam słyszać?

— Co? jak nie mór, to głód, jak nie głód, to wojna — prawil żebrak — a teraz coś ludzie bardzo na wojnę prawią. Nie daj, Boże! Jak się pierwsze sioła zapalą, pójda wszyscy w lasy... Krakają już krucy, krakają, aż wykrakają...

W końcu zniemacka rzucił znowu dziad ciekawy.

— Panko nie do Poznania? Florian gniewnie ręką zamachnął.

— Gdzie zaś!

— To nawrócić trzeba, nawrócić! — rzekł dziad.

— Wprzódy gospody muszę szukać i popaść — mruknął Szary. — Z Bogiem!

I wyminął żebraka. Ten stał skurczony, a gdy Szary go za sobą zostawił, zwrócił się, powoli prostować zaczął i gdy go już nie widział, kark mu się odgiął i krzyże — zrobił się chłop silny, z szyderskim uśmiechem na twarzy. Żywym krokiem ciągnął wprost do Pomorzan.

Florian wjeżdżał w las, gdy mu pachole szepnęło.

— Toć dziad złodziej czy co — zza pazuchy mu świeciło coś schowanego jakby ze złota.

— Tobie aby mosiądza kawał za złoto świeci. Krzyżyk na sznurku musiał mieć od uroku.

Chłopak nie rzekł nic, lecz głową potrząsał.

W las wjechawszy a drogi swej pewien będąc, poprawił się na siodle Szary, konia ścisnął i obróciwszy się do czeladzi, aby nie zostawała w tyle, z kopyta ruszył.

Słońce weszło na szczęście podróżnemu wesołe i jasne, mgły jesienne rychło w dół

pospadały, co było dobrym na pogodę znakiem, pajęczyny świeciły po polach jak srebrem zasnutę, dzień się zrobił taki, jak by chciał wiosnę przypominać, tylko ciepły do zbytku.

Jechali też krajem, którego dawno wojna nie tknęła, choć lesistym, lecz tu i owdzie

osiedlonym i znacznie przekarczowanym. Na ścierniach się trzody pasły i ludzie na widok

podróżnego nie bardzo odeń uciekali.

Okolo południa trafiła się i gospoda z szopą, gdzie koniom było można dać spocząć i napić je. Do Poznania już nad wieczór się spodziewał dociągnąć Szary, myśląc teraz, jak ma się na zamek dostać, aby wśród tych zdrajców, o których go przestrzegano, poznanym i odkrytym nie był, a do królewicza mógł trafić.

Przystęp pewnie trudnym ziemianinowi żadnemu nie był. lecz z czym się miał opowiadać, aby się nie odkryć — sam nie wiedział.

Człek był pobożny; gdy mu własnego nie stawało wątku, obyczaj miał, iż do Boga o pomoc wzdychał, a ta mu nigdy potem nie chybiła. I na ten raz też myślał sobie, że byle do miasta się dostał, i na zamek potrafi.

W tych myślach ku wieczorowi, gdy już wedle rachuby swej o jaką milę albo i mniej był od miasta, a wieczór tak śliczny mu sprzyjał, że i droga się nie dłużyła, wjechał do lasku i zwolnił kroku.

Gościniec się nim wił sobie pomiędzy drzewy, jakby z ludzi żartował; co raz to łączkę zieloną, to rzeczulkę było widać, to skupiony gaik gęsty, to rozpierschłe drzewa stare, co się porozbiegały od siebie, szeroko gałęzie rozpościerając. Lubo jechać mu było, więc się nie spieszył.

Wtem gdy tak jedzie, ucha nastawił, z dala go śpiewy doleciały, pomieszane z wesołymi śmiechami. Poznawał głosy kobiece...

Słyszał nieraz Szary ludowe pieśni i słuchać ich lubił, a że młodszym będąc, nie tylko sieradzkie, łeczyckie, kaliskie, ale krakowskie i sandomierskie zwiedzał okolice i różnego polskiego wieśniaka znał zawodzenia, choć po troszę od siebie różne, a jednak do siebie podobne, zdziwiło go to, że pieśni, które go dochodziły, i nutą, i językiem były odmiennym nucone. Ślicznie one brzmiały, tęskno, marząco, słodko, ale obco.

Dotąd jednak śpiewających nie mógł dostrzec podróżny. Dopiero gdy się droga zakreśliła nagle, musiał aż konia strzymać, bo tuż, tuż osobliwy orszak nadciągał, jakiego w życiu nie widział i nawet wyśnić było trudno, a zrozumieć, kto tak jechał śpiewając i po co, trudniej jeszcze.

Przodem na siwym, małym, ładnym koniku jechała piękna pani. Konik na pół był okryty szkarłatną oponą ze złotymi brzegami i kutasy, rząd na nim świecący złocony miał wielki guz, złocisty także, na piersiach, na głowie czub, a pod szyją wiszące sznury pąsowe ze złotem.

Jadąca na nim z podniesioną do góry główką kobieta włosy miała jak len jasne, w

kędziorach spadające na szyję, a po nich spływające dokoła twarzyczki na ramiona, zasłonę białą, po brzegach szytą złotem. Suknia na niej jasna, poprzepasywana i bramowana, szyta wzorzysto, obcisła, okryta była płaszczykiem lekkim fioletowej barwy, który więcej ją stroił, niż osłaniał.

Wesoła to była i szczęśliwa jakaś istota, śmiały się oczy jej, usta, rumiane lice, gładkie czoło.

Śpiewała z takim zapałem, tak sama swą pieśnią szczęśliwa, jak by dla niej największą było rozkoszą nucić i słuchać piosenki.

Za nią na koniach, na wozach i pieszo szły dziewczęta w zielonych wiankach rucianych,

poubierane biało, poprzepasywane i postrojone kwieciem, tak rozśpiewane jak pani, towarzyszące jej głosami i uśmiechy. Kilku starszych mężczyzn, jakby na straży, jechali konno, a młodsze pacholęta szły przy koniu pani, uzdy jego pilnując. Ona bowiem sama, cugle szkarłatne

zarzuciwszy na rękę, na żwawego konika zważała mało, a siwy, wypasiony wierzchowczyk miał

fantazji wiele, głową rzucał, pobrykiwał, zrywał się, chciał swawolić. Naówczas jeden z chłopaków idących przy nim chwycił żwawo za uzdeczkę, zmuszając go do posłuszeństwa i spokoju.

Orszak to był wesoły i jakby weselny, a na twarzach kobiet, które pięknej jasnowłosej

towarzyszyły, widać było, że troski żadnej nie znały, świata się radowały i pani swej nie miały przyczyny obawiać. Coraz to która wyrwała się z orszaku za kwiatkiem, za zieleńszą gałęzią, popychały jedna drugą, a wśród śpiewania gziły się i zaczepiały, rozbiegały, goniły i przypadały aż do koni i wozu.

Wśród tego różnobarwnego zastępu, bliżej samej pani i siwego konika, postępowało, a

raczej szło, skacząc, wyprawiając jakieś sztuki, rękami wywijając i prawiąc coś głośno, z czego się drudzy śmieli — dwóch ludzi osobliwie przybranych.

Jeden z nich, bardzo małego wzrostu, w obcisłym odzieniu, trzewikach z bardzo długimi

nosami, z brzękadłami u pasa, z pałką w rękę, do której jak cep przyczepiony był ogon lisi, w czapce spiczastej, pstrej, miał twarz długą, żółtą, z bródką chudą i czarną.

Drugi jeszcze przysadzistszy, gruby, jak kula się toczył. Niepomierne otyły, z twarzą

okrągłą, bez zarostu na niej, suknie miał naszywane w różne figury fantastyczne kawałkami materii jaskrawych.

Ci dwaj, których obowiązkiem zdawało się być zabawiać swą panią, odwracali się ku niej,

patrzyli jej w oczy, dopominali się o uśmiech, popisywali przed nią. Gdy im brakło konceptów,

wzajem się drażnili, stawali do boju niby, rzucali pociesznie, a dziewczęta przypatrujące się im pękały ze śmiechu.

Mężczyźni jezdni, którzy stanowili straż, bardzo wytwornie byli postrojeni na sposób

cudzoziemski, ale mało zbrojni. Widocznym było, że się niedaleko wybrali i zbroi wkładać nie potrzebowali. Chociaż otaczało ich wesele i śpiewy brzmiały dokoła, jechali poważni i niemal nasepieni, jakby z przymusu i obowiązku.

Duszą całego orszaku była młoda i żywa pani, która i sama śpiewała, i wesołością swą, wejrzeniami, drugich pobudzała, zmuszała, aby jej radość dzielili.

Jadący naprzeciw Szary, zobaczywszy tę dziwną gromadkę rozśpiewaną, którą wziął z razu

za jakieś wesele, dopiero przypatrzywszy się jej baczniej i nie widząc ani marszałka, ni drużbów, ni ręczników, przekonał się, iż się omylił. Tym więcej jeszcze dziwił się temu zjawisku i oczy wlepił

w śliczną panią, której różowe usteczka otwarte białymi ząbkami się śmiały, a oczy niebieskie zdawały we łzach rozkosznych roztapiać. Zsunął się z drogi na bok, ustępując orszakowi, Florian i domyśliwszy się, że pani dostojną być musiała, głowę przed nią skłonił.

Wszyscy towarzyszący jej bacznie zwrócili oczy na Szarego, obcego w nim poznawszy.

Szczególniej straż konna przyglądała mu się, a on, który też między nią twarzy znajomej szukał, znaleźć nie mógł.

Oprócz tego, że na wojenne wyprawy chodził, gdy zawołano, pan Florian po dworach i w

stolicach rzadko bywał, ludzi znaczniejszych znał mało. Niewielką też miał nadzieję napytać tu kogo dla języka, gdy jeden z jadących za orszakiem zbliżył się doń i pozdrowił go po nazwisku.

— Wszak Szary ze Surdęgi? — zawołał — jeśli mnie nie mylą oczy.

Ucieszył się wielce pan Florian, bo mu się to zdało opieką bożą, iż znajomego znalazł, choć poznać go nie mógł.

— Nie poznaliście Beńka Gozdawy, hę? — ozwał się, śmiejąc, jezdny. — Tożeśmy przecie

rany sobie zawiązywali na ostatniej wojnie!

Florian aż krzyknął z radości, nie że człowieka znalazł, ale że mu się właśnie Beńko trafił, z którym pobratymcami byli od krwi razem przelanej.

V

Usunął się Beńko nieco, gdy orszak przeciągał, i stanął przy Szarym z boku.

— Z kimże to jedziecie i co to za zabawa jest? — szepnął Szary. — Patrzę ja, ale nie wiem i nie rozumiem nic. Cóż to, czy swadźba, czy wesele? Gdzież druhowie i pan młody?

Beńko ramionami ruszył.

— Toście to nie słyszeli i nie wiecie? — zapytał.

— A skądże i co wiedzieć mam? — rzekł Szary. — Jam zakuty doma.

— I nie domyślacie się, kto ta pani? — śmiał się Beńko.

— Nie wiem, ani się domyślam — rzekł Szary.

— Ale słyszeć przecież musieliście, że młody nasz syn królewski Kaźmirz ożenił się z

księżniczką Litwinką. Toć to ona jest, nasza przyszła, da-li Bóg, królowa, po swojemu zowiąca się Aldoną, a po chrzcie świętym Hanną.

I nie czekając odpowiedzi Szarego ciągnął dalej.

— Widzicie, jaka wesoła pani jest. Bo to młode i życia chce używać. Nasi księża do

rozpaczy z nią doprowadzeni, boby z niej jaką Salomeę lub Jadwigę uczynić chcieli, a tu na nią sposobu nie ma. Pomodli się z rana w kościele, a potem skoczy do dziewcząt swych i już się pieśni litewskie rozlegają po całym zamku. Bez śpiewania i śmiechu ta ptaszyna żyć nie może. Ot, co widzicie, my na to co dzień patrzym. A że jej na zamku strach księży, w pole wyciąga z

dziewczętami, aby śpiewać swe pieśni litewskie. Nic by to nie było — tylko że nasi duchowni ani w ząb tego śpiewu nie rozumieją i bardzo się trwożą, iż nieochybnie tam rzeczy pogańskie ich, litewskie tkwić muszą. Chcieli królewiczową innych pieśni uczyć, pobożnych — nie sprzeciwiła się im, ziewała tylko srodze, ramionami ruszała i do swoich powraca, bo powiada, że nie ma jak te jej litewskie pieśni.

Szary milczał. I dla niego te śpiewy w języku pogan, dla Polaków niezrozumiałym, wielce podejrzane były.

— To jeszcze młode bardzo — mówił dalej Gozdawa — na pół dziecko, ale z czasem obyczaj naszego się nauczy.

— Hm! — rzekł Szary — a do czegoż jej ci dwaj służą błaznowie, co przodem przed koniem kroczą?

— Rzekłeś sam — rozśmiał się Beńko — błaznowie są. Jeden, co po prawej ręce z lisim

ogonem, to nasz prawy, po polsku błaznujący, z Krakowa rodem. Zowią go Lisicą. Ten że jej nie bardzo do smaku, więc drugiego, tego opasłego baryłę z Wilna sobie ściągnęła, a zowią go jakoś tam z litewska Keleweże.

Szary głową pokręcił.

— To i dziewczęta pewno Litwinki być muszą? — zapytał — bom pieśni słuchając nic zrozumieć nie mógł.

— Są między nimi i Krakowianki, i tuteczne z Poznania — odparł Beńko — ale najwięcej Litwinek, bo te tylko jej pieśni umieją śpiewać, a ona bez nich by nie wyżyła.

— Królewicz w Poznaniu? — spytał rzucając na Beńka wejrzenie bystre Szary.

— Jest — rzekł Gozdawa — ale się do ojca ciągnąć wybiera, bo wiecie, że do wojny się sposobią. Trzebaż mu u boku króla być.

Po krótkim milczeniu chętny bardzo do rozmowy Beńko dodał.

— Może się naszemu Kaźmirzowi na wojnę i nie bardzo chce, choć mu pewnie na męstwie nie zbywa, ale on jakoś w tych krwawych bojach, w których myśmy wzrosli, nie smakuje. Powiada zawsze, że dużo w domu jest do roboty, a czas by pokój mieć, aby lepiej u siebie pogospodarować.

— Dziwna to rzecz — odezwał się Szary — że po ojcu nie wziął ochoty do wojny, bo król od dziecka nie robi nic, ino wojuje.

— Tak, aleć bywa nieraz, że właśnie po skąpym następuje rozrzutny, a po marnotrawnym oszczędny. Może i my pana miłośnika pokoju dostaniemy po Łokciu.

Tu dopiero Beńko, jak by sobie przypomniał, o co mu najpilniej pytać było, zwrócił się do Floriana i rzekł.

— A wyż tu do nas z czym i po co? Boć to wy czasu nie zwykliście marnować i pewnie was Hebda zabierze na wyprawę.

Szary się troche z odpowiedzią strzymał, nie wiedząc z razu, czy całą prawdę rzec, czy

przez pół, czy skłamać. Sprawa była ważna i lada komu się jej zwierzać nie godziło. Nie wiedział, czy Beńko, choć do Kaźmirzowych sług się liczył, do wojewodzińskich przyjaciół nie należał.

Wolał więc wybadać go nieco i rzekł.

— Jam do pana wojewody był posłany...

— Ale go w Poznaniu nie masz — odpowiedział Gozdawa. — Podobno ze złości i gniewu do swoich Pomorzan uciekł.

— Za cóż gniew? — patrząc nań, zapytał Szary.

— Długo by opowiadać — ramionami ruszając, prawił Beńko. — Król tu posadził mu pod bokiem syna, a w ostatku, jak słuszna, żeby się młody do rządu zaprawiał, dał mu wielkorządy, które Wincz długo piastował. Łatwo to zrozumieć, iż wojewoda, spadłszy z tronu, rozsierdził się.

Żli ludzie nawet prawią, czemu ja nie wierzę — dodał Gozdawa — że wojewoda gotów...

przeciw królowi pójść. Straszna by to była rzecz pod ten czas, uchowaj Panie, bo Wincz ma za sobą niemal wszystkich ziemian wielkopolskich.

Szary teraz już był pewien, iż z Beńkiem otwarcie mówić może.

Orszak królewiczowej śpiewający oddalił się był nieco i podniesione tylko głosy dziewcząt dochodziły ich. Zostali sami.

— A nie trzeba wam z panią waszą ciągnąć — spytał Szary — żeby was nie zatrzymywał?

— Musu w tym nie ma — odparł Gozdawa. — Dla bezpieczeństwa zawsze kilku nas towarzyszy jej, gdy wyjeżdża, ale jednym mniej lub więcej nikt nie zważa.

— A nie moglibyścież ze mną do Poznania? — szepnął Szary — bo prawdą a Bogiem mam sprawę ważną i bez was mi się ciężko obejść będzie.

Spojrzał Gozdawa nań.

— Czekajże — zawołał — skoczę ja do starszego, do pana Włodka i opowiem mu się, a potem cię poprowadzę.

— Ale ani Włodkowi, ni komu o mnie, ani o żadnej sprawie ni słowa! — wtrącił Szary żywo. — Powiedzcie, że... przyjacielaście napytali.

Głową skinąwszy tylko Beńko skoczył, konia napałszy, ku orszakowi i w mgnieniu oka już nazad był.

Nie było już co się z prawdą drożyć. Począł Florian opowiadać, co mu się w Pomorzanach



trafiło i z czym go posłano... Zasepił się Gozdawa wielce.

— W samą porę przybywacie — rzekł — abyście poparli to, czego się już wielu domyślało i

lękało. Ale o sprośną zdradę, choćby kto się dowąchał, strach obwiniąć takiego człeka znacznego jak wojewoda. Pan Bóg was tu zesłał... Że się coś kłuło koło nas i kluje i że tych tutecznych Wielkich Polan dużo na nas krzywo patrzy, a za wojewodą ciągną, myśmy to czuli. Musimy z tym nie wprost do królewicza, ale naprzód do Nekandy Trepki, którego mu król dodał... poważnego męża i rozumnego, który będzie wiedział, co począć.

I żeby zdrajcy, których pełno u nas jest, nie domyślali się czego, nie bardzo was będziemy pokazywali. Staniecie gospodą na mieście u mojego znajomego Wilczka, który śliczną córkę ma...

Szary się poruszył.

— A dajcież mi pokój z najpiękniejszą dziewczuchą, przecież wiecie, zem żonaty i moją

Domnę miłuję nad życie... a nawet dla jej miłości cierpię.

Gozdawa się śmiać począł.

— Albo to co przeszkadza pięknej dziewce w oczy zajrzeć? — zawołał. — Tyle człowiek w życiu ma, co tych kwiatków choć powącha.

— Z was bo bałamut zawsze był, a jam człek stateczny — odparł Szary.

— No i żonie waszej krzywdy czynić nie chcę — rzekł Beńko — ale bezpieczniejszej i

lepszej gospody jak u Wilczka dla was nie znajdę. Jak będzie koło was przechodziła Marychna, to se oczy przysłonicie. Wilczek dom ma na samym Podzamczu, a że do niego dużo przyjaciół

zajeżdża, więc i na was nikt tam zważać nie będzie.

Rozmawiając tak zbliżali się do miasta, którego kościoły i przedmieścia już widać było.

Szary trochę twarz przysłonił, a Beńko uliczkami pomniejszych go prowadząc, między ogrodami i opłotkami, gdzie się mniej ludzi kręciło, prawie nie narażając na spotkanie, dowiódł do owego Wilczka zapowiedzianego.

Zamożny to był mieszczanin, który bydłem handlował, choć sam już rzeźnikiem nie był.

Mówiono o nim, że pieniądze znaczne miał, lecz tego po sobie nie dawał poznać i ludzie

miarkowali tylko z domu, który sobie wystawił, a którego mu zazdrościli. Ten to dom bardzo obszerny powodem był częstych odwiedzin różnych ludzi u Wilczka.

Gospód naówczas porządnych po miastach tak jak nie było, zwyczajem zaś powszechnym panów i ziemian mieszczanie u siebie ugaszczali.

Czasem się to podarkiem lub groszem zawdzięczało, czasem gościnność daremną bywała.

Każde lepsze domostwo w mieście czasu wielkich zjazdów gości miało. Wilczek gospody

właściwie nie trzymał otwartej, lecz w dużym domu gość mu nie ciążył, a mówiono, iż na dole wynajmował izbę na szynk komuś i z tego zyski ciągnął.

Na biedę zastali koło Wilczka i ludu różnego dosyć, i wozów, i koni jezdnych, tak że Beńko się uląkł, czy Szarego potrafi umieścić, lecz w progu zaraz zobaczył ową piękną Marychnę, u której łaski miał, i do niej przyskoczywszy, a cicho z nią poszeptawszy, Szarego z ludźmi do sieni wprowadził.

Marychna w istocie piękną była wedle wymagań ówczesnych i wyobrażeń o piękności.

Mało co wzrostem nie była równą z Beńkiem, a zbudowaną, jak by zbroję nosić miała. Silna, czerstwa, rumiana, ciemnooka, zręczna, gibka, nie potrzebowała się lękać nikogo, bo nie lada mężczyzna sprostał jej mocy. Wesołą też była i rozmówną. Milczącego Floriana wwiiodła sama do izby, rada się rozpytać, skąd był i co wiózł, ale Szary, mało czym ją zbywszy, opowiedział się znużonym i na ławę legł, czekając, co mu przyniesie Beńko.

Przeciągnęło się prawie do nocy, nim Gozdawa powrócił, oznajmiając mu, że Trepka nań czeka. Szli więc na zamek.

Tu już się wszędzie świeciło, bo i królewiczowa powróciła ze swej wycieczki z dziewczętami, i królewicz był na zamku.

O ile mrok dojrzeć dawał, dwór młodego pana wydał się Szaremu wcale różnym od tego, który starego Łoktka otaczał.

W Krakowie, gdy gości miał przyjmować stary pan, naówczas, prawda, nie szczędził niczego i ludzie u dworu wspaniale wyglądali, ale powszedniego czasu skromnie było i ubogo.

Królowa i on nie zapominali, że tułaczami byli i jedli podczas chleb czarny, często łzami polany.

Teraz im też prostota była najmilszą. Na starość też Łoktek i żona jego, pobożnymi się stając, umyślnie się odzieżą i życiem umartwiali.

Tu zaś nie po staremu wyglądało przy młodym panu.

Służba była z cudzoziemska strojna, obcisło, pstro, włosy trefione, łańcuchów, kaletek,

nożyków, pasków, kutasów na niej podostatkiem.

Starsi dworacy w jedwabiach, a czeladź kręciła się z jakąś swobodą i rażnością, która niewielkiej surowości i karności dowodziła. W podsieniach i na gankach niewieścich sukienek kręciło się dużo i śmieszki było słyszeć wieczorne. Wesołym był zamek, jakby za najlepszych czasów i jak by mu nic nie zagrażało.

Nekanda Trepka mieszkał niedaleko od komnat królewicza, więc do niego iść musieli aż pod same gmachy pańskie, pełne wesołej młodzieży, światła i woni korzennego jada i napoju.

Starzał się Szary, aby mało go kto widział, a zabawiający się dwór nie bardzo nań uwagę zwracał.

Czekał na nich poważny ów Trepka w komnacie niewielkiej, po rycersku przybranej w wojenne rynsztunki. Mąż był lat średnich, na którym wojenne rzemiosło poznać było łatwo, trzymał się prosto, twarz miał marsową, zarosła, oblicze poważne i myślące. Mruczkiem go zwali ludzie, bo mówił mało, lecz do rady był i do sprawy tak pewnym, iż się nań i stary król, i każdy, co go znał, mógł spuścić, a spać spokojnie. Dlatego zawsze o syna jedynaka trwożący się Łoktek Nekandę mu dawał za towarzysza i doradcę.

Trepka, już uprzedzony, we drzwiach przyjął Szarego, wzywając, by mówił, z czym przybywał. Mimo męstwa widać było po nim trochę niepokoju.

Szary rozpoczął obszerną relację o swym poselstwie, o pobycie w Pomorzanach i o tym, co mu się tam przytrafiło, mocny na to nacisk kładąc, że ów nieznany człowiek, który mu o zamierzonej oznajmywał zdradzie, mienił się duchownym, więc wiara mu większa mogła być dana.

Żeby zaś kto pod owe czasy kapłanem się miał czynić, nie będąc nim — tego nie przypuszczano nawet.

Trepka raz i drugi sobie powtórzyć kazał przestrożę ową i wysłuchawszy opowiadania rzekł.

— Dawnom to wróżył. Już mi tu wojewodzie z oczów źle patrzyło. Z królewiczem

łagodnym i uprzejmym szorstko się obchodził, poza oczyma i uszy naszymi wygadywał wiele, pono się i odgrażał... Znać było, że się nie pogodzi z tym, co mu przeznaczono.

Ale król nasz stary omylił się w tym, że mu wielkorządy odbierając i województwo, nad wojskiem władzy nie wziął.

— A co by to pomogło? — odparł Beńko przytomny rozmowie. — Jego władza nie w tym,

że on wodzem się mianuje, lecz że lat tyle rządząc, ludzi sobie zjednał i Nałęczów a ich powinowatych, których tu jak piasku jest, będzie zawsze miał po sobie. Z trwogi od nich i drudzy pójdą.

Jeszcze chwilkę na badanie Szarego obróciwszy, Nekanda wyszedł zobaczyć, czy do

królewicza przystęp był wolny. Chciał bowiem zaprowadzić Floriana, aby jemu opowiedział, co przyniósł. Za czym sieniami ciemnymi do pańskiej komnaty wwiódł Trepka posła.

Tu było na co patrzeć, bo choć gmach zamkowy stary się wydawał i więcej ku obronie, jak

dla wymyślnych wygod zbudowany, tak go umiał sobie przybrać i przyozdobić królewicz, iż

komnaty, które zajmował, prawdziwie królewsko wyglądały. Na podziw tylko, jak na owe czasy, mało widać było oręża, a ten, który po ścianach gdzieś był rozwieszony, więcej się odznaczał wytwornością i pięknnością niż mocą i był więcej na występ niż do boju przeznaczony.

Tarcze i szyszaki wschodnie, które królewicz z sobą z Węgier poprzywoził, złotem były sadzone i czarnymi listewkami, jakby kamiennymi dziane.

Na stołach księgi widać było i pergaminy, naczynia osobliwych kształtów, w smoki, gryfy i różne stworzenia powykuwane. Obrazy też na złotych dnach wisiały na ścianach. Na kobiercach i obiciach nie zbywało, bo całe ściany niektóre szytymi szpalery były poodziewane, na których łowy i zabawy różne w rozkosznych gajach i panów a panie, jakby żywe, z ptakami łowczymi na rękach, konie i psy widać było. Od sklepienia zwieszały się pozłociste świeczniki, gdyby w gałęzie i liście porożstałe.

Młody pan stał już czekając na zapowiedzianego ziemianina, w stroju, jaki za dnia nosił, bo go jeszcze zrzucić nie miał czasu. Obcisłe ubranie spodnie, pasem ujęte, na wierzch okrywała jakby opończa dostatnia, aksamitna, jedwabiem podbita, z rękawy rozkrojonymi, które długo się

zwieszały.

Piękna twarz, włosom w pukle się zwijającym otoczona, z oczyma śmiałymi, rysów

szlachetnych i wyrazistych, więcej tym, co ją znali za młodu, królową matkę niż starego Łoktka przypominała. Lecz było coś i ojcowskiego w czole i wejrzeniu rozumnym a nieuleknionym.

Co mówiła ta młodociana jeszcze i wszystkimi młodości pożądaniami ziejąca twarz — tego

sobie Szary wytłumaczyć nie umiał. Poczł tylko dla niej poszanowanie i znalazł w niej dobroć i łagodność, której się nie spodziewał, a wielką ochotę do życia i wiarę w siebie.

Choć królewicz wiedział już, że mu niedobłą niesiono wiadomość, wcale się nie zdawał nią zatrwożony. Oczy tylko błyskały ciekawością rozbudzoną. Szary mu się do kolan skłonił, gdy królewicz, prędko go podnosząc, zagadnął.

— Coście w Pomorzanach widzieli?

— Więcejem, Miłościwy Panie, słyszał, niż widziałem — odezwał się Florian — i to mnie trwoży, że mi twarzy ukazać nie chciano.

Począł więc rozpowiadać o tajemniczej przestrodze.

— Że wojewoda na króla i na mnie gniewny — rzekł Kaźmirz wysłuchawszy — to i my wiedzieli, lecz żeby się miał przeciwko nam z Krzyżakami wiązać, ledwie do wiary!

— Miłościwy Panie — przerwał Nekanda — lepszy ostrożności zbytek niż ufność zbyt duża. Trzeba się na pieczy mieć...

— Jedźcież z tym wprost do króla jegomości — rzekł królewicz — jedźcie a pospieszajcie.

Powiedzcie mu, że ja też wprędce ku niemu ciągnę, bo na zamku siedzieć nie mogę, gdy wiem, że on siwą głowę swą nastawia na nieprzyjacielskie ciosy.

— Król jegomość — odezwał się Trepka — nie życzył tego. Niewiele my mu tam pomożemy, a uchowaj Boże klęski, niechby nam pana nie zabrakło, bo nas rozszarpia.

— Ja tu nie usiedzę — zawołał żywo Kaźmirz — musimy iść, musimy! Widzicie też, że bezpieczeństwa większego na zamku nie będzie, niż w polu. Wojewoda tu za długo siedział, by sobie ludzi nie zjednał. Nas tu jak ryby w saku mogą pobrać.

— Nie dalibyśmy się — odparł Nekanda — a idąc, Miłościwy Panie, z kimże pójdziemy?

Musimy z sobą właśnie tych tutejszych Wielkopolan ciągnąć, którzy nas w polu dla wojewody zdradzić mogą.

Królewicz potrząsnął głową.

— Z dwojga złego wolę w polu być i z ojcem, niż tu siedzieć i czekać, a nękać się próżnowaniem...

Zwrócił się do Szarego:

— Wy — rzekł — do króla z tym pospieszajcie, bo my bez niego sobie rady nie damy, ani byśmy śmieli się na co ważyć. Powiedzcie mu od nas, że i my po wojewodzie złego się spodziewaliśmy, że i Trepka dawno go podejrzewał.

Rozmawiali jeszcze, gdy boczne drzwi rozwarły się nagle, opona w nich podniosła, śmiech się dał słyszeć wesoły i na tle ciemnym ukazała się postać jakby cudem zjawiona — młoda pani w sukni białej, z włosami na ramiona spuszczone, z piosenką i śmiechem na ustach. Nie miała już na sobie stroju, jaki ją zdobił w wycieczce za miasto, ale cienkie i lekkie rąbki, które kibić jej rysowały wiernie... Nad czołem tylko za całą ozdobę we włosy wpleciony sznur albo raczej przepaska złocista je utrzymywała.

Weszła śpiewając, zobaczyła obcych, ręką ponad głową pottrzymała chwilę ciężką oponę, rozśmiała się wybuchem śmiechu dzieciennym — zasłonę opuściła i znikła...

Kaźmirz, który zwrócił głowę w tę stronę, rozśmiał się także i krok uczynił ku niej, lecz już jej nie było.

Szary się żegnał. Wyszli natychmiast z komnat pańskich, a Beńko wprost stąd powiódł towarzysza swego do gospody Wilczka.

Pan Florian chciał tylko się przespać nieco i ze dniem puścić znowu w drogę. Nadto ważne wiózł wieści, by mu pilno nie było. Na spoczynek wszakże rachował przedwcześnie, bo Beńko mu nie chciał go dać, zapraszając jeszcze do siebie na wino.

Nie można było odmówić. Sieradzianin Grzmot Hincza, dopytawszy współziomka, przyplątał się do nich trzeci.

Było to zawsze w polskiej krwi, iż od kupy nierada się oddzielała, a gwarzyć lubiła, musiał więc Szary, choć nie pijał wiele, zasiąść za stół i słuchać gadek wesołych, sam po troszę do nich pomagając.

Beńko był niewyczerpanym i usta mu się nie zamykały. Więc na Wielkopolan za grzechy

Nałęczom wymyślano, co wlaźło, w czym Grzmot, który ich nie lubił, bo mu dziewczka jednego Nałęcza odkosza dała — też dopisywał dobrze.

Część nocy tak przesiedzieli, ani się obejrzawszy, i gdy Florian się nareście zrywać począł

do gospody, aby zawczasu ruszyć, już na zamku wrota były zawarte i klucze odniesione. Posłano mu więc słomy w izbie Beńka i gdy Grzmot podpiewszy wyszedł, rozpowiadali jeszcze długo różne stare dzieje. Nie było już co spać, Florian tylko czekał, aby wrota ze dniem otwarto.

Zbierało się na dzień, gdy w podwórku ruch jakiś robić się począł i Beńko, narzuciwszy

kożuch, poszedł się dowiedzieć o jego przyczynę, bo w tej porze był niezwykły.

Jak poszedł, tak przepadł. Szary się już przyodziął i do gospody mu pilno było, a tu

Gozdawy doczekać się nie mógł. Byłby go już kłął, gdyby nareście poruszony wielce i zdyszany nie wpadł Beńko.

— A co? — krzyknął od progu — a co? Prawdzi się, coście przywieźli. Posłaniec, którego

Nekanda jeszcze pozawczoraj, nie dowierzając wojewodzie, wyprawił na zwiady, w tej chwili z językiem powrócił. Sprawny człek! Zbudzili Trepkę i powiada, że wojewoda z tym łotrem Petrkiem Kopą do Krzyżaków już pojechali w swaty. Wojewodzina, słyhać, pobiegła za mężem, u nóg mu leżała i zaklinała, aby zdrady nie poczynał... Nic nie pomogło. Dobka sobie Nałęczą sprowadził, ale ten — jak nasz człek ręczy — wypowiedział mu posłuszeństwo. Wszystko to królowi masz

zawieźć, bo teraz już wątpliwości nie ma, że Wincz z Zakonem się sprzęże. Niech król radzi!

Tu Beńko przerwał sobie nagle.

— Radzić! Co tu radzić! Ja bym ludzi posłał póki czas, wojewodę ujął i ściąć dał. Byłaby rada!

— I wszyscy Nałęczę, mszcząc się za niego, dopiero by się zawzięli! — odparł Szary.

— I to prawda — rzekł Beńko — ale gdybyśmy ich miodem posmarowali, lepsi nie będą.

Szary już dłużej czekać i wytrzymać nie mógł. Ruszył co najspieszniej do gospody, od sieni wołając na czeladź, aby mu konie dawano. Z brzaskiem też był już za miastem i po kościołach na jutrznie dzwoniło, gdy się na gościniec wybił.

Ranek był mglisty i wilgotny, choć nie bardzo zimny. Pacierze zacząwszy odmawiać i

kaptur zaciągnąwszy na głowę, zadumany włókł się pan Florian, gdy o małą może milę będąc od miasta, posłyszał tętent za sobą.

Tknęło go to. Pomyślał sobie, iż na zamku Nałęczę swoich mieli, podsłuchać mogli, a na

nocnej biesiadzie Grzmot i Beńko całę ostrożnymi nie byli. Nuż zwąchano, z czym jedzie i co do króla wiezie, nuż pogoń za nim puszczono?

Sromał się tego podejrzenia, ale mu dolegało tak, iż się oprzeć nie mógł. Dał więc po cichu ludziom znać i, z drogi zjechawszy w gąszcz, stanęli. Ledwie się w niej umieścili, tuż ponad gościńcem, gdzie ich dla krzaków i gęstej mgły widać nie było, gdy tętent się zbliżył i głosy słyszeć dały.

Nastawił ucha. Po stapaniu koni i mieniających się głosach poznać mógł, iż ludzi co

najmniej pięciu lub sześciu być musiało. Rozmawiali, głośno pokrzykując.

— Patrzaj śladów!

— Kto ta w błocie świeże ślady dopatrzy o mroku?

— Ale przecieżbyśmy go już nagnać byli powinni!

— Konia ma dziarskiego ten Sieradzianin jucha, a że mu pilno z językiem, nie żałuje go.

— Stary Łokieć zapłaci...

— Wiele ma czeladzi?

— A kto ich liczył...

Mijali go tak. Florian się przeżegnał, Panu Bogu dziękując. Co miał robić, sam teraz nie wiedział. Był już pewien, że Nałęcz za nim gnali, na zamku wieczorem podsłuchawszy.

Stać i czekać, ażby ta pogoń się zawróciła — czasu była strata znaczna. Za nimi jechać —

niebezpiecznie. Musiał więc, na drzewa i korę popatrzywszy, aby się bardzo nie obłąkać, puścić lasem bez drogi w imię boże. Miał ci tę wiarę poczciwą, starodawną, że w sprawie tej, której służył, Bóg musiał mu pomagać i nie da mu się w lesie zgubić.

Nakazał czeladzi milczenie, przeżegnał się krzyżem świętym, konia ściągnął, kaptur nacisnął i — w las.

## VI

Dzień był smętny, jesienny, dżdżysty, gdy po przyspieszonej podróży dniem i nocą,

niewpewnymi drogami, zbliżył się Florian Szary pod Kraków i, z dala mury miejskie a kościelne wieże i kopuły ujrawszy, przeżegnał się pobożnie, Bogu dziękując, że go tu całego doprowadził.

Nie tyle mu szło o własne życie i zdrowie, bo, rycersko służąc, wiedział, że je co godzina niemal narażać musiał — jak raczej o wiadomości, które królowi wiozł, bo te pilno dlań i dla Polski całej były potrzebne. Rozradowało mu się oblicze, zwykle dosyć posępne, gdy się ujrzał już pod samym grodem, pewien będąc, że poselstwo swe sprawi.

Gdy się rozglądał około miasta, którego dawno nie widział, a po okolicy, piękności się jej dziwując, prawie u samych murów, na równinie, dostrzegł wielkie ludzi zbiegowisko albo coś na kształt obozu.

Ruch tu panował wielki, jak by targowicę za bramy wyrzucono. Stały porozbijane namioty

płócienne, wozów siła, gdzieniegdzie na drągach jakby chorągwie powywieszane i wiechy. Kręciło się ludzi jezdnych i zaprzęgów różnych dosyć i pieszego ludu.

Sądził zrazu Szary, iż w dzień targu musiał nadszedzieć albo świąteczny, o którym nie



wiedział, choć kalendarz, jak każdy ziemianin, na pamięć umiał — gdy na drożynie zetknął się z jadącymi zbrojnymi, którzy siano wieźli i sami na wierzchowych koniach, objuczeni nim, jak kopice siana wyglądali.

Pozdrowiwszy jednego z nich, spytał Florian, co tu tak tłumno i gwarno dnia tego koło miasta.

— A skądżeście wy? — odparł chłop, który sianem tak był obłożony, że mu nad nim tylko głowa i hełm sterczał — skądżeście wy, że o niczym nie wiecie?

— Jam trochę z daleka — rzekł Florian. Ów z sianem przypatrywał się mu bacznie.

— Jakby Florian z Surdęgi! — zawołał.

— Jam ci jest — rzekł żywo Szary — a wy?

— A mnie toście dla tego siana nie poznali chyba lub i zapomnieli. Nieraześmy się w Sieradziu spotykali na zjazdach. Jam ci Janik Trzaska.

— A, prawda! — zawołał wesoło Szary — przebaczze!

Trzaska był ziemianinem znad Pilicy, też niemającym, ale bardzo zabieglwym. Starego

rodu rycerskiego człek, z konia prawie nie zsiadał, w domu niedługo miejsca zagrzewał i tak się na siodle losu dobijał, a dobić nie mógł. Znali go wszyscy z tej ruchawości i pracowitości, przez które dotąd nic oprócz guzów nie mógł napytać. Nie zrażało to Janika, śmiał się sam z tego, że szczęścia nie miał. Ubogi był, ale wesół i ludzie go miłowali.

— Widzę — począł Janik, wystawując nieco głowę z tego siana, które miał do obu boków uczepione — widzę, że wy Surdęgi nie pilnujecie, a gdzieś się włóczycie po świecie.

— Nie po dobrej woli — westchnął Szary.

— Jać to i sam miarkuję, tak byście żonki nie odjechali — śmiał się Janik.

— A wyż tu co robicie? — zapytał Szary.

— Jam tu, jak widzisz, nie sam jeden — mówił Trzaska. — Ze wszech stron król ściąga

ludzi. Kto żyw... Zamek pełen, miasto pełne, ażeśmy się za bramy wylać musieli i obozujemy tu.

Na wojnę się znowu zbiera i pewnie na srogą. Powiadają, że Czech na nas ciągnie z jednej, a Krzyżak i kawałek Brandeburga z drugiej strony, i pewnie Szlązacy... I Bóg raczy wiedzieć, kto jeszcze. Bo jak się na wojnę zbierze, nigdy jednej nie dosyć. Krzyżakom pono posiłki z całego świata

idą. Naszemu staremu Łokciowi nie dadzą spocząć ni się zdrzemnąć. Taka już dola jego, żeby nigdy pokoju nie zaznał!

— Król na zamku? — zapytał Szary.

— Gdzie? — rozśmiał się Trzaska — jego na zamku, w mieście i wszędzie pełno. Stary, zdawało się, że już ociężał, ale! Trzeba go teraz widzieć! Taż to ma bodaj lat siedemdziesiąt, a taki krzepki i na siodle cały dzień dla niego jak drugiemu na posłaniu...

— Na toć go Bóg, widzicie, stworzył — odezwał się Szary — żeby on z tych skorup Polskę zlepił. Ubożuchny, mały człek, sam jeden jak palec, a korony się dorobił. Wypędzali go tyle razy... przecież się ostał. Nie jestże to znak, że mu sam Pan Bóg pomaga i tego chce, co i on?

Trzaska się uśmiechnął.

— Dobrze mówicie! Prawda to jest! Dlatego ja se myślę, że i teraz, choć na nas Czechy idą, Brandeburgi, Krzyżaki i te, nie wiem jakie, diabły — a on im, z Panem Bogiem, rady da.

Trzaska dla owego siana, które wioził, że mu niezgrabnie jechać było i bał się go gubić, choć powrozami było obmotane, jechał dosyć powoli. Florianowi pilno było, musiał więc go pożegnać.

— Pilno wam? — spytał Janik.

— Bardzo, bom posłany do króla — rzekł Szary.

— Niedaleko go wam szukać — odparł Trzaska. — Oto tu pod bramą w obozie go pewno znajdziecie, bo sam ludzi opatruje. Mało niecały dzień od jednej jeździ kupki do drugiej, tak się jakoś troszczy... biedaczysko!

Byli już od wrót i murów niedaleko, gdzie się obozowisko poczynało.

Tu, jak w samym mieście, gwarno wyglądało, bo też, co było przekupniów a lekkiego ludu w Krakowie, do obozu się cisnęło dla zarobku i rozpusty. Baby powystawiały pod kramami ławki, poosłaniawszy je płachtami, chłopcy nosili w koszykach różną drobną kupię, wołając a krzycząc.

Jaskrawo poprzyodziewane niewiastki jakieś kręciły się między namiotami. Kuźnią nawet na uboczu przemyślny kowal pod szatrą postawił i żołnierskie szkapy podkuwał. W niektórych

szłasach słyhać było pijatykę i śpiewy, a próżne beczki, wyrzucone precz, świadczyły, że nie próżnowano. Z wrót lał się lud miejski, a w drugą stronę, do grodu, cisnęli się żołnierze tak, że w tłumie tym o przejazd trudno było.

Szary musiał się nieco wstrzymać, rozpatrując, którzy najłatwiej wjedzie, i czeladzi

przykazawszy, aby się nie dała odbić od niego, gdy z dala Trzaska nań krzyknął i palcem mu coś ukazywać począł wśród obozu.

W miejscu tym, na które oczy obrócił Szary, rozpoznać było można orszak jezdnych, dosyć

pokaźny... ale więcej nic. Domyślił się jednak Florian, że chyba i król tam być musiał, a zawróciwszy konia i torując sobie drogę między szałasami, wprost już skierował się w tę stronę. Po drodze mu wskazano w istocie, iż król tam był. Lecz nierychło go mógł dojrzeć, bo orszak dokoła otaczający go ukrywał.

Widząc mozolnie się tak przebijającego Trzaska, który siano zrzucił swej czeladzi, podbiegł ku niemu pieszo.

— Jeżeli króla wam pilno się dobić — począł — oto go macie! Podle niego ten brodaty,

czarny — to Prandota kasztelan. Oto ten siwy, duży, wojewoda Mikuła Piławita. A ten dzielny, szerokopleczysty — Żegota z Morawicy, chorąży krakowski. Innych nie znam. A otóż i król!

Gdy to mówił, rozstąpili się jakoś towarzyszący królowi i na koniu grubym a dużym mały

pan się pokazał, opończą szeroką od słoty okryty, ponad którą wyłaczany hełm górą sterczał.

Można stąd było dojrzeć żółtą, pomarszczoną twarz jego posępną i siwe włosów kosmyki, co ją otaczały.

Szary, który dawno króla nie widział, a mało i z dala tylko dawniej go widywał, ciekawie wlepił oczy w to oblicze, które przy tylu innych i piękniejszych, i okazalszych czymś nieopisanym nad wszystkimi górą brało.

Wśród tysiąca ludzi oko by się na nim, nie znając go, zatrzymać musiało. Wypisanym miał

na czole, że mąż był wielkiego trudu, wielkich boleści i czynów wielkich. Nad czołem jak chmura mu wisiał smutek jakiś i siła potężna... Rozrosłe brwi krzaczyste, ściągnięte do kupy, kryły oczy jakby dlatego, aby z pomroki błyszczały mocniej. Usta miał zapadłe i policzki. Przy tej starca twarzy ciało było młode i obracało się żywo. Nie zmogły go wojny, ale je ukrzepiły. Nieznużony obracał się, patrzył, wskazywał, pytał — a mówiąc, dumał ciągle. Usta były czynne, czoło chmurą okryte co innego rozpamiętywało...

Nie śmiał się sam Szary zbliżyć tak do pana, nie opowiedziawszy, i zobaczywszy na koniu

opodal nieco Hebde, sieradzkiego wojewodę, od którego wysłany był, pokłusował do niego.

Pomian Hebda, niemłody pan, zaschły, zawiędły, opryskliwy i gorączka, kręcił się

pomiędzy Sieradziany, których z radością ujrzał Szary. Poznawszy Floriana, sam ku niemu konia skierował i, jak był zawsze impetyczny, wnet krzyczeć zaczął.

— A ty już tu? A co? A z czym? A mówże! Poselstwoś sprawił? Cóż przynosisz?

Szary tymczasem z konia zsiadał i szedł do niego. Skinął, aby się pochylił, na co Hebda się zzymnął zrazu, i począł mu do ucha naprędce rozpowiadać, z czym go odesłano. Pierwszych słów zaledwie dosłyszawszy, wojewoda już się z konia zsunął — zbladły i strwożony. Nie dając szeroko się rozwodzić Florianowi, pociągnął go z sobą przed króla. Tu kilka słów szepnąwszy, już Floriana popchnął naprzód i wołał nań.

— A mówże! Mów!

Wyraźnego więc rozkazania słuchając Szary, choć mu się zdało, że nadto uszów słuchało —

począć miał już, ulegając wojewodzie, lecz obejrzawszy się, że ludzie się cisną dokoła, i zmiarkowawszy, że złe wieści w obóz rzucić to jak popłoch naniecić — odezwał się do wojewody, iż mu zlecono królowi samemu to zwierzyć.

I ręką wskazał gromadzące się dokoła rycerstwo.

Zmiarkowali wszyscy, że miał słuszność, a że nie opodał namiocik stał lichy, zgrzebny

jakiegoś pułkownika, król, podjechawszy doń, z konia zsiadł i z Hebdą razem wszedł, prowadząc doń Floriana.

— Miłościwy Panie — odezwał się, pokłon mu uczyniwszy, Szary — wysłany byłem przez

pana wojewodę do Wincza z Pomorzan, abym mu co rychlej się stawić z ludźmi przykazał.

Pospieszyłem z tym do Poznania i nie dociągnąwszy do miasta, w gospodzie mi ludzie rycerscy oznajmili, że wojewoda czegoś niechętny do Pomorzan odjechał i że tam go mi szukać. Więc ja do Pomorzan. Tum przybył pod noc. Zastałem wojewodę z małą ludzi garstką i zarazem poselstwo sprawił. Przyjął mnie jak należało i oświadczył, że powinność swą spełni. Szedłem tedy na spoczynek, gdzie już nocą nieznajomy człek, mianujący się kapłanem i sługą bożym, pod wielką klątwą zwierzył mi, zlecając, abym o tym królewiczowi i wam dawał znać, że wojewoda z

Krzyżakami się znosi, że do nich ma z Petrkiem Kopą jechać i że w Wielkiej Polsce dla zdrajców Nałęczów ani królewiczowi nie jest bezpiecznie.

Zerwał się, słysząc to, Łoktek i ręce zacisnąwszy z taką gorącością, której w nim nie

widywano, chyba w bitwach, krzyknął, przypadając do Szarego:

— Zdrajca niepoczciwy! Dałżeś memu Kaźmirzowi znać?

— Stamtąd jadę — odparł Florian.

Król odetchnął i na swe miejsce, które był na pieńku obrał, powrócił. Brwi mu się jeszcze mocniej ściągnęły.

— Mów, mów — dodał — wszystko mi mów! I w tejże chwili wyrwało mu się:

— Samem tego węża na mej piersi ogrzał i wyhodował! Wszystko mi winien był...

Spuścił głowę siwą i powtórzył:

— Mów — wszystko!

Począł tedy Florian znowu o tym księdzu, potem o podróży swej do Poznania i jak do królewicza był dopuszczony.

— Zdrow jest i niefrasobliwy? — zapytał Łoktek.

— Dzięki Bogu — mówił Szary. — Znalazłem go już uprzedzonym i nie dowierającym, a

pana Nekandę przygotowanym do wyciągnięcia w pole z królewiczem, bo tam już o coś Nałęczów posądzano. Tej zaś nocy, gdym w Poznaniu leżał, przyszła pewna wieść, iż wojewoda do Torunia jechał.

— Niepoczciwy! — mruknął król. Zwrócił się do wojewody:

— Słyszę i wierzę — rzekł — a rad bym wątpił, bo mi srom za niego i za was wszystkich,

którym hańbę uczynił. Wincz z Krzyżakami! Łotry te go namówiły, przekupiły, obalamuciły...

Wstał król, dla wielkiego bólu prawie już Floriana stojącego nie widząc i nie zważając na niego. Przeszedł się po namiocie pogrążony w myślach gorzkich. Hebda milczał. Szary się cofnął

aż ku wejściu i czas jakiś dali królowi samemu z sobą się naradzić. Jak przybity w początku ciężar swój dźwigał Łoktek, lecz właśnie tak, jako człowiek, na którego ramiona wielkie brzemie rzucą, a on się pod nim ugnie na chwilę i wnet rozprostuje, niosąc je lekko — król wprędce przyszedł do siebie.

— Ha! — zawołał — nie całaż Wielkopolska z nim chyba pójdzie. Nie sami tam

Nałęczowie! Ze strachu przed nimi powloką się trwożliwi — ale nie wszyscy.

Obrócił się ku wojewodzie.

— Nie przetoż mamy ręce opuścić — rzekł. — Kosztowaliśmy już zdrady — Pan Bóg ją karze.

Dopiero Floriana zoczywszy podstąpił ku niemu.

— Kaźmirzaś widział — powiadasz? — począł zapominać się, zdając trwogi. — Jakimże

był? Smutnym? Wesołym? Co mówił? i walczyć. Mówił, że mu się gdzie indziej być pod ten czas nie godziło.

Łoktek się zatrząsł.

— Kazałem go poprowadzić Nekandzie w miejsce bezpieczne.

— Toteż i pan Trepka mówił, bo rozkazanie pamiętał — dodał Szary.

Łoktkowi twarz się rozjaśniła.

— Jeden z nas powinien bezpiecznym być — rzekł — bo gdyby nas obu nie stało, i Polska przypadnie. Czeski Jaszko ją zagarnie, jak już Szląsko wziął.

Westchnął stary.

— Młodego potrzeba szczerzyć, bo on więcej ma życia przed sobą — ciągnął dalej — ja

stary, choćbym padł, szkoda niewielka. Dosyciem się natłukł i napracowałem. Spocząć czas, a juściż mi nie w łóżku kończyć...

Uśmiech przesunął mu się po bladych ustach.

— Byle mi się młodzieniaszek nie wyrwał! Byle go tam Trepka uprowadził w miejsce dobre...

Wojewoda Hebda rzekł z cicha, że Nekandzie zaufać było można, człek był stateczny i rozumny.

— Dlatego ja go przy tym skarbie postawiłem, który mi najdroższym jest — rzekł król cichszym głosem.

Florian, który już poselstwo swe sprawiwszy, czuł się tu zbyt czcym, chciał się pokłonić panu i odejść. Wstrzymał go stary pan.

— Słuchaj no, jak cię zową? — odezwał, zbliżając się doń. — To, coś mi odniósł, tego

innym nie powiadaj. Dowiedzą się i tak zawczasu, a dziś trwogi siać nie trzeba. Język za zębami trzymaj, chceszli cały być. Spytają cię, skąd, z czym — powiadaj, żeś do wojewody jeździł i sprawił, co kazano.

Wtem Hebda, śmiejąc się i po ramieniu bijąc Szarego, zawołał: — Miłościwy Panie, za tego

ziemianina jako za siebie samego ręczę, bo lepszego żołnierza u mnie w Sieradzkim nie ma nad niego. Perła to jest...

Szary się nieco pokłonił, a stary król z zafrasunku swego uśmiechnął mu się tak, jak by słońko z za chmury błysnęło.

Wyszedł wręcz z namiotu Florian przejęty cały tym, że króla widział z bliska i mówił z nim, obiecując sobie, że mu to na cały żywot jego pozostanie w pamięci.

Chciał iść do koni swych i czeladzi, aby do miasta ciągnąć i tam jakiegokolwiek gospody sobie szukać, aby spocząć trochę, choć wiedział, że o to łatwo nie było. Lecz ledwie kilka kroków od namiotu odstąpił, gdy się znalazł wśród znajomych Sieradzian, którym już Trzaska o nim rozpowiedział, a i ten też był między nimi. Szary i ojciec jego oba mieli wielką u ludzi miłość.

Otoczyli go dalsi i bliżsi, nawołując:

— Florek! A tyś tu z nami!

— Bywaj do swych!

— Chodź do nas! Trzaska go pod rękę ujął.

— Na miłego Boga — odezwał się trochę zafrasowany Szary, lękając się, aby go nie badano

— jam z długiej drogi. Na siodle się stłukłem haniebnie, ledwie żyw stoję... Nocy nie dosypiałem, więc choć wam rad jestem z duszy, ale mi do siana pilniej niż do ludzi,

A Trzaska na to:

— Gdzież ty myślisz się mościć? Do Krakowa? do miasta? Ano tam mysz się już nie

wciśnie, tak pełno. Niektórzy na poddaszach legają, inni bodaj w rynku. Gdyby tam przytułek był, już my byśmy też pod tę słotę cieplejszego kąta szukali.

Wziął go tedy Jarosz Grusza pod drugą rękę i rzekł:

— Ja tu mam namiocik, a i siana wiązka się znajdzie i przy moich konie postawicie. Chodź!

W kociołku się coś skwarzy, a tyś pewnie głodny.

— Chodź! Chodź! — odezwało się ze wszystkich stron. Więc z jednej strony Trzaska, z drugiej Grusza wzięli go jak swojego i do namiotu wprowadzili.

— Rozdziewaj się ze zbroi i bywaj jak w domu! — rozśmiał się Jarosz. — Wprawdzie dom

płócienny tylko, żał się Panie Boże, ale w naszym rzemieśle, gdy i taki nad głową jest, Bogu dziękować!

Rozgościł się Szary, może i rad temu, iż swoich znalazł.

Dobry czas upłynął od tego dnia, gdy z Surdęgi wyjechał i o domu nie wiedział nic. Korciło go strasznie spytać którego z tych, co bliżej mieszkali, czy co nie słyszał o rodzinie. A troskał się nie bez przyczyny, bo tam mola srogiego miał, który go gryzł. Lecz jak z jednej strony pilno mu było dostać języka, tak również się obawiał złej wieści, której przeczucie ścigało go ciągle.

W tej niepewności będąc, postanowił czekać już lepiej, aż się jednemu z nich coś wyrwie, nie wywołując wilka z lasu.

Miał zamiar przed wyprawą, na którą musiał iść, wyprosić się jeszcze choćby na dzień jaki do Surdęgi.

Trzaska i Jarosz gościnnie go przyjmowali, a Grusza, widząc zmarzłym od rannego deszczu, krzyknął zaraz, aby mu piwa zagrzano. Im też pilno było rozpytywać Szarego, co słyszał i widział

w Wielkopolsce. Trzaska nalegał zwłaszcza.

— A przywiodą nam stamtąd ludzi? A ilu?

— Nic nie wiem — rzekł Szary. — Jeździłem do wojewody, sprawiałem, co mi zlecono, i tyle mi rzekł, że powinność swą zrobi, a ludzi zbierze.

— Cóżżeś widział w Poznaniu?

Nie było innego sposobu na to naleganie odpowiedzieć, tylko się żartem wykręcając.

— Com widział? — odparł, uśmiechając się Szary, choć do wesołości żadnej ochoty nie miał. — Ano, królewiczową, która pieśni śpiewała... No — i u Wilczka w gospodzie dziewczkę jego Marychnę, taką, że gdyby na nią zbroję wdziać, byłby z niej żołnierz...

— Patrzajcie go! — wykrzyknął Trzaska. — Cóż się waści w drodze stało? Człek, co nigdy na niewiasty nie patrzył, teraz ino je widział! Ani go poznać!

Szary się zafrasował drobinę.

— Dalibyście mi pokój, bom ono ledwo żyw. Jestem tak znużony, że języka w gębie zapomniałem.

— A o Marychnie pamiętał! — przerwał Grusza. Śmieli się tedy.



Przyniesiono kubek piwa grzanego, lecz gdy je drudzy zobaczyli, że z kminem było i zapach poszedł po namiocie, zaczęli się go napierać. Musiał Grusza cały kociołek kazać nastawić, bo z piwem jak z pigmentem, wiadoma rzecz, tylko począć trudno, a gdy się zakosztuje, nigdy go dosyć.

Pod namiotem tedy wesoło było, a Szary myślał sobie:

— Dzięki ci, Panie Boże, nie muszą o moich wiedzieć złego nic, gdy tak są weseli.

Na uboczu tylko siedział najbliżej Surdęgi mieszkający Napiwon, człowiek kwaśny i

skarżący się zawsze a zbiedzony. Na niego poglądał Szary, bo czegoś posepny wyglądał, lecz nie było dziwu; takim on całe życie prawie bywał.

Milczał Napiwon, do kubka tylko zaglądając i całe wesołości nie dzieląc.

— Dawnoście z domu? — zagadnął go wreszcie Szary.

— Ja? — odparł Napiwon (na imie mu było Żegota). — Hm, jam się najpóźniej przywlókł

— z końmi biedę miałem. Człek mi zasłabł.

Westchnął.

Sądził Szary, że mu co powie o ojcu i o Surdędze, ale ani słowa. Byłby zapytał, strach go brał. Myślał zresztą, gdyby — uchowaj Boże — złego co było, jużci by oznajmił.

Tymczasem śmiano się i coraz pod namiotem stawało się weselej, a o spoczynku ani tu było pomyśleć. Trzaska, który kości lubił, szukał już kubka i człowieka, z którym by grał. Grusza zaś, że kosterów nie cierpiał, przeciwiał się.

— Ciskać u siebie kośćmi nie dam — rzekł — bo to z tego zawsze w końcu krew musi popłynąć.

Ale piwo z kminem nosili. Szaremu w głowie szumiało i ze znużenia, i z gwaru.

Wtem Napiwon się podniósł z siedzenia i zbliżył do niego. Siadł na ziemi.

— Wyście dawniej z Surdęgi? — zapytał go.

— Mnie się już wiekiem wydaje — westchnął Szary. Spojrzeli sobie w oczy.

— Spokojnie tam? — spytał Florian, strzymać się już nie mogąc.

Napiwon zadumał się, ramionami strząsnął.

— A kiedy u was spokój? — mruknął — dopóki wy Bąka pod bokiem będziecie mieli,

spokoju nie zażyjecie.

Szary aż się porwał.

— Mów! Spłatał już co? — zakrzyczał, a głos mu drżał z gniewu.

Napiwon zdawał się mierzyć słowa i ociągać.

— Gdyście z domu odjeżdżali — rzekł — juści nie mogliście się spodziewać, aby on z tego nie korzystał. Na to tylko czekał... Drugiego dnia już Surdęga była jak w oblężeniu. Ludzi pościągał...

— A ojciec mój? — zawołał Szary.

— Ojciec czuwa, nie bójcie się — odparł Napiwon. — Bydło wam wszystkie zabrali z waszego własnego pastwiska, ale stary zaraz z ludźmi wyskoczył i odbił. Bąk ze swymi napadł na wasz gródek, ale mu dali tęgą odprawę.

— Boże miłosierny! — pot ocierając z czoła przemówił pomilczawszy Szary. — Kiedyż ja od tego wroga będę wolnym?

Napiwon ręką tylko machnął, jakby powiedzieć chciał, że się tego ani mógł spodziewać.

Wstał i oddalił się.

Szary został w miejscu jak przykuty, zasepiony, nie słysząc i nie widząc nic, tak go ta nowa napaść sąsiada zgryzła i przestraszyła. A tu potrzeba było, powinności rycerskiej czyniąc zadość, iść z królem, który ludzi potrzebował jak najwięcej.

Trzaska zaraz po twarzy mu poznał, że się czymś struć musiał.

— A tobie już Napiwon pewnie coś niedobrego powiedzieć musiał? — zapytał. — Jam z tym nie spieszył, choć tyle wiem, co i on. Ależ to dla was chleb powszedni, gdy Bóg Bąkiem obdarzył.

— Żal mi mojego starego i żony, że ich w niepokoju tym zostawić muszę, póki Bąk też na wyprawę nie pójdzie.

— Bąk zachorzeje albo za siebie wyśle kogo — odezwał się Trzaska — właśnie dlatego, aby pod niebytność waszą dojadł staremu i żonie. Kto nie zna Bąka?

— Gdybym Boga w sercu nie miał — począł Szary — dawno by mu strzała w serce

należała...

— Myślę — rozśmiał się Grusza — że gdybyście tylko mogli, powinniście go sprzątnąć, ale się on tak goły na bełt nie nastawi. Z nim trudna sprawa, jak zły, tak chytry jest.

— Przyjdzie i nań godzina! — westchnął Szary.

Jakoż się przecież w namiocie przerządzać zaczęło i Grusza, odprawivszy resztę, opłotki zaciągnął, straż postawił, a panu Florianowi posłanie wskazał, aby spoczął.

Gdy po twardym śnie zbudził się nasz podróżny, w obozie wszystko spało jeszcze, noc

była... Jego teraz sen już nie brał, czekał poranka, aby Hebdy wyszukać i do domu się na krótki choć czas wyprosić.

Za wojewodą potrzeba było do miasta, bo stał gospodą u jednego z radnych, Heynucza z

Nisy. A do niego się dostawszy Szary, gdy stękając na czas do domu się prosił, wojewoda zrazu słuchać o tym nie chciał.

— Ja bez was jak bez prawej ręki... — począł wielce zaniepokojony.

— Miłościwy wojewodo, ale ja tu z troski zemrę. Wiecie mojego sąsiada, Bąka Nikosza.

Ten mi już znowu na starego ojca i żonę napaści czyni... Chcę choć zajrzeć a ubezpieczyć ich.

Tu się skłonił.

— Panie wojewodo — rzekł — na Boga miłego, poślijcie mu wici pod gardłem, aby się

stawił do wyprawy. Przynajmniej i ja spokojniejszy pójdę, nie przemyślając noc i dzień, co się tam u mnie dzieje...

— Poślę za nim! Uczynię, co chcecie — zawołał wojewoda — ale bez was się nie obejdę.

— Wrócę wnet, byłem moich raz jeszcze zobaczył! — westchnął, prosząc się, Szary.

Hebda ręką dał znak, że przyzwala. Florian się pokłonił i, wymknąwszy z namiotu,

natychmiast na koń siadł, pędząc do domu.

## VII

Około zameczku Surdegą zwanego, od niepamiętnych czasów z szerokimi pól i lasów

obszary należącego do rodziny zawołania Koźlarogi, na wzgórzu łysym stała długo pustką

chwastem porastająca kupa gruzów i węgla. Powiadano w okolicy, że niegdyś Połowcy,

wtargnąwszy tu zagonem i darmo usiłując dobyć Surdęgę, na mniejszy ten gródek, do opanowania łatwiejszy, rzucili się, złupili go i spalili. Od tych czasów szmat ziemi do gródka należący leżał

odłogiem bezludnym długo, tak prawie jak bezpański. Ci, do których ziemia bez ludzi należała, nie dbali o nią wiele, a mieszkali pono gdzieś aż w Łęczyckiem.

Koźlarogów zameczek czasu tego napadu utrzymawszy się, a i ludność swą co bliższą

ocaliwszy, po najeździe Połowców, osadników mając, stał się kilku siół głową. Należały doń Mojkowce, Wroników, Woźniki, w których kołodzieje siedzieli, i Laski. Ziemi było dosyć, lasy obszerne, łąk nad Pilicą przestrzeń znaczna.

Gdy sąsiedni gródek, który podówczas Wilczą Górą zwano, pustką stał, mało nie przez cały wiek, a o grunta jego nikt się nie troszczył, granice pozarastały i zapomniały się, z Surdęgi ludzie od skrajów zarywali po troszę co lepszej a dogodniejszej ziemi. Wypasano na łąkach trzody i siano z nich zbierano, bo nikt tam nie zaglądał.

Ziemia bez ludzi, naówczas i długo jeszcze potem, była w bardzo niskiej cenie. Wioski z

lasami i gruntami nabywano za kilka kóp groszy, za trochę sukna, kilka koni lub bydła sztuk niewiele. Na Wilczej Górze i jej gruntach nikt się nie sadowił dlatego, że opieki by nie miał, a dziedzice, nic z tej ziemi nie mogąc wyciągnąć, prawie o niej zapomnieli.

Koźlarogowie byliby naówczas łatwo tę posiadłość nabyć mogli za lada co, ale z własnymi

obszarami nie wiedząc co począć, bo i tych znaczna część pustowała bez osadników, nie troszczyli się o powiększenie majątności.

Mało naówczas zaludnione były ziemie polskie i ogromne ich przestrzenie lasami zarosłe,

nieuprawne, tak jak do nikogo nie należały.

Każda wojna obyczajem ówczesnym prowadzona w ruch wprawiała ludność i wywoływała

nowe osady. Przed najazdami Połowców, a później Tatarów, przed łupieżą Krzyżaków, wojnami takimi, jak były z Czechami, którzy tysiące ludu zaprowadzali w niewolę, biedni ludzie gromadami zbiegali w lasy, a obawiając się często powracać na dawne, zagrożone siedziby, nowych szukali.

Naówczas widzieć było można całe rodziny z ubogim mieniem, którego najcenniejszą część

składały pracowite ręce, przywlekające się do tych miejsc, które lasy osłaniały, gdzie bujniej trawa rosła, kędy płynęły rzeki — wpraszające się na pustkowia.

Potrzeba było długich lat i spokoju, by z jednej pary ludzi rozrodziło się kilka lepianek i powstała osada. Mieszali się tu ludzie różnych okolic i języków, których lata powoli jednoczyły.

Około miast ziemczalnych, około klasztorów, naówczas jeszcze po większej części cudzoziemską barwę mających, tworzyły się małe osady kolonistów, z różnych części Niemiec przyciągających.

Nie wszystkie wioski były rolnicze, bo rola wiele pracy wymagała, a wiele nie dawała korzyści. Rolnik też najwięcej się opłacać musiał, dziesięcinę dawać, płacić z łanu, podwodę, przewód, stróże i różne pełnić uciążliwe powinności. Niektóre osady rybackie były, inne rzemieślnicze, w jednych kołodzieje siedzieli, w drugich bartnicy, korabnicy, narocznicy, kowale itp. Poza Surdęgą i Wilczą Górą, za Pilicą także duży kawał ziemi dzierżeli z dawna Leliwy.

Ród był stary i rozprzestrzeniony wielce; niektórzy rycerskiego rzemiosła i zamożniejsi, inni myśliwcy a wieśniacy, ludzie obyczajów prostego i nie lubiący dworować.

Leliwowie krakowscy piastowali już wielkie dostojęstwa u boku królów, gdy tutejsi cicho siedzieli i woleli w lasach swych gospodarzyć.

Do żywota takiego prostego a swobodnego nawyknąć można, a kto go raz polubi, nie mieniałby na żaden inny. Wprawdzie na pańskich dworach dorabia się dostatku i czci, darowizny ziemi, bogactw i sławy — ale to wszystko opłaca się drogo, nie licząc krwi i żywota, który co dzień ważyć potrzeba.

Służyć musi, kto się chce dosłużyć, a nie każdy nagiąć się potrafi k' służbie, zwłaszcza gdy sam dłużej panować nawykł. Naówczas ziemianin na swoich posiadłościach prawym królikiem był, sędzią i władzcą. Takimi i Leliwy nadpilickie z dawien bywać nawykli. Szło to z ojca na syna.

Jeden musiał rycerską służbę pełnić, inni około domu tylko się kręcili, a swojego państwa strzegli.

Rolnictwem się wówczas żaden ziemianin nie zabawiał, łanów dworskich tak jak nie było.

Kmiecia sprawą bywało orać, siać i zbierać, osyp panu dać, siano panu zrobić, a z barci w lesie dań przynieść.

Dziedzic miał też swe barci i bartników, zwierza polował w lesie i skóry z niego

sprzedawał, czasem stadniny wielkie trzymał, bydło, konie i owce. Potrzeby były niewielkie, a gdy do tego, co ziemia dawała, rycerz łup jeszcze z wojny przyniósł — zasobno było doma.

Leliwici na Lelowie tak właśnie gospodarzyli, nie pragnąc wiele, a mając, ile im było potrzeba.

Stary Bogusz Leliwa, który za młodu trochę wojował, a potem już siadł doma, zwaśniewszy

się o coś z wojewodą, synów miał dwu i córkę Domnę. Starszego syna dał na rycerską sprawę. Ten królowi Łoktkowi służył, niewiele skorzystawszy na wyprawach swych, bo te łupu nigdy nie przynosiły, a krwawe bywały. Młodszy przy ojcu siedział, z nim do lasów jeździł i polował, a ziemi swej pilnował.

Dwór był stary i jak chata prosty a niewytworny. Przybudowywano doń, gdy było potrzeba,

podpierano ściany, naprawiano chaty i tak się tam żyło. Matka, póki żyła, wychowywała córkę Domnę, a wszyscy, ojciec, brat i ona pieścili ją, bo było to dziecko osobliwszej piękności i rozumu.

Brat matczyn, która z rodu Jaksów była, księdzem został i aż do włoskich ziem uczyć się

wędrował, a powrócił świadomy wszystkiego, co na świecie się działo, w piśmie biegły, pobożny i rozumny tak, że go do wielkich dostojności w kościele posuwać chciano. Lecz tych odmówił, na probostwie w Sieradziu siadł i tam się, jak mówiono, w pargaminach grzebał, a drugie i sam pisał i malował. Ten, że do siostry swej, żony Leliwy, przywiązany był, często tu w lasy zjeżdżał, kapliczkę sobie drewnianą przy dworze sklecił, w niej mszę odprawiał, a gdy dłużej w Lelowie przesiadywał, młodych nauczał, a starych zabawiał i rozumne im dawał rady. Ten siostrzenicę swą, Domnę, polubiwszy dla rozumu, gdy bracia jej rychło bardzo po lasach hasać zaczęli i księdza nie bardzo słuchać chcieli, uczył wszystkiego i prawie sam wychowywał. Umiała też więcej niż matka, ojciec i bracia, a wiedziała o ludziach, krajach, o Bogu i o świecie bożym lepiej niż oni. Stary kapłan tak się nią cieszył jak dziełem rąk swoich.

Lecz gdy dziewczę podrastało, a już można się było troskać, komu ją dać, bo doma na

zawsze pozostać nie mogła, wuj kapłan, ojciec i matka, patrząc na nią, wzdychali potajemnie, frasując się, komu się taka perła dostanie, aby na niej poznał się i ocenił ją.

Ksiądz wuj po księżemu radził, aby, co najlepszego dom miał, Panu Bogu ofiarował i do

klasztoru ją poświęcił, bo w nim, według niego, największa ją czekała szczęśliwość i pokój niczym nie zamącony. Matce żal było dziecięcia, ojciec nie mówił nic. Może by wuj nakłonił rodziców do tej ofiary, lecz w czas się opatrzył, że Domna, choć pobożna bardzo, do klasztorного życia powołania nie miała.

Piękne dziewczę złotowłose żywe było, zrosło wśród lasów i wsi, na szerokich polach, na

łąkach zielonych, obracając się swobodnie w ciągłym ruchu i zajęciach, przy śpiewkach i gadkach wieczornych. Klasztor ze swą ciszą jednostajną ją przerażał. Ksiądz, który dlatego może mury klasztorne radził, że się nadzwyczajnej piękności siostrzenicy dla niej samej obawiał — na próżno próbując nawrócić ją, na ostatek zamilkł i Bogu zlecił dalsze losy.

W tym czasie jakoś, gdy piękne dziewczę dorastało, jednego wieczora zjawił się w Lelowie człek młody, z rycerska ubrany i uzbrojony, ale sam jeden, bez czeladzi, zmęczony, poraniony, składając się tym, że na wyprawie był ranny i od nieprzyjaciela z niewoli zbiegł i o przytułek prosił.

Gościnności nikomu nie odmawiano, przyjęto go więc, choć nikomu się nie podobał. Patrzał

spode łba, mruk był, a to, co o sobie powiadał, niejasne było i nie wszystko z sobą zgodne. O

pochodzeniu nawet swym nie umiał dobrze objaśnić, raz Mazurem się zowiąc, jakoby ród jego tam siedział, to znów od Sandomierza się opowiadając, kędy też plemienników miał. O wyprawie tej, w której rannym był, także mętne rzeczy prawił i nierad się o niej rozgadywał. Może by to gdzie indziej podejrzenie jakie obudziło, lecz Leliwowie, ludzie prości i łatwowierni, tyle tylko porozumieli, iż biedny człek nierad był wspominać to, co go bolało.

Gdy się nieco wylizał i spoczął, a odjeżdżać nie myślał, stary pan począł go z sobą brać na łowy i bardzo był z niego rad, bo śmiały, zręczny i zuchwały niemal, dobrze mu służył, konie najdziksze dosiadał, z oszczepem szedł sam na odyńca i na niedźwiedzia, a do niczego się nie lenił.

Tak jakoś nieznacznie w dom ten wrósł, najwięcej się staremu wysługując, że już jakby domownikiem i powinowatym został. Młody go niezbyt lubił, ale znosił.

Ksiądz, parę razy go tu spotkawszy i nieznacznie wybadawszy, starego szwagra począł ostrzegać, aby nieznanego przybłądy nie żywił, a dał mu odprawę. Stary nie posłuchał.

Tymczasem zmarło się matce Domny, dom opustoszał, wdowiec ze smutku więcej w lesie niż pod strzechą siedział, a Nikosz stawał mu się coraz potrzebniejszym i przylizywać mu się umiał.

Tymczasem patrząc co dzień na to cudo, dziewczę, które jak różyczka rozkwitało i coraz się stawało piękniejsze, przybłąda ku niej miłością wielką rozgorzał.

Ludzie tego nie widzieli, dziewczę się jedno domyśliło i ulękło, bo dziki ten chłop od pierwszego wejrzenia wstręt w niej budził i obawę. Stroniła też Domna od niego, nierada się z nim spotykać nawet z dala, a przebiegły Nikosz tak umiał zachodzić, czyhać na nią, domyśleć się, kędy jej szukać i gdzie ją mógł znaleźć samą, iż mu się wymknąć było trudno.

Już naówczas z różnych stron poczęli się ludzie ze swaty i dziewosłęby zjawiać do Lelowa.

Stary, choć mu córki z domu srodze było żal, nie rozpędzał ich, bo rad był wydać za mąż, aby o nią być spokojnym. Wiano obiecywało się po matce znaczne, dziewczę było piękne, ród zacny i stary, gniazdo poczciwe — na chłopakach też nie zbywało.

Nikosz, który przy starym i na łowach, i w domu ciągle przesiadywał, a zabawiał go i kładł

mu, co chciał, do uszu — tak umiał nieznacznie zawsze na każdego, co na Domnę spojrział, coś podszeptać, iż do wszystkich Leliwę zrażał. Czy wiedział tyle o tych młodych, czy kłamał zręcznie, dojść było trudno, a u starego wiarę zyskiwał. I im dłużej to trwało, tym w domu przewagę większą brał i bali się go wszyscy, bo na każdego donosił i skarżył.

Piękna Domna, za którą się uganiał ciągle, jako mogła, od niego uchodziła i z oczów jej czytać mógł, że łaski u niej nie miał. Wcale go to jednak nie zrażało; im się ona zręczniejsz starala go unikać, tym usilniej zachodził jej drogę. Przyszło do tego wreście, iż raz ją ze starą piastunką w lesie napędziwszy, choć zaraz się z nią w stronę rzuciła, pogonił i z wielkim zuchwalstwem oświadczył jej, że ją miłuje i choćby dziesięciu trupem położyć przyszło, nie dopuści do niej nikogo, a mieć ją musi za żonę.

Domna mu naówczas ostro odparła, że powinien pamiętać, iż sługą jest i że ojcu się nań skarżyć będzie, jeśli się kiedy narzucać jej ośmieli. Na to Nikosz śmiechem odpowiedział, iż sługą jako żywo nie był, ale przyjacielem, że ziemianinem równym z Leliwami się czuł i że od swojego nie odstąpi. Stara piastunka nie dała mu więcej mówić i zagroziwszy precz odpędziła.

Domna wówczas spłakała się, powróciwszy do dworu, bo człek ten strachem ją nabawił, ale ze skargą do ojca się wstrzymała, nie chcąc go jątrzyć więcej. Sądziła, że sama groźba starczy. Następných dni jednak przekonała się, że Nikosz wcale na nią nie zważał i jak dawniej zabiegał, kędy mógł, kroku jej stąpić nie dając.

Gdy się to działo, stary Dalibór Koźlarogi z Surdęgi, z którym od młodzieńczych lat Leliwa w druźbie żył i pobratymstwie, gdy mu syn Florian dorastał, a o Domnie i jej piękności zasłyszał, pojechał naprzód sam do Lelowa. Nie zastał doma starego i czekać nań musiał, aż z łowów powróci, ale mu się poszczęściło, bo Domnę zobaczył i ona go przyjmowała. Mógł się więc i piękności napatrzyć, i rozumowi nadziwić. I rzekł sobie w duchu, że błogosławieństwem bożym byłaby żona taka dla syna jego.

Czekał więc na Leliwę do nocy, a gdy ten przybył, rzucili się sobie w ramiona jako dwaj bracia rodzeni i do późna we dwu rozmową się bawiąc, do syta nagadać nie mogli.

Nikosz, coś przeczuwając, choć go Leliwa precz odsyłał i zbyć się chciał, to u progu, to za drzwiami stał, czatował, podsłuchiwał. Wchodził nie wezwany i ucha bacznie nadstawiał. Wiedział on już, że Dalibór syna miał, i bystro przejrzał, że dla niego tu przyjechał. A tu mu i na gościa tego i nic skłamać nie było można, bo starzy dobrze się z sobą znali i wiedzieli o sobie.

Drugiego dnia dopiero wrócił Dalibór do Surdęgi, a wprędce jakoś z synem już przyjechał do Lelowa, aby go przyjacielowi pokazać.

Florian niepodobnym był do wesolej a ochoczej nad miarę młodzieży, która wprost z podwórca ojcowskiego do pułków się dostawała, nic nie umiejąc krom pacierza, Bogarodzicy, toczenia z kopyą i obchodzenia się z koniem. Ojciec go posyłał do Krakowa do szkoły biskupiej, z



czego się drudzy śmieli prześladować, że chyba księdzem chciał go mieć. Tymczasem w szkole on konia nie zapomniał, a wielkiego statku nabrał, spoważniał i gdy z kolei rycersko służyć począł, lepszego nadeń żołnierza nie było.

Niepięknym był, ale twarz miał poważną przed czasem, miłą, spokojną, jak wszyscy mężczyźni.

Patrzył śmiało w oczy i dawał sobie zaglądać, nie mrużąc ich. Choć młody, nadawał się do starszych, a z rówieśnikami też żyć umiał. Każdemu się podobać musiał, choć nie starał się o to zbytnio.

Leliwa też niemal już jak syna go przyjął, a przez dzień cały, który tu przebyli, z oka nie spuścił. Wyszła i Domna z rozkazania ojcowskiego i już się domyślając, na co ją wołano,

zarumieniła i strwożyła wielce. Prędko jednak ocknęła, bo młody Florek, skromny i cichy, nieporywczy, podobał się dziewczynie. Więc, choć do siebie prawie mówić nie mogli, oczyma się porozumieli.

Wszystko to zazdrośny Nikosz widzieć musiał i do wściekłości był doprowadzony, lecz zmilczał.

Młodemu dozwolono do Lelowa przybywać i już o weselu szeptano. Probował coś Nikosz

podszepnąć na Szarych, ale mu się to nie udało. Zgromił go Leliwa i milczec kazał. Nie dał po sobie poznać zdrajca, że go gniew i złość ogarnęły, lecz przypoehlebiając się znowu staremu, zatarł swoją winę gorliwszą posługą.

Jednego razu, gdy konno sam bez sług powracał do Surdęgi Florian i już się miał na promie przez rzekę przewozić, dognał go na drodze Nikosz. Widzieli się wprzód w Lelowie z dala.

Zajechał mu z przełaju.

— Czołem!

Florian, zobaczywszy go, myślał, że za nim był ze dworu posłany, i stanął. Wtem Nikosz, z konia nie zsiadając, zbliżył się doń.

— Mam do was sprawę własną — odezwał się szorstko. — Posłuchajcie mało.

Niewielemówny Szary dał znak, iż słuchać gotów.

— Ziemianin jestem i służyłem rycersko — począł Nikosz. — Od lat dwu przyjacielem jestem i sługą Leliwy. W córce jego Domnie rozmiłowałem się, a i ona mi krzywą nie jest.

Pierwej tu zajechałem niżeli wy, a teraz chcecie mi ją wziąć sprzed nosa. Na to ja zezwolić nie mogę. Możem uboższy od was, ale bogactwo praw nie daje. Nie zechcecie mi dziewczki odstąpić

— siłą bronić będą praw moich.

Florian spojrział nań zdziwiony i po małym namyśle rzekł.

— Ja wam nie odbieram dziewczki, ale u ojca o nią się staram, jak przystało. Do ojca idźcie z tym, nie do mnie. Wreście Domna, jeśli mnie nie chce, a wam sprzyja, może to objawić. Gwałtem jej nie zabiorę.

— Otóż to jest — zakrzyczał Nikosz — że dziewczyna sromać się będzie, ojca się lęka, słowa tego nie powie. Więc ja jej i siebie bronić muszę.

Uderzył się po mieczyku.

— Małym jest i nie wydaję się strasznym — dodał. — Ano zawierzcie mi, że wściekłego człowieka na świecie nie ma nade mnie.

— A ja się wściekłych ni ludzi, ni zwierza nie nawykłem bać — zawołał Florian i konia naparł, aby jechać, a Nikosz mu drogę zaskoczył.

— Rozmyślcie się — dodał. — Jam życie stawić gotów, a dziewczki sobie wydrzeć nie dam!

Florian, nie odpowiadając na to, spojrział nań tylko ostro, usta zacisnął i zawołał nakazująco.

— Z drogi!

Nie wiedzieć, jak się to stało, że groźny ów pachoł, choć zbiełał i zatrząsł się, ustąpił z koniem, a Szary, nie patrząc już nań, jechał dalej do przewozu. Przybywszy do Surdęgi, zaraz ojcu wszystko, jak było, opowiedział, na to najbardziej nastając, iż służka ów śmiał utrzymywać, jakoby z dziewczyną był w porozumieniu. Szary temu wierzyć nie chciał, a Florian też, który jej w oczy tego dnia patrzył i w rozmowie z nią mógł ją lepiej poznać, nie posądzał o udawanie i kłamstwo, bo mu się sprzyjać zdawała jawnie.

Nazajutrz stary Dalibór sam spieszył do Lelowa z tą sprawą, bo mu żal było tej żony dla syna upatrzonej.

Czatował widać już Nikosz na drodze, przeczuwając coś, bo gdy Szary przybył, a wytoczyło się wszystko przed ojca i Domnę powołano, która z płaczem opowiadała, piastunkę na świadectwo wzywając, jak zuchwałym był ten sługa niepoczciwy — wnet po niego ludzi posłano, aby się stawili. Ale już nigdzie go ani we dworze, ani w okolicy nie było ani śladu, koń tylko najlepszy ze stajni i rząd nań, i siodło znikło.

Myśleli więc wszyscy, że na tym się skończy szataństwo tego przybłądy, który za przytułek tak się Leliwie chciał wywdzięczyć. Uspokoił się — a dwór, który donosiciela nie cierpiał, rad był, że się

go pozbywał.

Nastąpiły więc zrękowiny uroczyste, czas ślubu i wesela został wyznaczony jakoś w porze jesiennej, do których przybory czyniono wielkie, bo córka była jedynaczka, ród liczny, zjazd musiał być wielki, a wesele mniej dni dziesięciu trwać nie mogło w owe czasy. Szary też na Surdędze gotować się musiał na przyjęcie państwa młodych i wszystkich gości. O głupim Nikoszu zapomniano zupełnie i wyśmiewano się zeń. Jeden tylko stary Leliwa, któremu on służył pilno, czasem narzekał, że mu go brakło.

Jednej nocy letniej, gdy we dworze spoczywało wszystko, a z młodym Leliwą, co rycersko służył i właśnie tego wieczora niespodzianie do ojca przybył w odwiedziny, kilku czeladzi zbrojnej razem zajechało — nagle krzyk się stał i wołanie o pomoc od niewieścich izb...

Kilkunastu rabusiów wdzierało się do dworu. Nim jednak zdołali okiennice powyłamywać i drzwi wywalić, Leliwa i jego czeladź z kordami poskoczyła. Nierówna była walka, bo napastnicy liczbą przeważali, lecz czas zyskano, a wnet i co żyło we dworze na nogi się pozrywało.

Tymczasem lepiej znający miejscowość Nikosz, który ten napad sprowadził, gdy jego ludzie się ucierali, z tyłu wpadł do izby Domny, chwycił ją z łoża i chciał już unieść przestraszoną, gdy Wojtek Leliwa, nadbiegłszy na krzyk, w łeb go rąbnął tak, iż mu się dziewczę wyrwało. Musieli uchodzić napastnicy, unosząc z sobą ranego Nikosza.

Ścigano potem w okolicy rabusiów tych i ich wodza po lasach, po gościńcach, bo Florian pomsty chciał koniecznie, połapano niektórych, dwu obwieszono, lecz sam sprawca nie wpadł w ręce. Byli znowu pewni, że nauczony nie pokaże się więcej.

Nadszedł czas wesela, zjechało się rodziny dość, ale nie tyle, ile się jej spodziewano, bo wojna była i królowi ludzie potrzebni. Niezbyt więc gwarno i tłumno było w Lelowie, a zjechali się po większej części starzy, którzy na wyprawę iść nie mogli. Trwało wesele, jak było we zwyczaju, dni kilka i dopiero dziesiątego nad wieczór cały orszak weselny wybrał się do Surdęgi.

Jechali tedy oboje państwo młodzi na koniach, otoczeni przyjaciółmi, czeladzią, z muzyką na przedzie. Na wozach za nimi, w skrzyniach malowanych i kutych wieziono wiano pani młodej, jak przystało dla Leliwianki, bogate, tak by przez całe życie od męża nic nie potrzebowała. Było i wino, i miód dla gości na wozach, którymi podczasowie wybrani częstowali.

Wieczor był pogodny i piękny, ale z Lelowa z wyjazdem się spóźniono, tak że w bliskim

lesie, który od rzeki przegradzał, ciemno się już zrobiło. Służba więc pochodnie miała rozpalać i na chwilę się zatrzymano, gdy z lasu kilkudziesięciu zbrojnych wypadło z mieczami dobytymi wprost na bezpiecznych i niczego się nie obawiających gości. Jedni zaraz na wiano się rzucili, a kupka, w

której Florian poznał Nikosza, na panią młodą.

Stało się zamieszanie wielkie i była chwila trwogi, lecz czeladź się opamiętała wprędce, a Florek z Wojtkiem Leliwą padli na głównego napastnika. Nie było jednego z gości, który by stał

bezczynny lub pierzchnął. Jedni miecza dobyli, drudzy, czym kto miał i mógł, bronili się dzielnie.

Służba pochodnie tylko co zapalone koniom i ludziom do łbów rzucać zaczęła i choć rozbójnicy zacięci byli, zrąbano ich kilku, a reszta uciekła. Nikosza widziano, gdy krwią cały oblany ujechał.

Tych, których żywcem chwycono, zaraz krótkim sądem powieszano na dębach i w godzinę

pochód cały ze śpiewaniem i muzyką zwycięsko dalej jechał do Surdęgi, bo nikt do Lelowa

powracać nie chciał.

Ze strony pana młodego on sam w rękę był cięty, brat Domny głowę miał rozplataną i ludzi kilku ciężko było rannych. Tych na wozy pobrano do skrzyń, a że napaść opóźniła ich, niemal nad ranem dopiero przybyli młodzi do domu.

Krwawe to było wesele, lecz się dlatego radowali mu wszyscy i ucztowanie w Surdędze

przedłużyło się jeszcze dni kilka.

Pewni byli Leliwowie, że niepoczciwy człek, który się tak zuchwale na nich śmiał porywać, dobrą naukę wzięwszy, nigdy więcej na ten świat się już nie pokaże. Jeden Florian Szary, choć niewiele się tym frasował, pewien był, że z Nikoszem rzecz nie jest skończona.

Gdy się rozgłosiło o nim, a szukano go i dowiadywano się, doszli ludzie wreszcie, kto był i że kędyś około Sandomierza ubogiego ziemianina syn rycersko nie służył nigdy, ale z ojcem razem po gościńcach rozbijał.

Nie było to rzadkością w owych czasach, zwłaszcza w Niemczech, gdzie obyczaj trwał

napastowania i odzierania podróżnych. W wielu też okolicach i w Polsce działały się takie bezprawia, za które i Czesi, czasu swego panowania, wielu ziemian wywieszali, i Łoktek ich nie żałował.

Nikosz ten, z młodu zaprawny do rzemiosła, mógł i dalej go nie rzucać, lecz szczęśliwszego sobie placu szukać, gdy tu mu się nie wiodło.

## VIII

Nie było pewnie na szeroką okolicę szczęśliwszego małżeństwa nad to krwawe ani lepiej

dobranej pary. Wprawdzie szczęśliwemu Florianowi długo siedzieć w gnieździe nie dał wojewoda.

Raz w raz go potrzebowano, musiał ledwie zsiadłszy z konia, na drugiego się przesiadać, ledwie

przywitawszy się, żegnać.

Naówczas Dalibór zostawał na straży gródka, domu, żony i gospodarstwa, a Domna też mu

pomagała. Piękna młoda pani była i pracowitą, i mężną, jak przystało żonie wojaka. Cały dzień nie przysiadła i nie spoczęła, albo z dziewczętami swymi przędąc i śpiewając, lub ojca zabawiając, porządek czyniąc w domu, wręście modląc się, bo choć do klasztoru iść nie chciała, pobożną była bardzo. A ta pobożność jej i praca była przedziwną okraszona wesołością, pogodą oblicza, uśmiechem spokojnym, niewinnym, dziecięcym niemal, który z ust jej nigdy nie schodził.

Stary Dalibór, patrząc na nią, jak się śpiewając krzątała po domu, płakał z radości. Ludziom też to wesele pani serca dodawało. Miłowali ją wszyscy, a przez tę miłość obawiali się razem.

Słowo jej za rozkaz starczyło najsroższy i czego czasem Dalibór nie mógł postrachem, ona zrobiła spojrzaniem.

Kilka miesięcy zeszło tak w niczym nie zamaçonym szczęściu, gdy dnia jednego wiosną,

powracając z pola, włodarz oznajmił Daliborowi, iż coś się osobliwego działo na Wilczej Górze.

Opowiadał, iż ludzie tam jacyś zjechali, naprzód na oględziny, potem z wozy i końmi i jakby sobie obozowisko zakładali.

Od wielu lat nikt tam się nigdy nie dowiadywał, pustką stały rumowiska, bezpańskimi pola dokoła. Naraz znalazł się pan. Pod samym bokiem Szarym niemiły to był gość przy niepewnych granicach.

Posłał naprzód stary włodarza, aby języka dostał, co tam byli za goście.

Włodarz, którego wołano Wnukiem, człek już siwy i bywały, konia wzięwszy i niby pola

sobie objeżdżając, zajechał pod Wilczą Górę. Ludzi na niej leżało ze dwudziestu, wszystko zbrojni, chłop w chłopu zdrowi i silni. Zobaczywszy go jeden wstał i zagadnął, czego chce.

— Jam tu z sąsiedztwa — odezwał się Wnuk. — Patrzą, co nam za nowina przybyła, bo tu z dawien dawna nikt nie gościł.

— No, a teraz za wszystkie czasy będziecie mieli sąsiadów i gości — zaśmiał się ten, co z nim rozmawiał, człek z kilką szramami i bliznami przez łeb naznaczony.

Popatrzeni na się.

— Coście to, kupili czy odziedziczyli? — zapytał Wnuk.

— Kupilem — odparł zuchwale zapytany — i tęgom zapłacił. Pargamin mam jak należy,

pod pieczęcią, przy świadkach, a kto czytać nie umie, to mu żelazem prawo swoje wytłumaczę.

— A nie wolno wiedzieć, jak was mianują? — rzekł Wnuk cierpliwie.

— Swego czasu się dowiecie! — zaśmiał się porąbany odchodząc.

Koźlarogom trochę było nie na rękę dostać sąsiada, gdzie dawniej sami gospodarzyli na bezpieczeństwa, lecz że żadnych praw do Wilczej Góry nie mieli, musieli cierpliwie znosić, co się tam działo.

Krzątano się bardzo gorąco około pustego pagórka, na co z Surdęgi patrzeć było można, bo oko sięgało łatwo do niego. Ludzi miał z sobą nowy dziedzic kilkudziesięciu i wozów kilka. A choć na nich sobie zapasów przywieźli i co było do życia potrzeba, nie bez tego, ażeby czegoś nie zabrakło im. Naprzód więc niektórzy z ludzi zaczęli dochadzać do Woźnik, aby sobie piwa dostać i świeżego chleba kupić.

Wnuk, który pod ten czas objeżdżał lasy, jednego z nich zastał w gospodzie w Woźnikach.

Człek był niemłody i okrutnie porąbany, bez palców u ręki, bez jednego oka, nakuliwający na nogę, ale zuchwały jak zbój. Chcąc się coś dowiedzieć o Wilczej Górze Wnuk go piwem poczęstował, aby na słowo wywabić. Człeczysku, podpiswszy, język się rozwiązał.

Naprzód się tedy wygadał, że oni ze swym starszyzną, jak on to nazywał, uśmiechając się, długo po gościńcach polowali tu i owdzie, ale że im się wreszcie życie to naprzykrzyło, bo ich teraz ścigano i bardzo prześladowano. A że się ich starszy dorobił trochę grosza, w tej okolicy koniecznie pragnąc się osiedlić, zasłyszawszy o pustej Wilczej Górze i gruntach do niej należących, pojechał

do właścicieli i kupił ziemię tę za pięć kop groszy, cztery konie i sztukę szkarłatu, którą niegdyś u kupców na gościńcu złupił. Starszego swojego zwał zbój Nikoszem Bąkiem i rozповідаł o nim, że śmielszego i zuchwalszego nad niego na świecie nie było.

Kolnęło to Wnuka, gdy imie usłyszał, iż Nikosz musiał ten sam być, który w Lelowie

przebywał i o Domnę się dobijał, a potem na jadące wesele napadł. Lecz nie dając po sobie znać pojechał stąd precz do Surdęgi. Tu gdy Daliborowi rozpowiedział wszystko, a opisał mu

widzianego wprzód Bąka, nie było już wątpliwości, iż ten sam Nikosz był, który się na ich spokój nasiał, a pewnie i teraz nie dla czego innego w Wilczej Górze się zagospodarowywał, tylko aby im życie zatruć.

Musiano więc zaraz pomyśleć o obwarowaniu się na zamku, bo i napaść nocna, i rabunek, i

wszelki gwałt był możliwy. Na granicach się też musiano pilnować, bo zaraz do lasów pojechali ludzie z Wilczej Góry z wozami i w puszczy surdęskiej drzewo rąbali. Kazano łąki pozatykać i rubieże poznać.

Nazajutrz znaki graniczne powyrywane i połamane znaleziono. Wojna się poczyniała. Ale to

były dopiero jej zwiastuny, bo do starcia nie przyszło. Stary Dalibór go unikał.

Na Wilczej Górze tymczasem na gwałt budowano, zwożono drzewo, ciosano, oczyszczano

gruzy, sypano wały, zrobiono na przekopie most i bronę, a na podzamczu, gdzie niegdyś stała osada, dla ludzi swych szałas i lepianki klecić począł nowy dziedziec.

Ludzie ci jego, że sami byli i nie mieli z sobą baby ani jednej, żeby im chusty poprała i jeść zwarzyła, ruszyli zaraz szukać sobie towarzyszek i w Surdędze dowiedziano się, że jednego dnia w pięciu się puścili na upatrzonego za Pilicę i przy ruczaju, gdzie z Wulki dziewczęta i niewiastki przychodziły prać bieliznę, porwali jedną piętnastoletnią dziewczkę, a drugą zamężną młodą, na koń je poprzywiązywali i uprowadzili.

Puściła się za nimi pogoń, ale wieśniacy źle uzbrojeni pobić się dali, a dziewczynę i

niewiastę uwieźli zbóje. Trzymali je na zamku do czasu i choć się o nie upominano, wydać nie chcieli. Tak się i zostało.

Trwoga poszła po osadach okolicznych, że się już pilnowano wszędzie od tych rabusiów.

Oni też za trzecią dziewczyną pono wyjechali dalej i od trzody porwali o mil kilka, a tak uszli z nią, że i gonić nie było wiedzieć dokąd.

Na pagórku wkrótce stanął zrab dworu, który zółciał z dala. Czuć już było sąsiada, bo nad granicą umyślnie ludzie jego szkody zdawali się wyrządzać, ale do bitki jeszcze nie przychodziło.

Odgrzązał się tylko Dalibór i pan Florian. Choć się domyślali Nikosza, nie byli pewni, bo go w oczy nie widzieli.

On też z napaścią nie spieszył, bo słabszym się czuł, ludzi miał niewielu. Tymczasem tylko ściągał osadników, posyłał i już na skraju lasu małą osadę zakładał, którą Cieślakami zwano, bo najwięcej tam było tych, co około dworu robili z toporami.

Jeden w drugiego ludzie tego Bąka dobierali się, wszyscy drabi i rabusie, tak że od nich w Woźnikach, we Wronikowie i w Laskach ciągle się musiano mieć na baczności, bo choć schwytać ich było trudno, ciągle coś ginęło, to sztuka bydła, to koń, to wóz na polu zostawiony, a nawet całe stogi siana. Nie pomogło to, że ślady wiodły na Wilczą Górę, bo kto poszedł ze skargą, to go zhukano, zagrożono i przepędzono. Barcie w lesie wydzierać zaczęto, a pomniejszych szkód nie można było zliczyć.

A to gniazdo paskudne około Wilczej Góry tak szybko rosło, jak żadna jeszcze osada, którą tu ludzie pamiętali. Nie wiedzieć, skąd się ta gawiedź brała. Miał między swymi pierwszymi towarzyszami Bąk takich ludzi, że gdy który z nich pojechał, a jeździli ciągle, zawsze z sobą kogoś, parobka lub babę, lub chłopię wyrostka przyprowadził.

Rozpowiadali Wnukowi, który się o to pilno dowiadywał, że Bąk z dawnych grabieży

pieniędzy pono miał dużo i różnych kosztowności i że z nimi do Sandomierza, do Krakowa i aż do Nowego Sącza posyłał, a niewolników kupował u Żydów, którzy nimi handlowali.

Więc to tam byli z całego świata zbierańce, różnego języka i krwi, z postrzyżonymi łbami, tacy, o których wiadano, że zwykli byli zbiegać, pokuci w dyby drewniane, z którymi do roboty chodzić musieli i na noc im ich nie zdejmowano. Tak w krótkim czasie namnożyło się około Wilczej Góry tych przybłądów i w Surdędze zaczęło być coraz od nich niebezpieczniej i

niewygodniej.

Czasem ów Bąk puszczał się na łowy w lasy, nie pytając granicy lub umyślnie jej nie

szanując, i bujał po puszczy surdęskiej, a na gorącym go złapać nie było można, choć się zasadzano nań.

Jednego razu gdy Florian Szary sam polował u siebie, zasłyszawszy cudzą trąbkę, puścił się zaraz gonić napastnika, domyślając się, kto był. Samotnie jechał. Tamten, czy się nie spodziewał, czy nie chciał uchodzić, stał w miejscu potrzebując i tak go Szary przydybał na polance. Na pierwsze spojrzenie poznał w nim Nikosza...

Stanęli tedy nie opodal od siebie, jakby się namyślając, co mieli począć. Szczęściem Nikosz sam jeden był, a Szary dwóch miał ludzi, nie zaczepił go więc zbój, tylko ryknął doń.

— Poznałeś mię?

Nic na to nie rzekł Szary.

— Znajże, iż ja tu nie dla kogo jestem, ino dla ciebie, aby ci spokoju nie dać zażyć.

Będiesz mnie miał dzień i noc pod bokiem, jak kamień w łożu. Wzięłeś mi dziewczkę, którąm mieć chciał, jeszcze ci ja ją może, choć niewiastę, odbiorę. Dwa razym się przez was krwią oblewał, oblejcie się wy i posoką, i łzami...

To mówiąc pięść wystawił przeciwko Florianowi, zawrócił konia i w las pojechał. Szary za nim strzałę puścił i psami swymi poszczuł, ale nie trafiła go strzała i psy nie nagnały.

Od tego dnia prawie zaczęło się między Surdęgą a Bąkiem, bo tak Wilczą Górę zaczęto

nazywać — nie ustająca wojna. Trzeba było mieć się na pieczy ciągle od nich, a i samemu często napadać, by swoje odebrać albo za szkodę sobie wetować.

Najwięcej na tym ludzie w Woźnikach, w Laskach, we Wronikowie, a nawet w

Mojkowcach cierpieli, bo panu chcąc dokuczyć, na nich się jako bezbronnych rzucali zbójce.

Zabijano, okradano, łupiono.



Szary często w domu nie bywał, więc ojciec trzymał się tylko obronnie i opędział, jak mógł.

Bywało, że Bąk, ludzi swych zebrawszy, kupą podjeżdżał pod zameczek w Surdędze, niemal pod wrota i stawał albo się rozkładał obozem, odgrażając, wywołując a szydząc, żeby mu Domnę wydano. Czasem Dalibór z małą garścią swoich musiał się z ostrokołów odstrzeliwać im, aby się pozbyć, nimby z sąsiedniej wioski ludzie nadeszli. Naówczas sama Domna zagrzewała dwornię i łuki im brać kazała.

Pod jedną niebytność Szarego Bąk na Woźniki najechawszy, gdy ludzie zaraz w lasy

zbiegli, chaty zrabował i spalił. Gdy Florian powrócił, rozsierdził się tak, że mu tego podarować nie mógł. Zebrał więc co mógł swoich, najwięcej tych rozpierzchłych z Woźnik, dobrze ich uzbroił i z pacholkami dworskimi najechał w biały dzień na podzameczek Bąka.

Wypadł sam Nikosz na obronę i przyszło do starcia na miecze, ale ludzi miał dobrych Szary i był dnia tego silniejszy, tak że Bąka zmusił uchodzić za bramę do gródka, a na podzamczu, co było chat, kazał pod nie ognia podłożyć, mszcząc się za Woźniki, i sam stał pilnując, aby nie ratowano.

Jeszcze się po tej klęsce gorzej rozjadł Nikosz i jego ludzie, tak że między osadnikami jego a Florianowymi już pokoju nie było. Do spotkania rwali się na siebie i mordowali.

Zapalono nocą chaty w Mojkowcach, ale się je odratować udało. Spłonęły stogi na łąkach u Szarego, popalono, co było około Wilczej Góry. Ale tu niewiele się dało zniszczyć, bo zawczasu swoje siano na zamek pościągali.

Inaczej jak zbrojnie nie wyjeżdżał z nich żaden za wrota. Najgorzej to dopiekało Szarym, że im wciąż w uszy krzyczał zbój, że Domnę odbierze, choćby dziesięć lat musiał na nią czatować.

Mężna niewiasta nie mogła prawie wyniść z zamku, gdy męża nie było, i nóż u pasa nosić musiała zawsze jak mężczyzna, bo od Nikosza i we własnym domu bezpieczną się nie czuła.

Życie na zamku w Surdędze stało się nieznośnym. Byłby na to zaradził może Florian, raz się z przyjaciółmi namówiwszy i z rodziną a powinowatymi, aby Wilczą Górę osaczyć i zbójcę wziąć, a do królewskiego sądu odstawić. Lecz na to czasu nie miał nigdy, bo ledwie wrócił z wyprawy jednej, już na drugą wołano. Czasy takie były za Łoktka, iż co lepszemu rycerstwu, jeżeli nie na kresach, to kędyś w domu trzeba było bić się, aby nie dać się wybić spod jednego panowania buntującym. Gościem więc był w Surdędze pan Florian, a może to zło, iż szczęścia domowego nigdy długo zakosztować nie mógł, na dobro się obracało, bo mu ono tym droższym było.

I miłość a zgoda między małżeństwem była taka, jakiej trudno gdzie indziej znaleźć na

świecie. Więc te dni skąpe, które spędzał Szary u siebie, złotymi mu się wydawały, a przelatywały jak sen złoty.

Domna, która niegdy dziewczęciem piękną była, po narodzinach pierwszego syna jeszcze

wypiękniała i jakby się dopiero taką okazała, jaką powinna była być dojrzałą. Pozostał jej ów

wdzięk niewinności dziewczęcej, jaki miała wprzód, a przybyła powaga macierzyństwa i jego szczęście, które na pięknej twarzyczce świeciło jakby blaskiem błogosławieństwa bożego.

Gdy we wrotach oznajmiono o powracającym Florku, wzięwszy synaczka na rękę, z

piosenką na ustach, z weselem na czole wychodziła przeciw niego żona, tym większą okazując radość, by nie troskał się o to, co pod niebytność jego przecierpieć musiała. Nie poskarżyła się nigdy mężna niewiasta, aby mężowi serca nie zalewać goryczą. A gdy stary Dalibór czasem, jak to zwykle jego wieku ludzie czynią, narzekaniom nie znał miary, zamykała mu usta łagodnie,

pieszcząc, przerywając, odwracając rozmowę, aby Florian w domu mógł trochę zażyć spokoju. A właśnie tak tu było trudno o to!

Myśleli Koźlarogi, że złemu człeku sprzykrzy się w końcu to prześladowanie i walka,

zwłaszcza że bezskuteczne były. Lecz przeciwnie, im mniej mu się powodziło, tym mocniej się zbój nasadzał i wszystkie siły wyęczał.

Dalibór wreszcie wpadł na myśl, aby u niegodziwego Bąka pokój choćby okupić. Gotów był

na to, jaki miał, zapas grosza poświęcić. Użyto przyjaciół, co się do Nikosza zbliżyć mogli, i poddano myśl jakiegoś układu i zgody. Na pierwszą o tym wzmiankę Bąk się zerwał (a było to w Sieradziu na zjeździe ziemian), krzycząc, że gdyby mu górę złota taką dano, jak była Wilcza, nie kupiono by za nią spokoju dla Szarych, bo po to on żyje, aby się na nich mścił, iż mu jedyny skarb wydarli.

— Byłbym ja innym człkiem — począł — gdybym tej żony dostał, którą mieć chciał.

Bogu bym i ludziom się zdał, a za grzechy moje odpokutował... Nie dali mi jej! Lała się krew moja, lać się będzie ich krew aż do kropli ostatniej i albo ja ją będę mieć, lub zginę!

Poczęli go drudzy opamiętywać, iż cudzą już żoną była, że jej nigdy dostać nie może.

— To niech on zginie, co mi ją wziął! — krzyczał zbój. — Albo niech i ona ginie, aby jej ani on, ani nikt nie miał, gdy ja mieć nie mogę! Pókim żyw, nie ustąpię!

I klął się tak strasznie, iż słuchający uszy sobie zatykali.

Nie było więc innego sposobu, jak przed sąd królewski go pozywać o gwałty i zbrojactwa.

Ale dla tych wojen nieustannych sądy się i zjazdy nie zawsze w porze odprawiały. Bąk nie stawał na nie, sądzono zaocznie, a schwytać nie było sposobu. Musieli więc Leliwy i Koźlarogi z powinowatymi ostatecznego się chwycić środka: czatować na złego człeka, aby go zgładzić.

Nikosz Bąk, który sam niegdy zbrojem był i wiedział, że głowa jego wiele wartała, umiał jej strzec. Domyślał się, co mu groziło, nie wyjechał z domu nigdy bez ludzi, dobierał najlepszych, zbroił się

jak na wojnę, przy tym czujnym był, pory wypatrywał, drogami się takimi przemykał, że go wytropić nie było można, a jednym gościńcem nigdy dwa razy nie puszczał się.

Miał i ten rozum, że ludzi usypiać umiał. Czasem go długo słyhać nie było, przycupnął,

siedział cicho. Bąkano, że chory... Zaczynano lżej oddychać, a on, przysposobiwszy się w milczeniu, nagle potem rzucał się na nieopatrnych.

Choć żadne nie zdawało się grozić niebezpieczeństwo, ustawicznie musiano czuwać w

Surdędzie, a ta baczność i obawa nużyła i starego Dalibora, i Florianą. Zameczek, jak gdyby czasu wojny, musiał załogę mieć, oręż i wszystko, czego potrzebował do obrony, bo gwałtownej napaści zawsze się spodziewać musiano. Ostrokoły i drewniane opasanie, gdy cokolwiek z gliny opadło, raz w raz oblepiano i obmazywano na nowo, aby ognia nie podłożono pod nie, który raz już kilka znajdowano wraz ze smołą i pakułami. Ludzi, choć potrzebował Szary do swoich osad i do dworu, a stręczyli mu się, wahano się przyjmować, bo i to się zdarzało, że w nich nasłanych zdrajców potem poznawano.

Przy tych wszystkich utrapieniach powszednich inna kobieta by oczy wyplakała i los swój

nieszczęśliwy przeklęła, ale Domna była wielkiego ducha niewiastą, rycerską jak mąż i w ogniu tym żyła, śpiewając a śmiejąc się, jakby w swym żywiole. Mężowi też, który powinność swą rycerską i służbę odprawiać musiał, nie stanęła na zawadzie nigdy, nie strzymała go, gdy szedł, ani łzami, ni słowem. Uspokajała owszem, gdy na koń siadł, aby o dom się niezbyt troszczył, bo oni z ojcem rady sobie dać potrafią.

Pod niebytność też mężowską ona i Dalibór musieli czuwać bez wytchnienia. Nocą strażę

chodziły z grzechotkami i nawoływały się. Na najmniejszy szmer podejrzany bito w deskę na ludzi, aby wstawali. Wieczorem, nie spuszczać się na nikogo, Dalibór sam lub Domna obchodzili gródek dokoła, każdej furty próbując, czy była dobrze zawarta, każde okno zasuwając i pilnując, czy za ostrokołami kamień, koły, haki były na podoręczu.

Dalibór, nie bardzo spać mogąc, kilka razy w nocy wstawał.

We dnie ktokolwiek się do wrót zjawił, musiano badać i opatrywać, kto był, nim go

puszczono. Jechać nawet do drugiej wsi bez zbrojnych nie było można, a ponad granicą, gdzie były drogi, pozarastały, bo się nikt nie ważył na nie. I gdy w tej dawniej tak spokojnej osadzie wszystko stało otworem, dostatek panował, gromadziły się zapasy, teraz coraz było cieśniej.

Za to pusta niegdyś Wilcza Góra, teraz Bąkiem zwana, już do dawnej wcale nie była

podobną. Stał dwór duży w pośrodku, a że stadninę chował liczną Nikosz, szop dla niej i dla trzody naklecono dokoła. Na podzamczu, po spaleniu go, przekopano rów i puszczono wodę, a w pośrodku, jakby na złość, pobudowano chaty nowe. Zbóje, co poprzychodzili tu sami, gwałtem i różnymi sposobami bab sobie napytali. Zwozili je, gdy inaczej nie mogli, kędyś zza świata i takie,

których już nikt nie chciał, a że srogo trzymali, więc się to nie rozbiegało. Drugim dobrowolnie, dla świętego spokoju, sąsiedzi wieśniacy córki i siostry dawali, choć się to na wiele nie zdało, bo dlatego swoich dzicz ta nie poszanowała.

A że zbóje mieli różne nabywania sposoby i nie można było ręczyć, żeby i teraz po gościńcach nie napadali, był u nich wszelkiego mienia dostatek. Ubożało dokoła, ci w pierze porastali. Najlepsze konie, najtłuściejsze bydło, najpiękniejsze szaty na nich widać było. Nikosz, gdy jechał ze swoim dworem, z najpierwszymi ziemiany mógł się równać szatami, wierzchowcami i zbroją, tylko w oczy im nie trzeba było zaglądać, bo jak on sam, tak jego towarzysze na łbach mieli napisano, z czego urosli i czym byli.

Starął się o to pilno Szary, aby Nikosza do pułku wezwano i na służbę rycerską, boby przynajmniej czasu tego, gdy go doma nie bywało, spokojniejszym mógł być. Lecz Bąk, który do zwady i napaści bardzo był skory, na wojnę się nie spieszył. Miał sposoby różne wymówienia się od niej.

Gdy się zrazu w okolicy ukazał, a wiedziano o nim od Leliwów, kto był, i dawne jego sprawki też na wierzch powychodziły, stronili ludzie od zbója, nikt z nim na zjazdach na jednej ławie siał nie chciał, ani pić i jeść u jednego stołu.

Ale to nie trwało długo. Zaczął rosnać w pierze, potem co lżejszych ujmować sobie kubkiem, datkiem, koźmi, bo to, co mu łatwo przychodziło, tym lekko szafował i powoli nawracali się już doń niektórzy. Puszczano mimo uszów, co broił, a garnęli się do wesołego i chętnego człeka.

Ośmielił się zrazu jeden pojechać do Bąka w gościnę na Wilczą Górę, a jął potem zachwalać, jak go tam przyjęto i obdarzono — pociągnęli probować drudzy.

Bąk, co sam jak palec był w początku, poczekawszy, miał już przyjaciół i drużynę. A wszyscy ci, co do niego przystali, już przez to Szarym nieprzyjaciółmi musieli być. Wprawdzie nie z najlepszych się to ściągało, a z odpadków, ale to zawsze najgłośniej krzyczy, co najmniej warte.

Ze smutkiem musieli na to patrzeć Leliwowie i Dalibór stary, i młody Florian, lecz się nie skarżyli, bo mieli swą dumę. Leliwa też wkrótce zmarł, synowi po sobie zostawując Lelów.

Na Surdędze nie zmieniło się nic, a było coraz biedniej. W czym tylko pokrzywdzić i uszkodzić mógł Nikosz, nie omieszkał. A że granice długo zapomniane były i zaniedbane, nikt ich nie pilnował, teraz obronić było trudno. Bąk się gwałtem powrzymał w posiadłość Szarych, tak że kopce posypał niedaleko zamku na łące, która jak świat światem do Surdęgi należała. Rozsypano je drugiego dnia, przyszło do krwawej bójki, lecz straż trzeba było trzymać, bo po nocy wpadali zbóje Nikosza z łopatami i, co było rozorane, znowu nasypywali. Toż samo w lasach na drzewach, gdzie były znaki i krzyże na starych pniach, korę i żywe drzewo pozrębywano, a nowe w środku puszc

powyciosywano i posmolono, aby się jak stare wydawały. Za tym szło, że o połowę ziemi w sporze potrzeba się było rozpierać ciągle.

Nikosz się śmiał i radował, gdy się dowiedział, że w Surdędze nań narzekano, a gdy mu się udało dokuczyć, chwalił się z tym i, gdy Floriana nie było w domu, podjeżdżał z kupą pod wrota same gościńcem, stawał i wykrzykiwał a szydził, że w ludziach, co słuchali, krew kipiała.

Czasem doń strzelano, lecz niełacno go było dosięgnąć, bo żelaza na sobie miał dosyć, hełm nosił zawarty, bez tarczy małej nie ruszył, a oręża u boku i siodła miał nawieszanego, że na dwóch by go stało. Ci, co z nim bywali, także nie lękali się lada postrzału.

Jak ze wszystkim w świecie człowiek obyć się musi i zżyć, tak i z tym nieszczęściem

oswoili się na zamku wszyscy, oprócz pana Floriana. Temu więcej niż ta ciągła obawa i czuwanie dolegał srom, iż jednemu przybłędzie niepocziwemu, który się tu zwlókł nie wiedzieć skąd, ojczycem tutejszym nie będąc, musiał czoło stawić, w zapasy z nim iść i nie móc go pokonać.

Nie mówił on o tym, bo skarżyć się nie lubił, lecz życie mu zatruwała ta troska dla żony, którą choć zawsze dobrej myśli i wesołą widział, żałował, iż w zamknięciu tym jak w więzieniu żyć musi. Myślał więc i przemyślał ciągle, jak by raz pozbyć się człowieka tego i spokój biednej kobiecie powrócić, a modlił się o to jedno jak o nagrodę do Boga, aby mu dał nad wrogiem zwycięstwo.

Nie obiecywało się ono tak rychło.

## IX

Wiedział Bąk o wszystkich obrotach Szarego. Miał on swych ludzi wszędzie, a gdy inaczej

języka dostać nie mógł, żebraka, któremu u siebie chleb i przytułek dawał, niejakiego Kurpia, wyprawiał do Mojkowiec, a czasem i do Surdęgi. Kurp ten, niegdyś także z ziemiany polowaniem się po gościńcach zabawiał, potem okulał i zniedołężniał, chadzał więc z torbami za jałmużną, a że gębę miał wyprawną i ludzi gadkami i piosenkami bawić umiał, nieźle mu się działo.

Ten gdy raz na Wilczą Górę zaszedł i w czeladnej izbie durzył zebranych próżniaków,

którym do smaku przyszedł, bo w nim swojego poznali, nadszedł Bąk.

Najulubieńszą jego też zabawą było ze swą czeladzią w dymnej izbie przesiadywać i lada

jaką rozpustną rozmową czas zabijać. Kurp mu się podobał, na długie zimowe wieczory go sobie zamówił, piwa mu nie szczędząc. Łaził więc tu stary i siedział chętnie, a gdy się lepiej poznali, zaczął go Nikosz tu i owdzie wysyłać, aby się o coś dowiedział. Nie obudzał stary kaleka podejrzenia; znano go od dawna, że się po okolicach wałęsał. I tak uczynił sobie zeń pomocnika.

Wlókł się Kurp do Mojkowiec, do Wronikowa, a gdy tam nie mógł się dowiedzieć, co mu

było potrzeba, szedł do Surdęgi, stawał u zamkniętych wrót, śpiewał, piszczał, aż mu wreszcie je

otworzono. Tu też żebraka od ognia w czeladnej izbie nie odpędzano. Dawano mu jeść, słuchano chętnie, co rozповідаł, wypytywano i wygadywano się przed nim niezbyt ostrożnie. Kurp zawsze mógł się tu dowiedzieć, kiedy i na jak długo wyjeżdżał z Surdęgi Florian i gdy się go z powrotem spodziewano.

I teraz też, gdy Hebda wezwał Szarego, a sposobiono się do wyprawy przeciw Krzyżakom,

Bąk był dobrze uwiadomiony. Wiedział i o tym, że ludzi co najlepszych z sobą zabrał Szary, a był pewien, że z nimi zostanie przy królu i nie zjawi się do Surdęgi aż po wojnie, która się zapowiadała długą i krwawą.

Właśnie gdy Szary do Poznania spieszył, a potem do króla pod Kraków, Bąk na Wilczej

Górze przemyślał, jakby z niebytności jego korzystać.

Jesiennego wieczora w wielkiej czeladnej izbie u Bąka wszystek jego dwór był

zgromadzony. Na ławie w kącie siedział i Kurp, kije swe obok siebie postawiwszy. W izbie, jak zawsze, dymno było i mroczno, choć się w jednym jej końcu ogień palił i u komina skałki

zakładano na żelazny ruszt, aby przyświecały. Twarze i postacie, które zza dymu gdzieniegdzie się ukazywały oświecone płomykiem skałki, wszystkie były do siebie dobrze dobrane. Zbóje, jeden w drugiego zarosłe, czarne, opalone, z porąbanymi twarzami, niewiele poszanowania okazując swojemu panu i wodzowi, siedzieli i leżeli na wpół, z kubków popijając i niekiedy dzikimi głosy się odzywając lub wykrzykując.

Bąk srogim bywał dla tych ludzi, gdy szło o posłuszeństwo. Wiedzieli, że gdy się wściekł z gniewu, niejednemu łeb ściał, ale bywały godziny, w których im z sobą pozwalał poufale

przestawać. Wśród nich, gdyby nie dumna postawa i nawyknięcie do rozkazywania, które

człowieka czyni siebie pewnym, a piętnuje w nim wodza, trudno w nim było rozeznąć pana. Odzież miał prawie taką na dzień powszedni jak i drudzy, nie odznaczał się od nich niczym. Obyczaj też miał ów leśny a starego rzemiosła, mowę taką jak inni zbóje. Wśród nich czuł się w swoim żywiole.

Stał teraz w pośrodku nich w bok się ujawszy, a towarzysze siedzieli, niektórzy leżeli na ziemi i na ławach, pospierani na rękę. Kurp piwo pił, kubek trzymając w jednym rękę, w drugim dużą chleba kromkę, białym czymś zasmarowaną, którą chciwie pożerał. Bąk ku niemu był

zwrócony.

— Gadajże, psiawiaro, coś tam słyszał? — wołał.

— Tom ci wszystko wygadał — odparł, chleb żując, niewyraźnym głosem, bo gębę miał

zatkaną, Kurp. — Mało ich jest na zamku, mniej niż kiedy bywało, a w potrzebie stara wiedźma

Zurycha furtę tylną otworzy. Zaprzysięgła się...

— Gdyby łotrzycy tej pewnym być! — zawołał. — Po co na zamek się rzucać i

szturmować? Dość by się było podkraść, podpełznąć, przez furtę wpaść, Domnę porwać i ogień podłożyć.

— A wprzód kąty oczyścić! — zaśmiał się z ławy jeden.

— Jest tam się czym pożywić! — rzekł drugi. — Zamek stary, a po tych starych zawsze najlepszy łup. Piwnice pełne! Skrzynie niepuste!

Bąk mniej zdawał się myśleć o łupie i nań rachować. O Domnę mu szło i o pomstę tylko.

Dumał.

— Coć Zurycha mówiła? — zapytał dziada.

— Kłęła się, że otworzy — rzekł Kurp. — Ona wie, że ja ją zgubić mogę, bom tam był, gdzie męża swego struła, patrzałem na to i przysiąc na to mogę.

— Babom wierzyć trudno! — zamruczał Bąk. — Gdyby Zurycha nie zdradziła, ja mówię, tylko się do furty podkraść.

— A jak się do nich podkraść? — wtrącił inny drab, który stał niedaleko pana. — U nich dzień i noc strażę chodzą, sam stary wstaje razy kilka i wypatruje. Z dala by dojrzeli.

— Zurycha, kiedy taka mądra i sprawna — rzekł któryś z ławy — jakby to nie mogła ludziom zadać na sen i popoić?

Dziad głową potrząsał.

— Ja na baby bardzo rachować nie myślę — przerwał Bąk. — Na co nam to? Jest nas

dosyć, aby na zamek się wdrapać, choćby furty nie otworzyła, wrota wyłamać, podpalić!... A i drabiny weźmiemy z sobą. Jeżeli ich teraz nie dostanę, to nigdy!

— Jak zechcecie, to dostaniecie! — rozśmiał się jeden ze śmielszych. — Wam Domna, a nam lochy i skrzynie.

Bąk ręką obojętnie rzucił; nie o skrzynie mu chodziło. Kroków kilka postąpił ku jedzącemu ciągle i popijającemu Kurpiowi.

— Gadaj! — rzekł zadumany.

Dziad począł nań patrzeć, nie odpowiadając jeszcze.

— Ludzi wielu? — pytał Nikosz.

— Policzyć trudno — bąknął żebrak — kto ich pozna? A snuje się to tam z kąta w kąt ciągle, tylko widziałem, że nie bardzo gęsto.

— Co tu lik znaczy? — przerwał z ławy leżący. — Na jednego z tych, co na zamku, nas musi być kilku, bo zawsze lepiej się bronić niż napadać. Jeśli furty nie otworzą, nam wszystkim trzeba iść do ostatniego, wrota kołkiem podparłszy. Kto żyw! Raz chcecie skończyć — to skończyć!

Zamruczeli inni popierając to zdanie. Bąk ciągle stał zadumany.

— Z tymi ludźmi ja nie mam szczęścia — począł w pół do siebie. — Tyle lat, tyle razy próbuję, już bym innych ze świata zgładził i zapomniał. Tych ani ukąsić... Urok jakiś!

— Urok! Pewnie, że urok — odezwał się dziad — ale na to sposoby są.

Śmieli się niektórzy po cichu, spoglądając na żebraka, który dumnie usta zaciął, poczuwszy szyderstwo.

— W tym urok — odezwał się leżący na ławie — że o babę idzie. Zachciało się koniecznie tej, gdy na świecie ich tyle jest...

Splunął. Bąk się namarszczył.

— Sprawa nie o babę — zawołał głosem podniesionym — ale za krew moją ja zemsty i krwi potrzebuję! Najlepsza pomsta będzie, gdy im ją odbiorę.

Cicho odezwał się jeden z towarzyszków:

— To i dzieci cudze przyjdzie brać? — uśmiechnął się. Nikosz, czy nie słyszał, czy udał, że nie słyszy, nic nie rzekł na to. Gromada jego po cichu mruczała. Spoglądali na swego pana i wodza, uśmiechając się skrycie i pokazując palcami. Kurp dojadał i dopijał.

Dwóch ludzi wyprawił Bąk jeszcze po wioskach do Mojkowiec, Wronikowa i Lasek, aby

tam przez swoich (bo wszędzie ich mieli), gdyby w Surdędze na gwałt uderzono czy zapalono wiechy, nie bardzo kto na pomoc przybywał.



Nazajutrz, w noc bezksiężycową, ciemną, najście na zamek było postanowione. Dwór

Nikosza cieszył się z tego. Ludzie byli do bojek i napadów nawykli, smakowali w nich, a teraz dawno już nie kosztowali. Przykrzyła się praca koło domu jednostajna. Kurp pozostał na Wilczej Górze, aby się przypatrzeć wszystkiemu.

Następnego dnia wszyscy się do wieczora wylegali, niewiele mając do czynienia, bo wszystko, co potrzeba, pogotowiu stało. Nikosz tylko niespokojny biegał po dworze, po wałach, wyglądał ku Surdędze, gadał sam do siebie, zaglądał do czeladzi i na chwilę nie spoczął.

Nad wieczór gorączka go zaczęła opanowywać coraz większa. Uzbroił się zawczasu, miecz wyostrzył, zbroiczkę przypiął i tak ciemności czekał niecierpliwie, jak drudzy dnia wyczekują. Na dany przez niego znak ludzie zebrani do gromady, podzieliwszy się na dwie kupy, z których jedna do wrot głównych miała przypuścić szturm, druga u furty czekać na obietnicę Zurychy, ruszyli drożyną ku Surdędze z przykazaniem milczenia i nieszczękania bronią.

Choć mu pilno było bardzo, Nikosz zatrzymał ich, dopóki światło na zamku widać było.

Jednego ze swoich z częścią ludzi na gościniec wysławszy, aby około wrot wielkich gwałt uczynili, toporami je rąbiąc i usiłując ognia podłożyć, sam Nikosz poszedł z resztą oddziału do furty, spodziewając się, że mu ją otworzą.

Udało się wśród nocy przymknąć tak pod wrota zręcznym napastnikom, iż ich straż nie postrzegła i nie posłyszała, aż toporami poczęli łamać bramę i ogień rozpalać. Jak piorun to spadło na małą załogę Surdęgi, która się cała ku wrotom zbiegać zaczęła, krzycząc i nawołując. Nim się tam ludzie namyślili, co czynić, i Dalibór, posłyszawszy wrzask i łomot, kozuch wdziawszy wybiegł — już napastnicy wrota potrzaskali od dołu. Ale kute były sztabami żelaznymi, więc się trzymały, a za nimi drugie stały, o których nie wiedzieli.

W zamku zawrzało.

Domna wstała przerażona od kolebki dziecka, załamawszy ręce. Przytomność opuściła ją na chwilę. Sądziła, że zbóje się już na zamek wdarli. Lecz natychmiast prawie odzyskała przytomność, dziecko oddała niańce, a sama, pochwyciwszy mieczyk, za starym ojcem pogoniła.

Około wrot już się bronić zaczęto i zrzucać kamienie i koła zębate na oblegających. Dalibór rozkazywał z zimną krwią człowieka, który wiele już przeżył i niełatwo się daje ustraszyć.

W czeladnej izbie ogień był jeszcze. Tu siedziała Zurycha, blada i drżąca. Domna, wpadłszy do niej, nakazała wodę nastawiać i garnki ze smołą ludziom nosić na wyżki. Przeleżała baba, sama nie wiedząc, co czyni, była posłuszną i z niezmierną gorliwością poczęła dziewczkom rozkazywać.

Czeladź cała poszła na posługi załogi nielicznej, kto z czym mógł i miał.

Od wielkich wrot udało się na chwilę napaść odegnąć, ale wnet ludzie Nikosza drabiny

nieczo dalej do częstokołów przystawiać zaczęli, patrząc, gdzie obrońców nie widać było.

Tymczasem Bąk u furty stał i czekał, nie chcąc z tej strony nic rozpoczynać, a rachując na zdradę. Zurycha zaś na oku trzymana, ze strachu, by się nie wydało, co zamierzała, służyła i kręciła się, ani mogąc, ni chcąc do furty dostać.

Nikosz, czekając tu dosyć długo, słuchając wrzawy, która go dochodziła, a nie wiedząc, co się działo z drugiej strony, kilka razy na znak na próżno uderzywszy do furty, klnąc, poleciał po wałach dokoła do swoich, aby się przekonać naocznie, jak się im wiodło. Zaczynał wiarę tracić w obiecaną zdradę baby.

Zamkowi na znak niebezpieczeństwa mieli zawsze gotowe wiechy do zapalenia, którymi do

wiosek znać dawano, gdy pomocy od ludzi potrzeba było. Paliły się już te ognie, a chłopcy bili w deski drągami na gwałt.

Gdy Nikosz dopadł do wielkich wrot, kilku swoich znalazł płonąca smołą pooblewanych i

rannych od kamieni. Strzały zza ostrokołów świstały. Pierwsze wrota były na pół zrąbane, ale za nimi drugie takie widać było. Przez mały wyłom nikt się nie śmiał cisnąć, bo pomiędzy dwojgiem bram najniebezpieczniej stać było.

Krzyknął na swoich Nikosz, aby ich zagrzać, i widząc, że sam tu niewiele zrobi, nazad do furty zawrócił, gdzie ludzi część zostawił. Z tamtej strony cicho było, a że obiecana furta się nie otwierała, Bąk zniecierpliwiony drabiny na ostrokoł zarzucić kazał i sam na pierwszą drapać się począł.

Właśnie gdy już głową sięgał nad parkan, tknięty jakimś niepokojem, aby się dokoła

obejrzeć, stary Dalibór nadbiegł tu z dwoma łucznikami, którzy, dostrzegłszy w ciemności człeka, strzały puścili tak szczęśliwie, że jedna z nich przez otwór w szyszaku do twarzy Nikoszowi się dostała. Wyrwał ją zaraz, ale z drabiną się zachwiał i padł.

Zurycha, która ze strachu Kurpiowi może co obiecywała, teraz z drugiego, większego

jeszcze, nie śmiała nic poczynić i służyła zamkowym. Do furty iść ani myślała.

Nikosz ranny, na co mało zważał, już nie rachując na zdradę, ludzi wszystkich zagarnawszy, pobiegł do wielkich wrot szturmować. Bronili ich, jak mogli, Dalibór i jego czeladź, ciskając, co pod ręką było, strzelając, sypiąc i lejąc, lecz pierwsze wrota już były złamane, drugie podpalano, a wszyscy Nikoszowi ludzie, gdy z tej strony na ostrokoły się drapać zaczęli, załoga im starczyć nie mogła, bo niewiele jej było.

Cudem chyba zameczek się mógł obronić, a ludzie ze wsi na odsiecz oczekiwani nie

przybywali, nawet z Mojkwieć.

Dalibór biegł rzucając swoją gromadkę to tu, to owdzie, gdzie najpilniej się było bronić.

Wrota, choć wodą lano, paliły się, bo coraz więcej suchego chrustu pod nie podkładano. Stary w końcu postrzegł, że jeśli odsiecz nie przybędzie, napastnicy się włamią do wnętrza. Widziała to i Domna. Nie było innego ratunku, jak się im zdawało, tylko tylną furta po nocy wymknąć się z dziećmi, spuścić z wału i do lasu uchodzić, mienie i zamek oddając zbójom.

Domna, choć blada i wylękła, poszła po dzieci. Starsze z nich miał wziąć Dalibór, młodsze ona. Noc była ciemna, z tamtej strony nie widać było napastników, furta się zdawała jedynym zbawieniem.

Gdy już Domna płaszcz brała i dziecię z kolebki miała podnieść, Zurycha, która posłyszała ją rozmawiającą z Daliborem, z krzykiem do nóg jej padła.

— Tamtędy nie można! Nie idźcie! — poczęła krzyczeć — nie idźcie! Na Boga, tam ludzie są!

I ten więc ratunek ostatni stał się niemożliwy. A tu do wrót coraz się gwałtowniej dobijano i po drabinach leżli ludzie, a co którego strącono, drugi się ukazywał z innej strony, a za nim trzeci.

Nie wiedzieć, gdzie się było obrócić. Z wiosek ludzie, czy znaków nie widzieli, czy iść się obawiali, nie przybywali. Trzeba się więc było na śmierć lub gorszą od niej niewolę gotować, bo i ukryć się gdzie nie mieli.

Nikosz powtórnie ranny, gdy się tu na drabinę wdzierać próbował, latał jak wściekły, własnych ludzi popychając i tłukąc, gdyż się obawiał, aby nareście z sąsiednich wsi gromady nie nadciągnęły.

Do płonących już drugich wrót drągi mocne przystawiwszy, oblegający zaczęli je napierać silnie, bijąc w nie i usiłując wyłamać. Jeszcze chwilka, a i one paść miały — gdy na gościńcu lecące pędem usłyszano konie. Kilkunastu jezdnych nadbiegało.

Nikosz, sądząc, że chłopstwo przybywało z wiosek, obrócił się przeciwko nim z częścią swoich ludzi. Lecz zbladł i zatrząsł się, w pierwszym, który już z mieczem nań godził, poznając uzbrojonych ziemian. Zdało mu się, a raczej przeczuł w tym przeciwniku, którego żelazo dwa razy hełm jego ugodziło — Floriana Szarego.

On to w istocie był przybywający spod Krakowa, którego Opatrzność sprowadziła właśnie na tę godzinę...

Nikosza powaliwszy, bo ten się zachwiał i na kolana przypadł, Florian i jego czeladź siadła na kark oblegającym, którzy pochwyceni niespodzianie stracili wnet męstwo i zbiegać zaczęli. Przy blasku ognia, który pod wrota był podłożony, Dalibór postrzegł odsiecz przybywającą i już był

pevien ocalenia. Czeladź się rzuciła z resztkami pocisków na tych, którzy jeszcze u parkanów stali.

Najeźdźcy pierzchać zaczęli.

Nikosz porwał się zaraz na nogi, ale już widział, że nierówną była walka, i wnet za załomem ostrokołu zniknął, zostawując swoich, aby się ratowali, jak mogli. Trupów kilku położyli Florianowi, dwu czy trzech rannych związano, Dalibór palące się wrota kazał odeprzeć i załoga wybiegła panu młodemu pomagać. Oczyszczono zaraz wjazd i cała ta straszna burza pierzchnęła, kryjąc się gdzieś w nocy ciemnościach.

Gdy Szary, z konia zsiadłszy, przez żużle płonące wchodził na zamek, ujrzał naprzeciw

siebie stojącą Domnę z młodszym dzieckiem na ręku i mieczykiem u pasa. Błada była jak anioł

śmierci, uśmiechnęła się temu cudowi, który ją dłonią niespodziewaną męża ocalił, ręką jedną objęła szyję jego i — padła. Kobiety nadbiegające wzięły ją na ręce i poniosły do domu. Florian szedł za nią. Starego ojca pocałował w rękę milczący, starsze dziecię podniósł i zabrał z sobą.

Obawiać się już nie było czego, lecz szkody wyrządzone musieli ludzie natychmiast

naprawiać, bo od zbója nigdy bezpieczeństwa nie mieli, a Bąk, choć ranny, uszedł na swą górkę. Od powiązanych jeńców, których do lochów, skrupowawszy, rzucono, dowiedzieli się oblężeni

wszystkiego, bo ci, życie swe wyprasząc, pana nie szczydzili, przeklinali go i prawili, jak się długo do tej napaści przysposabiał. Jeden z nich, zagrożony, wyśpiewał nawet o Kurpiu i obietnicy Zurychy, którą zaraz ująć chciano, lecz wśród tego zamętu baba, domyślając się, co ją czekać może, znikła...

Smutny i radośny razem był ten przyjazd Szarego do domu. Przyproceedziła go Opatrzność

na samą niebezpieczeństwa godzinę.

Gdy Domna po omdleniu oczy otworzyła i ujrzała go przed sobą, podniosła się, tuląc do

swojego obrońcy. Zdawał się jej cudownie zesłanym z nieba. Florian na przemiany ścisnął ją i cisnące się do siebie dzieci, które, jak dzieci, ze łzów przeszły wnet do radości wielkiej, strachu chwilowego zapomniawszy. Wszedł i stary Dalibór zaszępiiony, zmęczony, ledwie się mogąc

utrzymać na nogach. Nie mówili do siebie, patrzali tylko i Bogu dziękowali.

Florian posepny myślał już, jak potrafi zabezpieczyć pokój rodzinie, gdy sam za dni kilka na powrót wyruszyć będzie zmuszony. Napaść dnia tego najlepiej dowodziła, jak zuchwałym był ten sąsiad a wróg, który czyhał na chwilę, aby się mógł pomścić. Załoga była za mała. Starzec jeden nie mógł wydołać obronie.

Znał już Szary swojego przeciwnika, że, z życiem uszedłszy, kajać się nie będzie, ustraszyc nie da i tym gorętszą zemstą zapali. Rachować na to, że był odpędzony sromotnie i ranny, nie mógł

Florian.

Zostałby był doma dla obrony, ale przyrzekł się wojewodzie. Część swoich ludzi w obozie zostawił, powracać więc musiał i to rychło.

Teraz dopiero, gdy już napastników nie było, ludzie z wiosek nadciągać zaczęli i wrzawa powstała u wrót, bo włodarz i starszyzna winili ich o umyślne opóźnienie.

Składali się osadnicy tym, że znaków ognistych nie byli pewni, że noc ciemna i drogi złe pospieszyć nie dozwoliły. Dla postrachu musiano sołtysów pobrać do lochu. Z gromad wybrano parobków do pomnożenia załogi i Dalibór sam wyszedł, aby ład jakiś uczynić. Na gwałt potrzeba było wrota i ostrokoły naprawiać, więc ludzi z siekierami wzięto zaraz z gromady, belki i kłody ściągając i ciosać zaczęto.

Tymczasem Florian do szwagra Leliwy posłańca do Lelowa wyprawił, aby na radę i posiłek przybywał.

Wszedł ranek po tej nocy strasznej mglisty i pochmurny, a tu na chwilę spocząć nie mógł nikt. Oprawiać wrota i opatrzyć zamek było pierwszą potrzebą, którą Szary przed wyjazdem musiał mieć załatwioną. Gromady też, winę swą czując, starały się ją podwojoną gorliwością zmasać.

Z kupy napastników straciwszy w zabitych, rannych i ujętych do dziesiątka ludzi, Nikosz

poraniony, potłuczony, nocą jeszcze doszedł do swej górki i, obawiając się odwetu, wrota pozapierał, ludziom nakazawszy stać u wałów. Wściekłości jego padło ofiarą, co w domu na progu mu się nastęczyło, bił własnych i mordował, potem rzucił się, krwią brocząc i nie myśląc o ranach, jęcząc i przeklinając, na łoże.

Kurp, który we wrotach stał, gdy ludzie uciekający nadbiegli, wysunął się nie postrzeżony i schował, obawiając zemsty. Zbiegłą Zurychę, gdy się nad ranem zjawiała u wrót, Nikosz, wypadłszy z izby, kazał obwiesić. Ludzie jej nie śmiejąc tknąć, bo się czarownicy obawali, dali zbiec.

Cały dzień następny nikt do Bąka przystąpić i słowa od niego dopytać nie mógł. Rozganiał i bił ludzi, pieniać z bezsilnej złości. Wieczorem zgłodniały pić zaczął i legł kamiennym snem ujęty.

Gdy się zbudził drugiego dnia, innym już był — jak by się wytrzeźwił. Poszedł liczyć swych ludzi, o tych, których nie stało, pytał. Na wał wlaższy popatrzał ku Surdędze, zamruczał coś sam do siebie, rany zaschłe poobmywał, odział się, uzbroił, konia kazał dać i, u wrót postawiwszy straż, odjechał precz, nie mówiąc ani dokąd, ani na jak długo.

Z Lelowa szwagier tegoż dnia do Floriana w kilka nadbiegł koni, wioząc z sobą dwu

powinowatych z sąsiedztwa, których u niego poselstwo zastało. Wyszedł naprzeciw nim Florian, z czołem nasepionym, zamiast powitania ukazując im wrota, węgle u nich i trzaski z wyłamanej pierwszej bramy.

— Gdyby mnie cud jakiś tu nie sprowadził — rzekł — już bym żony ni dzieci, ni ojca, ni

mienia nie oglądał, tylko kupę popiołu. Dobry sąsiad! Bracie miły — zwrócił się do Leliwy — wy o siostrze i o jej bezpieczeństwie radźcie. Za dzień lub dwa ja do króla muszę, a Bóg jeden wie, kiedy powrócę i czy żyw przybędę, bo się wojna sroga gotuje. Jakoście mi bratem, pomóżcie i radźcie. Z

tym człowiekiem, dopóki on żyw, końca nie będzie!

Leliwa spoglądał wkoło, nie odpowiadając, gdy jeden z ziemian, którego Pokrzywką zwali, odezwał się.

— Co tu radzić? Jak na wilka trzeba polować na tego człeka i ubić go. Jedna rada!

Drugi potwierdził to.

— Tak — rzekł Leliwa — gdyby go ująć można, nie żałowałbym dębu, a obwiesiłbym

zbója. Ale niełatwa z nim sprawa. Siadł tu nam wrzodem między nami... Chyba wszyscy się nań zbierzemy i pójdziem obławą.

— Czyńcie z nim i ze mną — odezwał się Florian — co wola i łaska. Ja to jedno wiem, że na posługę królewską idę, a ojca, żonę i dzieci wam oddaję.

Spojrzeli po sobie i Pokrzywka rzekł:

— Póki co będzie, musimy my na Surdędze koleją straż sprawiać.

— Dobrze i tak — odparł Leliwa — ja ludzi przyślę.

— Ja też — dodał trzeci.

— Godziłoby się też — rzekł, wchodząc w podwórze, Pokrzywka — zajrzeć do niego na górkę i poprobować, azali się lisa z jamy nie wykurzy.

— Lisa w jamie już nie ma — przerwał Florian. — Ludzie nasi widzieli go pono uchodzącego. Ma on z dawna swoich druhów rabusiów jako sam. Pewnie po nich lub do nich umknął.

— A nie widzi mi się — dodał Leliwa — aby rychło drugi raz na Surdęgę się ważył —

kiedy się wam go odprawić dobrze udało.

Nadszedł stary Dalibór.

— Gdyby nie Opatrzność — rzekł, ręce podnosząc do góry — nie obroniłbym się, choć

czeladź dobrze się zwijała. Gromady nie nadciągnęły, a baba Zurycha, namówiona podobno, im furte tylną obiecała otworzyć. Oskarżono ją o to, a najmocniej świadczy winę, iż uciekła.

Przybyli stali zdumieni.

— Wojna! — zawołał Pokrzywka.

— Nie bałbym się jej — wtrącił Szary — a zmógłbym biesa złego, gdybym doma mógł

siedzieć. Ale mnie na inną wojnę wołają i muszę... Wyprosiłem się na dzień, dwa wojewodzie, jak by mnie co tknęło.

Z przybyciem sąsiadów otucha wstąpiła w serca. Dalibór się czuł bezpiecznym, Florian

brata żony umawiał i gości swych, aby najdroższego skarbu jego strzegli. Leliwa siostrę do siebie dla ubezpieczenia zabrać chciał, ale sama Domna oparła się temu, starego ojca nie chcąc rzucić, który swego gniazda opuścić i zdać na cudze ręce nie mógł.

— Tu głowę położę — mruczał — ale przed tym zbójem uchodzić niedoczekanie jego.

Srom dla moich siwych włosów, a od sromu lepsza śmierć.

Zakrzyczano go, że wszyscy z nim Surdęgi bronić będą. Poszli tedy zaraz dokoła opatrywać zameczek, ku czemu Pokrzywka się zdał i wielkie miał serce.

— Na wojnę nie zdążam, bo jedna ręka martwa mi wisi, to choć tu posłużę.

Tak dzień zszedł, a Florian, na ojca zdając gości, więcej żony i dzieci pilnował, po których miał tęsknić długo. Domna już odzyskała całe swe męstwo, uśmiech i wielkie serce.

— Jedź spokojny — mówiła. — My żołnierskie żony nawykłe być do tego powinnyśmy, że

się z królem, ba i z wrogiem, mężami dzielić musimy. Toć dola nasza, a jam wiedziała, kto mnie brał i koraum przysięgała. Jedź spokojny — powtarzała. — Pan Bóg nas uratował cudem, nie odmówi i dalej opieki swej. Ludzi mamy mężnych, a ja i ojciec nie zaśpiemy. Co dopiero, gdy przyjaciół w pomoc dostaniesz, a za opiekuna brata!

— Tak ty mi serca dodajesz — rzekł Florian — bo co powinność rycerska, to powinność.

Ano, mnie tak was tu zostawić z tym złoczyńcą pod bokiem?

Domna uderzyła go po ramieniu.

— Wszystko złe przeszło — rzekła — ja to czuję w duszy mej. Dawniej obawiałam się tego człowieka, jawił mi się we snach często, żem z krzykiem do kolebki przypadała broniąc Staszka.

Dziś coś mi powiada, iż nie potrafi nic przeciwko nam. Jedź, miły mój, a powracaj z łupem i, co lepsza, z imieniem dobrym. Zastaniesz nas w progu nie, jak teraz, zapłakanych i strwożonych, ale witających zwycięzcę i szczęśliwych.

— Amen — dodał Szary — i oby się to sprawdziło!

— Bóg łaskaw — szepnęła kobieta.

Jeszcze dzień jeden pozostał Szary w domu, a miał tę pociechę, że mu cieśle do wieczora wrota nowe powstawiali, oczyścili wjazd i ostrokoły poumocywali.

Trzeba się było rozstać z Domną. Mężna niewiasta wyszła z dziecieniem na ręku na próg i przeżegnała go krzyżem świętym. Szary ciągnął do króla — wołała powinność.

## **TOM DRUGI**

### **I**

Przed ołtarzem niedawno wzniesionym w kościele zamkowym na Wawelu odprawiała się

msza święta. Ołtarz to był kosztem króla poświęcony patronowi jego, Władysławowi świętemu i przed nim teraz król i królowa Jadwiga modlili się, bo tego dnia Łoktek miał przeciw Krzyżakom wyruszyć w pole. Oddziały jedne już przodem wyszły z obozowisk, drugie się gotowały ciągnąć.

Dzień był jesienny, niebo ołowianą zasłoną obciągnięte całe, powietrze ciche; natura jakby usypiająca i znużona. Na wielu drzewach liść już był pożółkły, z innych opadać zaczynał. Dymy z kominów miejskich wlokły się nisko i rozkładały ponad ziemią.

Są takie dni, jak ten był, gdy wszyscy czują, jak by im czegoś do życia brakło, jak by odpadała ochota, nie obiecywało nic jutro, a groziło czymś nie znanym i strasznym.

Taki ciężar i teraz leżał na duszach tych ludzi, którzy króla otaczali. On sam, zwykle wesół i ochoczy, gdy się na wojnę wybierał, nie ustraszony niebezpieczeństwem żadnym, zasepiony był, milczący, chmurny.

W ciągu kilku dni ostatnich coraz bardziej niepokojące nadchodziły wieści od Wielkopolski i krzyżackiej granicy. Potwierdzała się knowana zdrada wojewody Wincza z Pomorzani i znoszenie się jego z Krzyżakami. Mniej się tego może lękał król dla siebie i dla kraju, jak dla syna.



Każmirz miał przy sobie statecznego męża Nekandę, lecz młody był, nieopatrzny i choć mu na męstwie nie zbywało, w rzemieśle rycerskim mniej wprawny, niż inni jego rówieśnicy

książęcego rodu bywać zwykli. Dziecię tego ojca, który przez pół wieku nie spoczął nigdy, z orężem ciągle i na koniu dobijając się i broniąc korony swej — Każmirz tą sprzecznością, która jest tajemnicą, a powtarza się często w następstwie pokoleń po sobie — nie miłował tak wojny jak ojciec, obojętnym był dla spraw rycerskich i wolał życie w pokoju i pracy gospodarskiej a rządnej.

Obawiał się Łoktek, aby w chwili niebezpieczeństwa sama nieznajomość jego zuchwałym go nie uczyniła.

Ku Poznaniowi teraz i król, i królowa zwracali tęskne oczy, radzi się co o synaczku

dowiedzieć. W nim oni żyli oboje. Posłowie, którzy przynosili różne wieści, o królewiczu mało wiedzieli. Mówiono, że miał wyciągnąć, dokąd — nie powiadano, bo dla bezpieczeństwa taić musiano schronienie jego.

Król dnia tego sam za wojskiem wyruszyć miał. Wiedziano już, że Jan król czeski, który się razem i polskim nazywał, miał z Krzyżakami razem uderzyć na Polskę. Zakon czekał na niego, znad Renu, z Inflant posiłki do Malbarga i Torunia już nadeszły. Czechy się ociągali. Uwiadomiony o tym król chciał korzystać z opóźnienia i na Krzyżaków uderzyć, nimby się z Czechami połączyli.

Pobożna królowa Jadwiga przed odjazdem małżonka pociągnęła przed ołtarz patrona. Cały

wojenny dwór pański, który razem z nim się wybierał w pole, zajmował szczupły naówczas kościół i kaplicę. Modlili się oboje królestwo na tym właśnie miejscu, gdzie wedle woli swej wkrótce może spoczywać mieli. Ołtarz świętego Władysława grób wyprzedzał.

Łoktek, który dawniej przed swą podróżą do Rzymu mało pobożnym był, a duchownych

lekceważył, w ostatnich czasach odmienił się bardzo. Za przykładem żony swej, która się zwała szczęśliwą, gdy na święto jakie do klasztoru zakonnicy zjechać mogła do Sądca i z nimi modlić się, do stołu zasiadać, noc spędzać na pół w chórze, wpół na twardej pościeli — Łoktek stał się pobożnym także.

Rzym, a teraz Awinion, popierał go we wszystkim i to właśnie drażniło zakon krzyżacki, że staraniem Łoktka objaśniony papież surowo gromił rabusiów *conantes exterminare idioma Polonicum* (usiłujący wypełnić mowę i plemię polskie), jak się wyrażali współcześni annaliści.

Król na pół klęczał, pół siedział obok szaro ubranej, z zasłoną białą na głowie, królowej, modlącej się gorąco, z podniesionymi do góry oczyma załzawionymi. Poorana, opalona twarz jego smutną była, oczy błędziły po kaplicy, po przytomnych, a myśli gdzieś daleko po świecie. Na mieczu się opierał, zbroję już miał na sobie, a hełm z głowy zdjęty trzymało przy nim stojące pachole.

Mszą biskup Jangrot (Jan Grot) celebrował, poważny w sile wieku człowiek, którego by za wielkiego w kościele dostojnika nikt nie wziął, gdyby nie oznaki biskupiej godności. Dziwny traf posadził go na tej stolicy, której on nie pożądał ani się spodziewał.

W młodych latach, gdy Jan w Bononii na naukach przebywał, znaleźli się tam razem z synaczkim ubogiego szewca z Cahors, Jakubem Eudem i razem z nim czerpali mądrość z jednego źródła, a miłowali się z sobą. Stracili się potem z oczów i Jan Grot spokojnie siedział na probostwie w Polsce, nie dobijając się dostojenstw, a kościół swój opatrując, gdy wysłani do Awinionu po osieroceniu katedry krakowskiej posłowie (bo Nankiera wzięto do Wrocławia), zalecający na stolicę Ottona, proboszcza gnieźnieńskiego, spytani zostali przez papieża Jana XXII, czyby jakiego Grota nie znali, co się tam z nim działo i jak mu się wiodło. Syn ubogiego szewca zasiadł teraz na stolicy Piotrowej i przyjaciela młodości przypominał sobie.

Posłowie o Grocie nie wiedzieli nic, lecz papież chciał go mieć na biskupstwie krakowskim i sam z siebie mianował. Ubogi proboszcz musiał tedy nagle, przeciw woli króla Łoktka, przyjąć ciężar biskupiego dostojenstwa. Król mu był zrazu niechętny i przeciwny, lecz się pojednali wprędce.

Biskup był człowiekiem spokojnym, cichym, nauką i kościołem zajęтым tylko. Pobożność jego i świątobliwość, prostota obyczajów zjednały mu króla i królowę. Nie były to już czasy owe, gdy biskupi krakowscy na pół z książętą rządzili krajem. Łoktek nikomu z sobą nie dawał w państwie gospodarzyć, jednakże Jangrota wzywał do rady i mało co bez niego poczynał.

Biskup był powierzchowności tak skromnej jak ducha, lecz znać w nim było mężnego pracownika tej winnicy, której całym oddać się musi człowiek, chcieli jej służyć. I na jego twarzy w tej chwili ofiary wielkiej widać było uroczyste przejęcie się modlitwą za króla i za kraj. W rękę starca tego znużonego były przyszłe jego losy. Jeśliby nie podołał Władysław, królestwo, zaledwie zlepione, znowu rozpaść się miało i pójść na pastwę obcym.

Dwu królów spierało się o koronę, z których jeden piastował ją, aby pomnażał, drugi wydierał, aby rozerwał. Jan czeski, gdyby ją osiągnął, zawczasu się nią dzielił z Krzyżakami.

Modlitwa więc za pomyślność oręża Łoktkowego była modłami za odrodzoną Polskę, zagrożoną śmiercią nową. Wszyscy czuli uroczystość tej chwili poprzedzającej walkę, na sercach wszystkich brzemieniem już leżała wiadomość o zdradzie wojewody.

Biskup się modlił gorąco. Msza właśnie dokończyć się miała błogosławieństwem, gdy od progu zaszeleciało coś, zamruczało. Ludzie się rozstępywać zaczęli, głowę zwracać, królowa przelękniona drgnęła i wśród rozstępującego rycerstwa jak zwiastunka wesela, jakby anioł prorokujący dni jasne, ukazała się młodziuchna Hanna. Wyprawiono ją dla bezpieczeństwa z Poznania, przybywała właśnie niespodzianie z tą swą wesołością ptaszecą, która jej nie opuszczała

nigdy, z uśmiechem różowym, z wejrzeniem promienistym.

Gdy to jasne, młode oblicze zjawiało się wśród posępnego rycerstwa i poważnego mężów orszaku, z nim razem powiało nadzieją, przyszła światłość jakaś na te smutku mroki. Twarze posępne uśmiechać się zaczęły.

Szła tak śliczna pani aż do kaplicy progu, z oczyma śmiało w ołtarz wlepionymi i tu pokłękła z dziecinną pobożnością świeżo nawróconej poganki, nawykłej tulić się do swych domowych bogów. Król i królowa z rozrzewnieniem patrzyli na nią, taką swobodną i pełną nadziei czy nieświadomości.

Cała jej postać tchnęła młodością oblicza, szaty się do niej składały, płaszcz ze szkarłatu, suknia bogato w kwieciste szyta wzory. Piękny włos trzymała siatka złocista, a zasłona głowy biała, która innym mniszego coś dawała, ją ubierała wdzięcznie, łamiąc się w fałdy tysiączne.

Patrzano na nią, lecz wkrótce oczy od tego obrazka odwróciły się, z ciekawością rozbudzoną żywo spoglądając na poważną, z oczyma od łez zaczerwienionymi niewiastę w płaszczu jedwabnym i czapeczce na głowie. Szła za królewiczową sama jedna, gdy reszta dworu trochę się dalej zatrzymała.

Ludzie, zobaczywszy ją, szeptać coś do siebie zaczęli. Smutno wyglądała jak ofiara, jak cierpiąca okrutnie, a usiłująca boleść stłumić w sobie. Matrona była, której przystało snadź w ślad iść za królewiczową i która w prawie się czuła przy niej miejsce zajmować.

Na twarzy Łoktka malowało się zdziwienie i jakby odcień jakiejś radości, za którą wejrzeniem zaraz Bogu podziękował. Biskup stał błogosławiąc powoli podniesioną ręką tak, aby promienie tego krzyża sięgnęły najdalszych pobożnych. Spojrzał na klęczącą Hannę i ręka jego poruszyła się, jakby umyślnie jeszcze dla tej spóźnionej.

Chór księży z Marcinem kantorem na czele zanucił pieśń błagalną i pokłękli wszyscy.

Rycerstwo jej wtórowało. Wielu z żołnierzy tego dnia przystępowało do komunii, bo kto na wojnę szedł, zbroił się w kościele. Na pobojuwisku nie zawsze znaleźli się kapłani... Na ostatek rycerstwo z kościoła wypływać zaczęło.

Wstała królowa, idąc synowę uściskać, podniósł ją król i razem wszyscy przejściem krytym zmierzili ku dworowi pańskiemu. Poważna niewiasta idąca za Hanną strzymała się chwilę, jak by nie wiedziała, czy ma się pozostać, czy razem z nimi dalej iść, gdy król po wyjściu z kościoła zwrócił się ku niej.

— Jużciż oczy mnie nie mylą — odezwał się. — Wy tu, pani Halko? Wy tu? Wy?

Głos drżał królowi, niewiasta spuściła oczy. Wybuchnęły z nich łzy, zakryła je chustą i żywo poczęła, odrywając ją, a zmuszając się do odpowiedzi królowi.

— A, ja to jestem! Ja, Miłościwy Panie, a moja bytność mówi o nieszczęściu moim!

Załamala ręce. Łzy powtórnie zalały jej oczy i odebrały mowę.

Król stał, dając się wyprzedzić żonie i synowej, która śmiała się, szczebiotała,

podskakiwała, a uroczysta owa chwila nie mogła żywej krwi jej pohamować. Z dała słyhać było głos srebrzysty i śmiech do piosenki podobny. O kilka kroków od tego wesela dziecinnego smutna i płacząca stała matrona przybyła z królewiczową i król, któremu jeszcze przytomność jej tutaj była nie wytłumaczoną.

— Rozumiem przybycie wasze — począł Łoktek na próżno oczekujący, aby płaczu się jej przebrało. — Przybywacie z niecnej potwarzy męża oczyścić?

Spojrzał na nią, ale ona z małym boleści krzykiem twarz zanurzyła w chustkach i zdawała

boleściwszą jeszcze po królewskim słowie. Czekał Łoktek, aby łzy otarła. Wzmagający się płacz nauczył go, że przypuszczenie, z którym się odezwał, fałszywym być musiało.

Cóż więc mogła tu robić na dworze jego żona wojewody Wincza, którego obwiniano o zdradę? Wpadł król na myśl, iż ją chyba jako zakładnika siłą porwano i tu przywieziono.

— Czy wam zadano gwałt — rzekł — zmuszając jechać do Krakowa?

Halka podniosła oczy spłakane.

— Nie! — odezwała się głosem mocnym, jakby tym przypuszczeniem dotknięta. — Nie,

Miłościwy Panie, przybyłam tu... bo tam nie chciałam być świadkiem ani współnicą tego, co się dzieje, co się dzieć będzie. — Miłościwy Panie — dodała żywo, chwytając króla za rękę. —

Jeszcze czas może, jeszcze się to nie spełniło. Ślijcie do niego słusznych, poważnych ludzi, niech doń przemówią słowem twym. On się opamiętać może... Rozżalony jest... a, tak! Zabolało go to, że gdzie długo panem był, sługą mu być kazano. Zawsze niepohamowanym był, gorącym,

namiętym... Jam żyła z nim, znam go. On złym w duszy nie jest, on sam się zagryzie tym. Siebie ratujcie, jego ratujcie, Miłościwy Panie, i ród nasz, aby się nie skaził zdradą! Ślijcie do niego... Nie poszedł może jeszcze. Jam uciekła z domu próżno go błagając i przybyłam tu umyślnie paść do kolan waszych, abyście go ratowali!... Złożyła ręce Halka.

— Jeszcze czas! — poczęła wołać, łkając — czas jeszcze!... Łoktek stał poruszony.

— Chodźcie za mną — rzekł powoli. — Tu nadto nas ludzi słucha i otacza. Pomówiemy...

Szli ku dworowi, król przodem, niewiasty wiodąc za sobą. Łoktek wprowadził ją do izby posłuchalnej, w której nikogo nie było. Żona wojewody padła mu do nóg, obejmując je.

— Miłościwy Królu — zaczęła na nowo. — On sam płakać i żałować będzie występku swego, jeżeli go popełni. Jedno dobre wyrzeczone słowo odwrócić może ode mnie hańbę, od was nieszczęście.

— Idę sam z wojskiem w tę stronę — odezwał się król — naprzeciw Krzyżakom, a może i swoim własnym. Nie czas stać, spotkamy się lub w obozie, jeśli się upamięta, lub na pobojuwisku!

— Ciągniecie tam? — przerwała Halka powstając — tam? Pozwólcież mi za obozem iść waszym. Ja pójdę do niego z posłami waszymi.

Król ręką dał znak przyzwolenia.

— Jedźcie — rzekł — pewnie, że się mnie i temu nieszczęśliwemu przydać możecie, lecz spocznijcie wprzód. Ja już w pole muszę.

— Ja nie potrzebuję spoczynku i nie znajdę go nigdzie, dopóki strach ten sromoty gonić za mną będzie.

— Aż do tej chwili — odezwał się Łoktek smutnie — wierzyć nie chciałem. Co dzień przychodziły wieści — odpędzałem je. Wy dopiero tego nieszczęścia przynosicie mi pewność! To mówiąc, skinął ręką i oddalił się.

Czekano na niego. W podwórku konie rżały. Ciężko zbrojni z pomocą czeladzi wspinali się na konie. Szczękały oręże, rozlegały się wołania, zbierali się znajomi i do jednych należący pułków, by jechać razem. Dwór królewski doładowywał wozy szybko.

Dalej ku wrotom, do czeladzi i rycerstwa wychodzącego widać było przybyłe na pożegnanie niewiasty z miasta, z węzełkami, dzbanuszkami, z podarkami na drogę, ocierające łzy. Szlochanie ich ciche mieszało się razem ze śmiechami młodszych, ze skomleniem psów i dawanymi hasłami.

Niektórzy zawczasu wyjeżdżali w miasto, jeszcze po drodze zapewne chcąc wstąpić do browaru i napić się piwa.

W komnacie królowej zarumieniona podróżą, rada, że ją dokończyła, siadała, kręciła się, podskakiwała, wesoła zawsze Aldona. Król patrzył na nią i lice mu się rozpogadzało.

— Gdzież Kaźmirz? — pytał. — Ja nic nie wiem. Niepokój mam o niego śmiertelny.

— Kaźmirz — głosem śpiewnym i przeciągającym poczęła Aldona — o, o niego możecie być bezpieczni. Ma przy sobie Nekandę, a to bardzo stateczny, rozumny i mężny człowiek. No — i Kaźmirz też mężny jest, boć synem twoim. A gdyby rycerzem nie był, ja bym go miłować nie mogła... Prawda — dodała — mówią na niego, że on wojny nie lubi. Ale któż by ją lubił, kiedy tyle krwi wylewa? A, dlatego, gdy bić się potrzeba...

Podniosła rączkę białą, ale silną do góry, jak gdyby miecz w niej miała, i rozśmiała się sama z siebie, a potem jak dziecko twarzyczkę zakryła. I oboje starzy, choć ochoty nie mieli do wesela, rozśmiać się z nią musieli.

— Dokądże Trepka Kaźmirza poprowadził? — rzekł król.

— A to wielka, wielka tajemnica, której mnie nawet powiedzieć nie chcieli.

Uśmiechnęła się.

— Kto wie, oni może sami nie byli pewni, dokąd pójdą, ale Kaźmirz ma ludzi wybranych, doskonałych i tak zbrojnych jak Krzyżacy, w że lezie od stóp do głów. Oh, o! Ci się nikomu nie dadzą... Na zamku w Poznaniu — szczebiotała ciągle patrząc bystrymi oczyma na króla i królowę — ja bym się była chętnie została, choć sama. Nawykłam już do okolicy... W lesie tam przypominała mi się Litwa i nasze puszcze. Tu koło Krakowa takich drzew nie ma... No, cóż! Nie pozwolili mi siedzieć w Poznaniu. Trepka mówił ciągle, że tam pod każdym kamieniem zdrada siedzi... Ja jej tam nie widziałam. Kto ich wie? Mnie się ludzie uśmiechali...

Ruszyła lekko ramionami.

— Tu bezpieczniej — odparł król.

— Tak, tak — smutnie przebaknęła królowa Jadwiga, spoglądając na synowę — będziemy razem się modlić.

Wielkimi oczyma popatrzała Aldona na matkę, nie odpowiedziała nic. Ta nieustanna

modlitwa, do której nie była przywykłą poganka, dziwiła ją i była dla niej niepojętą. Jej śpiew wesoły stał za modlitwę, a wesołość za służbę bożą. Zdawało się biednej, że młodość na to Bóg dał, aby ona się jemu i światu jak kwiatek wdzięcznie uśmiechała. Posłuszną była matce mężowskiej i

duchownym, lecz nie rozumiała modłów i one czyniły ją smutną, gdy tak potrzebowała być wesołą.

Jadwiga badała ją oczyma. Był moment milczenia.

Wrzawa dochodząca z podwórców przypominała królowi, że wyruszyć musiał. Wtem na myśl mu przyszła żona wojewody i zapytał synowej.

— Jakżeś i gdzie dostała tę towarzyszkę?

— A, żonę tego niepocziwego zdrajcy — odezwała się Aldona. — Ta mnie napędziła na drodze prosząc, błagając, abym ją zabrała z sobą. Cóż miałam czynić? Ach, a taka była przez całą podróż smutna, że mi zaśpiewać nie dawała.

Ja tak śpiewać lubię, jam tak do pieśni nawykła. Lecz ile razy spojrzałam na jej twarz

chmurną, na zapłakane oczy, piosnka mi w ustach zastrzęgła. Biedna kobieta — oczy wypłacze...

Porzuciła męża — a mówi, że go kocha i że go chce ocalić. Jak go ocalić — dodała, krzywiąc się

— kiedy wszyscy mówią, że poszedł do tych zbójców Krzyżaków? Kto się ich dotknie, ten się już nie oczyści nigdy... O... Krzyżacy!...

Zrobiła rycerską minkę, ale że śmiech u niej kończył wszystko, sama rozśmiała się z siebie.

Król stał, słuchał, patrzył, bawił go szczebiot ten młody i, choć konie rżały, odejść mu się nie chciało. Królowa tymczasem, z opóźnienia korzystając, niosła na jedwabnym sznurku zaszyte relikwie, które mężowi na wyprawę dać chciała. Gdy się zbliżyła i ukazała je, król pocałował i natychmiast na szyję zarzucił sznur tak, aby relikwiarz skrył się pod zbroję.

— Nie zgubciez go — szepnęła Jadwiga — pobożni księża nasi zaręczyli mi, że od wszelkiego zbawią cię niebezpieczeństwa i zwycięstwo zapewnią.

— Zwycięstwo — westchnął Łoktek — królowo moja, nie śmiem ja marzyć o nim. Jeżeli

Jan nadciągnie z Czechami, a ten nicpoń mi Wielkopolan oderwie, nie będę miał z czym stanąć przeciw takiej sile. Po staremu z boku ich będę zarywał i niepokoił, do boju wstępnego nie stanę, rycerstwa mam mało.

— Bóg łaskaw — szepnęła królowa. Aldonie oczy się zapaliły.

— Wy musicie zwyciężyć! — zawołała — naprzód, że sprawa wasza dobra, a bogowie (tu zarumieniła się mocno i poprawiła natychmiast), Bóg i święci patronowie pomogą. A wy, królu, ojczy, wyście mieli szczęście zawsze i wszyscy mówią, że bijecie się jeszcze jak młody i za

dziesięciu starczyście.

Królowa przerwała.

— Właśnie on bić się nie powinien, tylko patrzeć, dowodzić, rozkazywać, a to jego grzech, że żołnierzem być chce, gdy mu wodzem być potrzeba.

Łoktek nieco się uśmiechnął.

— Tak, tak, babo moja — rzekł żartobliwie — rozumnie mówisz. Ja to wiem! Ale gdy

człowiek w pole wyjdzie, nieprzyjaciela zobaczy, konie zarzą, kordy zabrzęcą, a posunie się rycerstwo na nieprzyjaciela — jak tu ustać? jak wytrwać? jak tu miecza nie dobyć i nie

pokosztować tej potrawy? Człek, gdyby go związano, urwałby się!

Gdy tak mówił, twarz mu odmłodziła, drgnął, zdawał się rosnąć maleńki pan i gorąco

popłynęła mu krew stara w żyłach.

— Czas! — rzekł. — Ludzie czekają, niech Bóg błogosławi! Jadwiga i Aldona przyszły go

całować po rękach, żegnając, i chwilowe rozweselenie zmieniło się znowu w tęsknotę i smutek.

Król wyrwał się z izby.

— Na koń! — zawołał w sieni, gdzie ludzie jego stali — na konie!

Na rozkaz ten królewski podawany z ust do ust w podwórku odezwała się zaraz trąbka, za

nią dalej zagrały inne. Ludzie z proporcami zaczęli się ustawiać na drodze, szykować, ścisnąć.

Kobiety i czeladź prędko z tłumu uchodzić zaczęła ku wałom i murom.

— Król! Król! — odzywali się, jedni drugim oznajmując. Dwie niewiasty, dwór cały

zajmował przedsiemie, księża stojąc błogosławili krzyżami. Po chwili ozwała się pieśń pobożna i zagłuszyła wszystko. Ją teraz jedne słyszeć było:

*Bogurodzica dziewica,*

*Bogiem sławiona Maryja.*

*U Twego Syna Gospod'na,*

*Matko zwolena Maryja,*

*Ziścij nam spust winam.*



*Kyrie elejson!*

I pochód uświęcony tą pieśnią odwieczną stał się jakby uroczystością kościelną, jakby

wielką procesją pobożnych. Wszystkie oblicza spoważniały, znikły uśmiechy, lecz razem znikła troska wszelka o przyszłość.

Szli z modlitwą, więc z Bogiem. Bóg szedł z nimi. Tym gorętsze były modły, że oręż

wymierzonym był przeciw Krzyżowi, przeciw tym, co się Marii sługami zwali... i w wielu sercach rodziła się wątpliwość...

Z wolna tak pułki wyciągały z zamku żegnane chust wiewaniem, czapkami, cichymi głosy.

Na Wawelu bito w dzwony.

Król jechał otoczony przez wojewodów swych, a siwy włos rozwiewał mu powiew wiatru.

Jechał i usta mu także poruszała modlitwa, a oczy szukały żony płaczącej i synowej, której smutek do tak dziecinnej nie przystawał twarzy. Za rycerstwem, za ciurami, za czeladzią i wozami jechała na wysłanym wozie, czterema końmi zaprzężonym, otoczona swą służbą, czarno odziana jak

żałobą, zakwefiona żona wojewody, ze spuszczoną głową, z różańcem w ręku. Jechała jakby wieziona na stracenie za męża winy, jak pokutnica, jak ofiara... I zasłaniała oczy, aby jej nie widzieli i nie poznawali ludzie, a nie piętnowali strasznym ognistym znakiem — zdrajcy żona!

Na ulice Krakowa, przez które ciągnąć mieli, wyległ lud, aby zobaczyć i pożegnać króla.

Około ratusza stał burmistrz pan Mikołaj Wirsing z pany radnymi Wigandem z Lupsicz, Mikołajem Rusinem, Mikołą z Sąndcza, Heynuszem z Nisy, a przy nich wójt Staszko i ławnicy. Do

przejeżdżającego króla z odkrytą głową zbliżył się burmistrz, uśmiechem go pozdrawiając

serdecznym, na który król też dobrym słowem odpowiedział. Teraz już między miastem a królem zgoda była i miłość, a obawy o zdradę nie miano. Z ramienia pańskiego wysadzona była starszyzna i nie gospodarzył tu wójt dziedziczny, ale wierny królewski sługa.

Rycerstwo się do mieszczan uśmiechało, z okien słano im pożegnania.

— Wracajcie zdrowi, a w dobrą godzinę!

— Bywajcie zdrowi!

I dzwony biły u Panny Marii, po kościołach, po klasztorach.

A potem gdy wszystko to, ludzie, ciury i wozy wyciągnęły w pole, stało się cicho i smutno.

Ostatni dźwięk przebrzmiał. Ludzie patrzali, choć już nic widać nie było, i myśleli: Z czym oni powrócą?

Stary król, co walczył pół wieku prostym żołnierzem, szedł może na ostatnią swą wojnę...

Nie posłał wojewodów za siebie, ciągnął sam, jak był nawykł, niosąc na posługę ludziom dłoń swoją, krew swą i wielkie swe serce.

## II

Trzeciego dnia po wyjściu z Krakowa, nad wieczorem kładło się wojsko obozem pod wsią

Wronne, u skraju lasu, nad rzeczką. Miejsce było dogodne, dla króla na nocleg stała pod

kościółkiem plebana. W wiosce coś niecoś dostać było można, a las dostarczał drzewa do ognisk i na szałas.

Ludzie powolnym pochodem byli znużeni i warczeli.

— Co tu noga za nogą się podkradać! — wołał Łęczycanin Sukosz, zasiadając przy ogniu.

— Wprost iść na tych zbójów, zewrzeć się z nimi i albo zginać, albo zgnieść!

— Ale! — odparł Wilczek z Turowa z siwym wąsem, człek wystąpił i doświadczony — ale!

Krew masz gorącą i chce ci się co rychlej do żonki powracać, a wojna ma prawa swoje.

— Nasz król — odparł Sukosz — nigdy nie zwykł był chodzić jak teraz. Ostrożności do zbytku, tak jak byśmy się ich bali.

— Nasz król — mówił powoli Wilczek, który tymczasem sobie pokrajane w sztuczki mięso

na drewnianych rożenkach u ognia przypiekał — nasz król dawniej mawiał, jam sam słyszał, że walnej bitwy wydawać nieprzyjacielowi, wszystko na jedną kość rzucając, nie godzi się, gdy wojsko nie ma przemagającej siły. Trzeba gonić za wrogiem, zasadzać się i urywać po kawale, póki się pogodnej chwili za gardło nie porwie i nie zdusi. Tak wojował Krzywousty!

— Ano! — krzyknął niecierpliwy Łęczycanin. — Tymczasem bestia Krzyżak pali sioła i miasta, kościoły i klasztory i ludzi wyrzyna. Ot co!

— Pomścimy to — rzekł Wilczek — pomścimy!

Do ogniska drudzy się zwlekać zaczęli. Wszyscy byli posępni. Powolny pochód nie smakował im.

— Nie ma języka od granicy? — spytał Sukosz.

— Musi być, bo ciągle ludziska jakieś przyjeżdżają — rzekł przybyły Pakosz z Góry — ale im gębę zamalowują, że z żadnego nic nie dopytać. Miny niegęste, król smutny... Kto wie, co się tam dzieje...

— Wszystko złe przez tego zdrajcę — zakrzyczał Sukosz. — Król go wykarmił, wychuchał, tłusty poleć smarował — i ot — co zyskał. Z tych wielkich panów zawsze korzyść taka... Król przecie pamiętać musi, gdy powrócił z Rzymu, a chciał swoje ziemie odzyskiwać, kim naówczas się posługiwał? My biedaki szliśmy z nim, no i kmiecie a chłopcy. Dopiero gdy się wzmógł, przyszli panowie do niego.

— Ej, Sukosz — przerwał śmiejąc się Wilczek — jak to na tobie widać, że ty masz możnego sąsiada, który cię dusi!

Sukosz zamilkł. Nadchodzili jedni, drudzy od ogniska szli. Spragniony po podróży lud szukał innego napoju nad wodę, co była w strumieniu, z którego już konie piły — a piwa byłoomal.

— Jak, da Bóg, wojna się skończy — dokończył po chwili Sukosz — choćby król wojewodzie przebaczył, ubiję tego złoczyńcę. Gdyby nie on, z Krzyżakami byśmy się rozprawili.

— A o Czechu to zapomniałeś? — wtrącił inny. — Na niego czekają i gorzej go się król obawia niż Wielkopolan. Ja myślę — dodał — jak by oni Nałęczę, czy jakie tam diabły, ukazały się przeciwko nam, a huknęlibyśmy do siebie — gdyby dziesięciu wojewodów ich wiodło, bić się przeciwko królowi nie będą.

Nie wszyscy w to podobno wierzyli, bo się nikt z potwierdzeniem nie odezwał.

— Co to za babę na wozie wiozą za wojskiem? — zapytał Sukosz. — Cztery konie w wozie, ludzie dostatnio odziani. Co to za kobieta? Podglądałem, jadąc, myślałem, że choć młoda, jaka Abizail królewska, ale gdzie tam! Stare babsko! I nie wiadomo kto to jest.

— A nie wiadomo — rzekł Wilczek. — I mnie ciekawość brała dowiedzieć się, ludzi badałem... Woźnica mi rzekł: Baba — i tyle, jeden ze sług odparł — Pani. — Jak się zowie? Na to on: — Albo ja wiem. — A skądżeście? — Ze wsi! — A z jakiej? — Nazwiska zapomniałem... Po cóż się tają?

— Chyba król czarownicę wiezie — zawołał przybyły Wężyk — aby uroki krzyżackie

odganiała.

— Kto ona jest, nie wiem i ja — począł Darosz z Suchej Wierzby, alem za wozem jej jechał długo i to wiem, że całą drogę płacze. Nikt jej nie zna, do nikogo nie mówi słowa.

Ruszyli drudzy ramionami. Od plebanii, w której król gościł, nadjechał Zemięga ziemianin, który przy wojewodzie jakiś urząd sprawiał. Zwrócili się ku niemu wszyscy, bo wesół był i gadatliwy.

— Co słyhać tam między głowami? — pytał Sukosz, który z rozpaczy na kobierczyku się przy ogniu wyciągnął.

— Dobrze słyhać! — zaśmiał się Zemięga. — Król posyłał na gościniec, którądy Czechy miały ciągnąć. Ani słychu ich... Jeszcze się nie wybrali.

— To po cóż czekać? — krzyknął Sukosz. — Wprost na zbojów, póki im posiłki nie nadciągną.

Zemięga, zlazłszy z konia, siadł przy ogniu w kuczki, hełm zdjął i za piwem, którego nie było, oglądał się.

— Tobie, Sukosz — rzekł — byle prędzej, choćby i zginąć, a my ochoty do tego nie mamy.

Z Krzyżakami, choćby sami byli, sprawa niełatwa. Nadciągnęły im Niemcy znanad Renu i lichy wie skąd. Mówią, że zza morza... Psiarstwo to, słyżę, ma jakieś kusze żelazne, zbojeckie, niewidome, które im ich czarnoksiężnicy wymyślili. Mówią, iż z hukiem wielkim jak grzmot rzucają takie kamienie z nich, że od razu kilkudziesięciu ludzi z daleka rzucone ubijają...

— Tfu! — odparł Sukosz — babskie plotki. Puścili je, aby głupim strachu napędzić.

— Nie bajki to są, nie — rzekł Zemięga. — Mają ten jakiś ogień piekielny.

— Ogień juści i dawniej rzucać ludzie umieli — zagadał Wężyk. — Niewielka rzecz z kuszy puścić bełt smołą oblany i zażegnęty. Nic nowego.

— Co ty mi mówisz! — ofuknął go Zemięga. — Ja ci powiadam, com z pewnych ust słyżał, że na Malborgu i w Toruniu mają takie żelazne rury, z których naraz ogień bucha...

Wszyscy zamilkli.

— Nie wierzę, aż zobaczę — zawołał Sukosz. — Nie wierzę! Cóż to tym złoczyńcom miałby Pan Bóg dawać taką siłę?

— Jaki Pan Bóg? — sprzeciwił się Węzyk — chyba Lucyper. Albo to nie wiecie, że

Krzyżacy tylko udają, iż Chrystusa czczą, a mają swojego boga mosiężnego głowę, której się kłaniają, i kozła, przed którym się modlą, ale nie do głowy, tylko do ogona.

Niektórzy się śmiać zaczęli. Zemięga dodał, iż byli ludzie, co rzucanie ognia piekielnego widzieli i huk słyszeli, i opowiadali, że kule kamienne, których dwu ludzi podźwignąć nie mogło, czart ten wyrzucał.

— Cóż by to była za wojna! — zawołał Sukosz. — Co by już człowiek i rycerz był wart w niej, gdyby go tak z dala bezbronno można zgnieść?

— Ano — kiedy tak jest! — westchnął Zemięga.

— Plotą, aby nas straszili — zamknął Wilczek — nie ma o czym gadać.

Rozprawiano tak około ognia i zdania się różne z sobą spierały. W drugiej stronie obozu, poza wozami, w których królewskie szaty, zbroje i zapasy prowadzono — nieco odsunięty od innych stał ów czterokonny zaprząg, który wiózł nieznajomą płaczącą niewiastę. Była nią żona wojewody Wincza.

Na samą wieść o zdradzie jego, która się coraz bardziej szerzyła, powstała w wojsku i starszyźnie taka niechęć, taka nienawiść przeciw zdrajcy, iż imienia jego wymówić nie było można.

Biedna niewiasta słyszała, omdlewając, jak go przeklinano, odgrażano się nań i zemstę mu zapowiadano. Musiała więc taić nazwisko swe, bo z nim życia nie była pewną. Zakazała ludziom wyjawiać je, sama zaś trzymała się na uboczu od wszystkich, milcząca. Tych, którzy zagadywali do niej, zbywała milczeniem i łzami. A że zawsze u nas wielkie było niewiast poszanowanie i cześć dla łez, nie naprzykrzał się jej nikt. Litowano się, domyślając nieszczęścia, które ją dotknęło.

Trafiło się tego wieczora, iż wozy królewskie, a z nimi i wojewodzkiej, najbliżej były

Sieradzian, między którymi Florian Szary się znajdował. Od wyjazdu z domu, żonę pozostawiwszy na obcych opiece, świeżo po przestachu takim, chodził jak noc smutny. Słowa z niego nikt nie dobył. Musieli mu znajomi dać pokój, ażby — jak powiadali — wysapał się i odszedł.

Na pamięci mu stała jego biedna Domna, taka, jaka go z młodszą na ręku dzieciną żegnała

w progu. Więc każda biedna, płacząca niewiasta to na nim czyniła wrażenie, że ją przypominała.

Coraz to ku temu wozowi spoglądał, a litował się nad płaczącą. Nie zaczepiał jej jednak i nie nastęczał się, bo go drudzy już ostrzegli, że z nikim mówić nie chciała i ludzie jej imienia nie wyjawiali nikomu. Głowy sobie bardzo nie łamał, kto była, ciekawości nie miał zbytnej, litość czuł tylko wielką.

Przy wozach z rycerstwa dla opieki nie było nikogo, same ciury i czeladź. Nie spuszczał z niej oka Florian.

Pod noc już ludzie wojewodzkiej, dawniej do ulegania nie nawykli, zuchwali dosyć, poważnili się u wodopoju z królewskimi. Od słowa do słowa bezcześcić się zaczęli, kamieniami ciskać, aż i do kijów porwali. Parę razy pociski padły blisko pani Halki, która przerażona krzyknęła.

Wnet Szary pobiegł w pomoc i z powagą swą rycerską, pomiędzy to tałatajstwo wpadłszy, pogromił je i rozpędził. Zbliżył się potem do wozu, dobrym słowem chcąc pocieszyć kobietę, która mu dziękowała.

— Nie obawiajcie się — rzekł. — Ja tu z moimi ludźmi niedaleko leżę i jak by potrzeba było, gotów jestem zawsze. Śpię czutko.

Miał też sobie za obowiązek dać się poznać niewieście i rzekł.

— Sieradzianin jestem, Florian Szary się zowie, z Surdęgi. Nie pytam Miłości Waszej o nazwisko, bom słyszał, że go mówić nie chcecie...

— Z Surdęgi? — odezwała się, nieco zasłony podnosząc, żona wojewody. — Wszak ci to Leliwianka Domna pono wasza?

— A tak — rzekł ochoczo Florian, zdziwiony, że o jego żonie wiedziała. — Pocziwe moje żonisko musiałem porzucić ze starym ojcem w domu. Ale jakże to wy o niej wiedzieć możecie? Jakiś czas pomilczała zagadnięta, aż po chwili rzekła cicho.

— Juściż rodzina o sobie musi wiedzieć, a Leliwy moi... powinowaci. Słyszałam o nich...

Florian nie śmiał dopytywać więcej, ale się u wozu zatrzymał.

— Kiedy tak — rzekł — a my z sobą choć jakimś węzłem bliscy, nie omieszkajcież mi sobie kazać służyć. To powinność. Bóg widzi — dodał — nie ciekawym, gdy się być nie godzi, ale jakąż bieda mogła was zmusić tak się wlec za obozem? To utrapiona rzecz...

— Prawda! Rzekliście! — odezwała się Halka. — Bieda i wielka nad miarę zmusiła mnie jechać za obozem. Jestem bardzo nieszczęśliwa!

Westchnęła ciężko i płakać zaczęła. Florian czuł litość coraz większą i nie chciał się już oddalać, choć pytać nie śmiał.

Popatrzawszy nań, obejrzawszy się dokoła trwożliwie, pani Halka łyzy poczęła ocierać.

Przypominała sobie teraz, iż tę twarz Florianową kędyś już widziała. W istocie, gdy wojewoda był w Pomorzanach na rozmowie z Szarym, ona, podszedłszy ku drzwiom, przybyłemu się przypatrywała posłowi, lękając, czy nie był od Krzyżaków wyprawiony.

Teraz dopiero fizjognomia ta wyrazista przypomniała się jej. Nie była jednak pewną.

Sama Leliwianka z domu, choć dalsza krewna tamtych Leliwów, do męża Domny czuła większą ufność, niż do innych. Pochyliła się więc ku niemu i spytała go po cichu.

— Nigdyście nie bywali w Pomorzanach w Wielkopolsce?

— Jako? — odparł Florian zdumiony. — Niedawno temu do wojewody mnie posyłano.

Spojrzała nań długo biedna kobieta i pochwyciła za rękę.

— Domyślcieź się, ktom ja! — rzekła. — Ja nieszczęśliwa żona jego jestem, Wincza z Pomorzan.

Tu łyzy ją zdusiły znowu.

— Przybyłam do Krakowa z Hanną królewiczową — mówiła — prosić króla, aby słał do mojego męża ludzi słusznych, aby mu z serca wyrwali tę myśl piekielną. O Boże mój, on zdrajcą przeciw panu, on zdrajcą przeciw ziemi swej, on z Krzyżaki... on z nieprzyjacioły!

Florian politowaniem zdjęty stał, nie śmiejąc się odzywać.

— Nie rozpaczajcie, Miłość Wasza — rzekł po namyśle. — Jeszcze się to odmienić może.

A cóż tu radzić, co?

— Ja go znam najlepiej — mówiła niewiasta łkając. — On nie wytrwa w złem, sam sobą się brzydzić będzie. Żli ludzie go poduszcyli, dobrym słowem by to odwrócić można. Król, gdyby chciał...

— Cóż król? — zapytał Florian.

— Milczał, nie odpowiedział mi, tak jak nic...

— Pocieszcie się — zamruczał Szary. — Może czym jeszcze odwrócić od was to

nieszczęście będzie można.

To rzekłszy i miarkując, że dłuższa rozmowa więcej by ją rozzaliła tylko, Florian, po cichu coś rzekłszy, odszedł do swych ludzi, przypominając, aby w razie potrzeby do niego się udała.

Jeszcze się był od wozu nie oddalił nad kilka kroków, gdy od plebanii jak by co gromadami rozłożonymi w polu poruszyło. Ruch się wszczął jakiś niespokojny, ludzie biegać zaczęli, kupkami się zbierać, cisnąć, rozpowiadać, krzyczeć.

Konni biegali po obozie. Popłoch jakiś poruszył wszystkich. Ci, co leżeli, wstawali i szli się dowiadywać. W powietrzu latały przekleństwa i odgróзки.

Ponieważ nie bardzo jeszcze ciemno było, a na wzgórzu przy plebanii smolnych parę beczek zapalono dla króla, Florian dostrzegł, że kilku jezdnych, których konie trzymała czeladź, świeżo do dworku przybyło. Siadł więc na koń, czeladzi rozkazawszy, aby się nie ruszała, i poleciał wprost na plebanią, by u źródła dostać języka i dowiedzieć się prawdy.

Chociaż po drodze dochodziły go różne wołania i imiona, nie zatrzymywał się aż u drzwi księzkiego domu. Szczęściem trafił w progu na Hebdę.

— Na Boga, panie wojewodo — zawołał — co to jest? Nowe nieszczęście jakieś?

— Nie, nie nowe! — krzyknął z gniewem wielkim Hebda. — Dawnośmy się go

spodziewali, a teraz się tylko spełniło, w co żaden poczciwy człek wierzyć nie chciał. Wojewoda z Nałęczami poszedł do Krzyżaków, a oni z nim już wpadli i pałą, a rzną i niszczą. Odparto ich, słyszę, od Inowrocławia z nie małym trudem, ale Słupcę wzięli i spalili, i żywej nie puścili duszy.

Królewicz nasz z Nekandą w Pyzdrach był. Godzili na to, aby go porwać, szczęściem w porę ostrzeżony uszedł z życiem i dąży ku nam. Z Pyzdr też kupa popiołu!

Gdy to mówili, ziemianin odarty, z suknią na piersiach nagich poszarpaną, z twarzą

pałającą, rozogniony, na pół oszalały, nieprzytomny, wyszedł z izby od króla. Wyproszono go stamtąd, aby Łoktka więcej nie rozzalał i serca mu nie psuł — lecz ust mu zamknąć nikt nie umiał.

Mówił, a raczej ryczał z boleści, szarpiąc na sobie odzież, na głowie włosy, ręce na pół obnażone podnosząc do góry i załamując nad czaszką. Stał w progu, jęcząc i wyrzekając.

— Gdzie przeszli, tam po nich ino popieliska i trupy!... Nie szcędzili nikogo, dzieci,

starców, księży po kościołach, kościołów... Ludzi, co do nich uciekali, u ołtarza z szat do naga odarłszy rzezali, urągając się.

W Słupcy ksiądz Sakramentem w ręku trzymanym się nie obronił... Piekło na ziemi! Gdzie



Bóg? Krzyże na płaszcach — a to szatany wcielone! Łaska boża, iż królewicza nie schwycili. Nie darowaliby i jemu. Wojewoda nasz był z nimi! Boże miłosierny! Padł na progu, rękami zakrył twarz i powtarzał ciągle.

— Gdzie Bóg? Gdzie Bóg?

Wikary się młody zbliżył do niego i strofować go począł za bluźnierstwo, ale starzec spojrział nań groźnie.

— Dobrze ci mówić, boś ty na to nie patrzył, bo ci, jak mnie, żony i dzieci nie zabito, boś nad trupami krwawymi łzy nie płakał. A chorągiew ich z krzyżem! Gdzież Bóg?

Szalał biedny. Słyszając wrzawę w sieni wyszedł sam król blady, twarz jak marmurowa.

Widać było, że drżał wewnątrz, ale zdawał się nieporuszony. Oczy tylko błyskały.

— Cicho! — zawołał. — Cicho! Poleje się krew za krew. Bóg cierpliwy, ale mściwy...

— Natychmiast by iść na nich, póki się nie spodziewają — zawołał gorączkowo zza króla

Żegota z Morawicy. — Iść i tłuc!

Król się odwrócił z surową twarzą.

— Jedźcie mi po obozie, niech się ludzie uspokoją i żeby mi żadnego wołania a wrzawy nie było! Jam tu wódz! Nikt rozkazywać, nikt się niczego domagać nie ma prawa. W obozie zatrąbić na spoczynek!

Skinął ręką. — Cicho! Ni słowa!

I z wielkim podziwieniem słuchających król z naciskiem silnym, głośno dokończył.

— Jutro — cały dzień spoczynku, tu! Nie ruszymy się! Wszyscy dokoła zamruczeli i poruszyli się. Łoktek spoglądał surowo i brwi ściągał.

— Ład żeby mi był! A kto mi się rwać będzie i krzyżeć, do mnie na sąd! Trąbić na spoczynek!

Z wolna zaczęli się niektórzy poruszać, a wojewoda posłał z rozkazami do obozu. Król wolnym krokiem do izby powrócił i zamknął drzwi za sobą.

Szanowano tak wolę surowego pana, iż na skinienie jego i wysłane w imieniu króla nakazy

obóz natychmiast zaczął się uciszać. Starsi biegli, zmuszając do milczenia.

Gdy Florian do wozów powrócił, zamierzając wdowie nowego zmartwienia oszczędzić i

zamilczeć przed nią — znalazł ją już uwiadomioną i leżącą na wozie bez przytomności. Sługa jadąca z nią cuciała i odcierała omdlałą.

Żadna pociecha nie była w porę. Staął około wozu, popatrzył chwilę i usunął się po cichu.

Przez całą noc jęki niewieście go dochodziły.

W obozie mało kto zasnął tej nocy. Pozornie panowała cisza i spokój, bo królewskie słowo miało siłę potężną, lecz niepokój w umysłach był straszny. Co niecierpliwszi o rychłą pomstę wołali.

Tymczasem nazajutrz kazano im stać w miejscu, potem pół dnia zwijano obóz. Zamiast wprost ku granicom i zagrożonemu krajowi Łoktek dał rozkaz wojsku i usunął się z nim w lasy na prawo.

Widziano go na koniu jadącego, z twarzą kamienną, z wejrzeniem osłupiałym, lecz

wodzowie wiedzieli, co się kryło pod tym chłodem i martwością. Nikt nie śmiał doń przemówić.

Mówił mało, krótkimi słowami, odpowiedzi nie słuchał. Zdawał się nawet nie widzieć i nie poznawać najbliższych. Wieczorem kilka skarg było do wojskowych sędziów. Król najsurowiej karać kazał.

Tydzień leżał obóz w lasach i posły tylko biegały, języka dostając. A kto z językiem

powrócił, pod karą główną słowa się nie ważył mówić po obozie. Wojsko nie wiedziało nic, a niecierpliwość w nim wrzała okrutna.

Już z nowego obozowiska ruszać mieli nad ranem, gdy na granicy od lasu orszak się ukazał.

Straże zaraz zatrąbiły na gwałt, ale im umilknąć kazano. W sto może koni i zbroi jechał ktoś wprost do namiotu królewskiego.

Łoktek pieszo, jak stał, wyszedł naprzeciw. Hełmu ni czapki nie wziął. Kosmyki włosów

siwych wiatr mu rozwiewał, szedł z podniesioną głową. Spostrzegłszy go, z konia zeskoczył rażno młodzian. Był to królewicz, a za nim tuż jechał Trepka.

Każmirz pięknym był i miał prawdziwie królewską postawę, królewski strój i uzbrojenie,

jak by nie na wojnę, a na gody się wybrał. I on, i dwór jego różnił się od ojcowskiego, jak by do innego należał świata. Coś młodego, świeżego, bujniej rozkwitłego wiało od tych błyszczących rycerzy z pióropuszcami, ze świecidłami i dziwnymi na hełmach postaciami. Łoktkowi przy nich ciężko, czarno, opuszczono, grubo wydawali się i niemal barbarzyńsko. Każmirzów orszak

lżejszym był i zwrótniejszym, lecz widać było, że próby boju nie przeżył.

Zbliżywszy się do syna, Łoktek ręce wyciągnął i, gdy ten mu się do kolan chylił, zarzucił je na szyję jego, począł całować w czoło. Nie mógł mówić... Spojrzał z wdzięcznością na Trepkę i skinął tylko mu, jak by mówił: Bóg ci zapłać! Z wolna kamienna twarz wypogadzać się zaczęła, piersi poruszać, jak by odblask krwi ożywił mu policzki. Szli razem do namiotu i w nim znikli.

Zamaszysto różni królewiczowscy ludzie poczęli zsiadać i rozgaszczać się. W obozie domyślano się teraz, dlaczego stali tu tydzień. Czekali na królewicza.

Gdy Łoktek do namiotu z synem wszedł, Trepka pozostał około opłotków. Tu go otoczyli wojewodowie, chorążowie, pułkownicy, nalegając i dopytując, co się działo. Nekanda powtarzał im to, z czym wprzód przybył ziemianin, że od Brześcia i Inowrocławia udało się pierwszy zamach odeprzeć, że Słupcę i Pyzdry a okolice Krzyżacy puścili z dymem.

— Na godzinę przed przybyciem ich pod Pyzdry dano mi znać — mówił Nekanda. —

Gdybym sam był, broniłbym ich, alem tę drogą krew królewską ocalić musiał. Uszliśmy szczęśliwie, ścigani co chwila, w obawie, że nas dognają. Bóg miłosierny.

— A Krzyżacy? — pytał Hebda.

— To była tylko próbka — rzekł Nekanda. — Wrócili do Torunia, bo król Jan się im opóźnił. Tylko co ich znowu nie widać. Niepoczciwy Wincz z nimi.

Wtem uchylił król namiotu ściankę i zawołał.

— Nekanda!

Ten wszedł. Królewicz stał przed ojcem z twarzą posępną i zafrasowaną. Łoktek miał ten wyraz oblicza, jaki przybierał wydając rozkazy.

— Dziś jeszcze przepędzicie ze mną dzień do wieczora — odezwał się. — Rozumiesz?

Jutro musicie z nim — wskazał na Kaźmirza — na miejsce bezpieczne.

— Ojciec — odezwał się Kaźmirz — srom dla mnie. Nie godzi się to. Lituj się!

— Milcz, gdy rozkazuję — rzekł Łoktek. — Wiem, co czynię. Miałbym ja dwu takich jak

ty, nie szczędziłbym ciębie. Jeden jesteś, a na twoją głowę korona czeka. Milcz i słuchaj! Korona pójdzie w sztuki, gdy zabraknie głowy...

Zwrócił się do Nekandy.

— Szukaj z nim bezpiecznego miejsca i najbezpieczniejszego zamku. Ja ci go oddaję, musisz mi całym powrócić.

Trepka skłonił głowę.

— Bić się — dodał król — to by była zabawka, rozkosz. Musisz cierpieć i słuchać. Ja się będę bił. Mnie nie szkoda, jam stary, ze mnie już gałąź nie wytryśnie nowa...

Każmirz ręce skrzyżował na piersiach, jak gdyby jeszcze króla chciał błagać, lecz Łoktek nie patrzył nań, radził z Nekandą. Odżył widocznie po przybyciu syna, wstąpiła weń nadzieja. Nie mówił, co począć ma, bo z tego nigdy się nie był zwykł przed nikim spowiadać, pytał tylko. Nie wspomniał o Winczu. Gdy Trepka napomknął o nim, spojrział król i zawarł usta. Ciemno było w namiocie, lecz mogło się zdawać, iż coś się w oczach starego zaszklilo...

Po długim opowiadaniu o zniszczeniu, które Krzyżacy zrzadzili, Łoktek nagle zwrócił się do Nekandy.

— Och! Jeden Wincz... — rzekł — on jeden... zemsta... niecny człek... wąż... wąż... Ale całaz Wielkopolska z nim przeciw mnie?

Wlepił w niego oczy.

— Miłościwy Panie — pospieszył z odpowiedzią Trepka — niech Bóg uchowa od takiej potwarzy! Nałęcz z nim i to nie wszyscy.

Dobek mu wypowiedział posłuszeństwo. Inni idą pod grozą, aby im majątności nie palono, spodziewając się je ocalić. Reszta płacze i narzeka na zdrajcę. Niech się szala przechyli na stronę naszą — odbiegna go wszyscy.

— Daj Bóg! — rzekł król krótko i uśmiechnął się do syna.

— Nie tęsknij — dodał. — Przyjdzie i na ciebie czas do boju. U nas miecza do pochew schować nie można... i długo jeszcze pozostanie tak.

— A dopóki pokoju mieć nie będziemy — westchnął królewicz — póty kraj stać będzie w lepiankach i gruzach i wieśniak mrzeć z głodu, i miasta drzeć ze strachu o handle swoje.

— Tak, dziecko moje — gorzko uśmiechnął się król — i dlatego ja wojuję życie całe, abys ty ten pokój odzierał po mnie, da-li Bóg, że go nam Stolica Apostolska z tym narodem bezbożnych mnichów wyzyszcze. Mnie już do ostatka trzeba krew lać, a ty zniwo zbierzesz po niej.

Uściskał go.

— Jedźcie gdzie na zamek bezpieczny, w głąb... daleko, gdzie by ani Jan was nie dostał, ni Krzyżacy. Ja błędzić będę i kryć się po lasach, aż mi Bóg powie i doda serca: Teraz czas! O, gdy przyjdzie godzina, pomstę uczynię okrutną, jak psów będę dławił, jak zbrodniarzy ścinał i tak nie przebaczę nikomu, jak oni nie przepuścili niewinnym dziatkom moim...

Zamilkł nagle.

— Amen — dokończył Trepka, skłaniając głowę.

### III

Na jesiennym niebie chmurnym gorzała łuna ogromna, gorzała już dzień drugi, noc drugą.

We dnie na czarnej chmurze paliła się krew, w nocy na krwawym obłoku czerniały dymy. I nie było słyhać nic — bo tam, gdzie przeszła pożoga ta straszna, nie zostało ludzi, gorzały poodzierane trupy...

Obóz krzyżacki leżał pomiędzy Łęczycą spaloną, wsiami, które Krzyżacy zrównali z ziemią, a Kaliszem. Ogromne to wojsko Niemców, którego jedno skrzydło składały pułki wojewody polskiego, rozłożyło się w dolinie szeroko.

Czerwony namiot wielki, ponad którym biała z krzyżem czarnym i orłem cesarstwa

powiewała chorągiew, zajmował środek obozu. Tu z gośćmi swymi odpoczywał marszałek

Teodoryk z Altenburga. Obok niego Otto z Luterbergu i komturowie elbląski, pomorski, toruński gospodarzyli, przyjmując sprzymierzeńców i gości. Kilku grafów znad Renu, jeden Anglik, posiłki inflantskie w osobie swych wodzów — zasiadali do wesołej uczyty, której łuna przyświecała z dala.

Wesołość w obozie dochodziła do szału, nie tylko pod czerwonym namiotem brzęczały puchary. Spiewki i szczęki odzywały się z szałasów i od ognisk dokoła.

Przy jednym z nich kilka obnażonych kobiet, powiązanych sznurami, leżało na ziemi. W

szarych płaszczach rycerze chodzili dokoła, potrącając je nogami. Jeden z nich końcem miecza kłuł ciało, które z bólu czucie straciło. Opowiadano sobie, jak w Łęczycy obnażone niewiasty ścinano razem z księżmi. Śmiech tych ludzi podobnym był do zwierząt ryku...

Z innych miejsc nagle wybuchały podobne krzyki wesołe. Pastwiono się tam nad jeńcami.

Około wozów służba rozkładała łupy, a między nimi leżały ornaty kościelne, kielichy i kobiece suknie, i klejnoty. A nad tym wszystkim krzyż powiewał...

Zakonnicy nagradzali sobie za długie w zamkach zaryglowanie. Tu wszystko im wolno

było. Pod namiotem czerwonym siedzący i na wpół leżący krzyczeli głośno, osobliwie starszyzna krzyżacka. Płaszcz białe zmagaly się na zabawianie gości.

Grafowie znad Renu słuchali. Teodoryk z Altenburga, wódz najwyższy, wyniosła postać na silnych nogach z ogromnymi stopy płaskimi, głową przechodzący większą część swych współbiesiadników, stał jeden z twarzą spokojną człowieka trzeźwego między upojonymi.

Patrzył, przysłuchiwał się, brwi ściągał. Przechodzącego komtura z Elbląga zapytał po cichu.

— Gdzież ten Polak?

— Musiał pójść złożyć pod swym namiotem wydychać — odparł, uśmiechając się, mały a krępy, rudobrody komtur.

Brwi marszałka ściągnęły się.

— Nadto bo mu dojadacie — rzekł. — Takiego pomocnika szanować potrzeba. Lepszego przewodnika trudno by dostać.

Komtur się skrzywił.

— Dumy jego znieść trudno — rzekł. — Razi ona wszystkich. Bądź co bądź jest to zdrajca.

Zdrada pożądana, ale zdrajcy obrzydliwi!

— Znosić go jednak musimy — odparł marszałek i po małym przestanku dodał — do czasu.

— A nawet bardzo niedługiego — odparł komtur. — Szkodliwym nam już być nie może.

Spalił mosty za sobą. Głupi człek zresztą, bo się oddał w ręce nasze na łaskę i niełaskę.

— O, nie! — rzekł uśmiechając się marszałek. — Probował z mistrzem wchodzić w jakieś układy. Stawił się na stopie sprzymierzeńca... Stary nasz zbył go, jak należało, nic mu nie przyrzekłszy.

Komtur poruszył ramionami i rudą potarł brodę.

— Nie przycinajcie mu, gdy siada z nami — odezwał się Teodoryk.

— Ja nań nawet nie patrzę — odparł ze wzgardą komtur.

— Ale też i lekceważenia mu takiego okazywać nie wypada.

Komtur przerwał ze śmiechem własnymi słowy Teodoryka.

— Do czasu!

— No, do czasu, zapewne — powtórzył marszałek. — Ale przed czasem żółci mu burzyć nie należy.

Graf von Rheden, jeden z gości, stojący blisko i słyszający rozmowę, dorzucił.

— Proszę was, przezacny panie, u stołu mnie przy nim nie sadzajcie. Wszystko mi się kwaśne wydaje od jego twarzy.

— Trudno wymagać, by wesołym był — odezwał się marszałek. — Juściż palemy z nim razem, czy on z nami, wioski jego braci i plemienia.

— Gdy z nami idzie, wyrzec się go powinien — zawołał głośno komtur z gwałtownością wielką. — Myśmy rycerzami niemieckimi, sprawa nasza nic nie ma wspólnego z tymi plemionami, które wyniszczyć potrzeba i wygubić, aby zająć ich ziemię.

Marszałek nie przeczył, a drugi komtur, toruński, dodał.

— Póki tu ślad ich języka, ich obyczajów, ich rodu zostanie, pokoju mieć nie będziemy.

Dlatego musimy wycinać w pień i na karczunku krwawym nowy las sadzić.

— Jeśli sobie pochlebiają — rzekł marszałek — że my ich przez jakąś ludzkość szczerzyć będziemy...

Nie dokończył i mrużąc się odwrócił.

— Pułki wojewody — począł elbląski — potrzeba zawsze naprzód słać, gdzie największe niebezpieczeństwo i gdzie najpewniejsza śmierć. Tym sposobem się tych pomocników pozbędziemy.

— Ale dziś, bracie mój — przerwał zwracając się marszałek — jeszcze są potrzebni. Dla

tego samego nam dobrzy, że Łoktkowi bez nich źle bardzo. Słyszę, że stary lis nie śmie wyleźć z jamy. Kryje się gdzieś z lichym swym zbieranym wojskiem po lasach. Nie będzie śmiał nam stawić czoła. A pod Kalisz i króla Jana się doczekamy.

Spojrzeni po sobie.

— Króla Jana. Daj to Boże — rzekł z powątpiewaniem toruński komtur.

— Przyjdzie zapewne — odezwał się inny ze starszyny — ale dla niego wcześniej worki

nabite przygotować trzeba. Prawda, że jako prawowity król polski Pomorze nam odda na wieki, ale zapłacić sobie każe. Pieniądzy potrzeba będzie dlań dużo.

Marszałek Teodoryk z dwuznacznym uśmiechem rzekł, ręką na kraj wskazując.

— Dostarczy nam ich ta wyprawa. W Kaliszu ja się wielkiego łupu nie spodziewam, ale stamtąd pociągniemy na Gniezno.

— Kościelny skarbiec stary, zamożny, dla króla Jana srebra dostarczy.

— No i inne miasteczka, w których handel większy, nie są do pogardzenia. Kalisz osadzić musimy.

Zaczęto mówić o położeniu zamku, o wodach, które przystępu broniły, o obwarowaniu miasta. Marszałek zapewniał, że pod Kalisz król Jan powinien być nadciągnąć.

Gdy pod krwawym namiotem toczyły się tak rozmowy, na skraju obozujące polskie pułki

Nałęczów, odosobnione, w położeniu najgorszym, szemrały. Z Niemcami zwady były nieustanne.

Nie puszczali oni do wodopoju, zajmowali najlepsze łąki, przywłaszczali sobie najwygodniejsze stanowiska. Między ciurami i żołnierzem, jak gdyby lada chwila miała walka wybuchnąć, zaczepki były ciągłe. Silniejsi Niemcy nadużywali swej przewagi. Polskie posiłki wzgardzone, prawie jak niewolnicy musieli podrzędne jakieś zajmować stanowisko. Skargi na to nie pomagały. Wojewoda się burzył — marszałek, u którego się upominał o poszanowanie wielkopolskiej ziemi, odpowiadał mu półsłowy, ruszał ramiony, tłumaczył się wojną, nie zważał wreszcie na nic i czynił swoje.

Nie było już żadną tajemnicą w obozie, że po wzięciu Kalisza, który się spodziewano

opanować, droga na Żnin szła wprost do Gniezna, w serce Wielkopolski. Przebąkiwano o wyprawie na Sieradz, na Wartę. O łupieży stolicy arcybiskupiej mówiono zawczasu, obiecując sobie z niej wiele.



Wincz chodził po małym namiocie swym, wybiegał z niego, biegał po podwórzu, siadał, wstawał i wszyscy widzieli jawnie, że krew w nim się burzyła. Niekiedy spoglądał na czerwony namiot marszałka z taką złością, jak by chciał pójść nań nie z posiłkiem, ale z mieczem w dłoni.

Wśród dokoła stojących pułków wojewody toż samo rozdrażnienie panowało, jakie nim miotało. Starszyzna schadzała się, naradzała burzliwie, krzyczała i, ku Niemcom ręce wyciągając, zdawała się grozić im.

Lecz cóż znaczyły groźby bezsilne, gdy garść ta była w ręku Krzyżaków, czterokrotnie silniejszych i lepiej uzbrojonych.

O paręset kroków od namiotu wojewody, przy wozach Remisza Nałęczza, który wiekiem i powagą najstarszym tu był po wojewodzie, stało dowódców, wszystkich rodem Nałęczów, z dziesiątek. Byli tam Żegota zwany Siłacz, Klimsz zwany Ogon, Jur zwany Nosal i inni. Żaden z nich na chwilę nie przysiadł, chodzili wszyscy, miotając się. Po przykrym milczeniu następowały wybuchy krzykliwe. Remisz, jak mógł, uśmierzał.

— Te psy sobie z tego nie robią nawet tajemnicy — mówił Ogon — wprost z Kalisza pójdą na Gniezno. Znają dobrze, gdzie się najlepiej obłowić mogą. Sam słyszałem na uszy moje, że ten sam los, który spotkał Łęczycę, obiecują nie tylko Gnieznu, ale Środzie i okolicom, Sieradziowi potem, Warcie i kto ich wie! Pójdą może i na Poznań, a my im pomagać mamy, gdy nasze własne dwory łupić i palić będą!

— Ano tak! — krzyknął Żegota Siłacz. — Po tośmy szli i tak piękny z nimi wojewoda sojusz zawarł — bodaj jutra nie doczekał! — że będziemy się sami ze skóry odzierać!

— Mówił nam — dodał Ogon — że przez to my ocalimy nasze mienie i kraj — a teraz co? Zdał nas jak niewolników — przepadliśmy...

— Przepadli! — powtórzyli drudzy.

— Mamy ginąć — zawołał Klimsz — no, to i on z życiem nie ujdzie. Niech ginie!

Remisz nakazał milczenie.

— Nie łowcie ryb przed niewodem! Nie może być, aby nas i siebie gubił. Człek bystry, rozumny...

— Ale stracił rozum, bo go złość opanowała — wtrącił Ogon. — Zemsty mu się

zakosztować chciało i sam się zdał za nią.

— Czekajmy no — rzekł Remisz.

— Czego czekać? Żeby było po czasie? — podchwycił Siłacz. — Nie! Oto jak stojemy, idźmy się z nim rozmówić jasno i szczerze.

— Ano, idźmy! — wołali inni.

Remisz siedział niepewien. Patrzali nań.

— Idziecie z nami? — zapytali.

— Muszą — odparł krótko.

Zebrali się więc do gromady, poszeptali nieco, ustawili wedle starszeństwa, przybrali

poważne postacie i z wolna poczęli kroczyć ku namiotowi wojewody, który właśnie był wyszedł z niego i widział ich gromadzących się, a zmierzających ku sobie.

Po drodze do gromadki tej zaczęli się przyłączać inni, z dziesiątki urosła wprędce w

dwójnasób. Garnęli się wszyscy, kto się tylko dowiedział, dokąd i po co idą. Nim mieli czas dojść do namiotu, wojewoda, w którego oczach się to działo, postrzegł i domyślił się, że starszyzna ku niemu szła, a i celu tego wystąpienia łatwo mu się było dorozumieć, bo go pojedynczy już od dni kilku słowy zaczepiali i ostro się im odcinać musiał. I teraz też widząc, że go pewnie naprą, aby się tłumaczył, postanowił nie pobłażyć i nie ugiąć się, a stawić ostro. Im więcej czuł swą winę, tym mniej mógł się do niej przyznać. Kości były rzucone — wycofać się niepodobieństwo.

Idąc z wolna Nałęczę naradzali się, kto rzecznikiem miał być. Ogona i Nosala obawiano się dla gorącości ich, zgodzono się na Remisza.

Gdy już wątpliwości mieć nie mógł Wincz, że do niego idą, stanął z podniesioną głową, oparłszy się na mieczu, i czekał na nich wyzywająco.

Remisz przodem szedł. Powitali się zimno.

— Przychodzimy do was na radę i z żałobą — odezwał się mowca. — Coś źle się nam

zapowiada wyprawa. Niemcy nie czynią z tego tajemnicy, że spod Kalisza na Gniezno chcą, no to i okolicy nie darują. A co się stanie z naszymi wsiami i osadami? Wszystko pójdzie w perzynę? A po cóż my tu?

Wojewoda wydał usta.

— Przecież ja w tym jak wy poszkodowany być mogę — odezwał się. — Zostawcież mnie o to staranie. Do Gniezna daleko.

— Nie tak bardzo — mruknął Ogon. — A my teraz w ich rękach.

— Mistrz mi przyrzekł — począł, dławiąc się, wojewoda — że nas oszczędzi.

— A marszałek pójdzie po swej myśli. Wojna jak woda — mówił Klimsz. — Puścić ją łatwo, ale zatrzymać ją i pokierować nią, niech kto będzie mądry.

Wincz surowo spojrział, burzyło się w nim coraz silniej, zagryzał usta blade, oczy mu zaszyły jakąś powłoką krwawą.

— Zwierzyliście mnie dowództwo — począł głosem na próżno hamowanym, w którym czuć było gniew okrutny. — Jam tu najwyższy wódz. Wasza rzecz ze mną iść i mnie słuchać. A kto nie zechce...

Rękę podniósł, jak gdyby gałęzią groził.

— Ho, ho! — mruknął Ogon — ho, ho! Ziemianieśmy, nie niewolnicy, poczekaj!

— Żołnierze, nie ziemianie — odparł przyskakując doń wojewoda. — Tu kto nie słucha, winien sądu, a kary innej nie będzie u mnie — tylko śmierć! Słyszycie?

Odwrócił się nagle, jak by do namiotu iść chciał. Nie zląkniony wcale Ogon zawołał wnet.

— Już tak z nami mówicie? Już tak? Sprzedaliście nas Niemcom, hę?

Wojewoda przypadł ku niemu, za miecz chwytając, ale Remisz porwał jego rękę i jak w żelaznej obręczy ją zatrzymał.

— Słuchaj, wojewodo — rzekł — nie dolewaj oleju do ognia. Miarkuj się, radźmy jak swoi, jak bracia jednego rodu!

— Ani rodu, ni braterstwa nie ma na wojnie — począł wojewoda. — Jedno jest — rozkaz i posłuszeństwo!

— Ziemianin i na wojnie ziemianinem być nie przestaje — odparł Ogon.

Zza niego jeden z Nałęczów nieopatrzny krzyknął.

— Wiedz ty, Wincz, że choć wojewodą jesteś, jak nas zdradzisz tak, jakoś króla zdradził, to ci łeb utniemy!

I mieczem błysnął. Wincz swojego dobył.

— Będzie komu mnie pomścić! — zawołał, na obóz niemiecki patrząc.

Okrzykiem zagłuszono go, wszyscy byli oburzeni.

— Dobrze tak! — krzyczeli z tyłu stojący. — Dobka nam było słuchać, a nie jego. W matnię nas wprowadził, na zgubę!

Rozgorzało okrutnie. Wojewodę ledwie Remisz utrzymać mógł, tak się miotał i wściekał.

Tymczasem w niemieckim obozie, postrzegłszy ten zamęt i spór, Krzyżacy wstawać zaczęli, ruszać się też i dawali sobie znaki, zbliżając się powoli ku polskiemu oddziałowi.

Klimsz wskazał to swoim, wszyscy się pomiarkowali. Sam wojewoda ochłonął nieco i z

Remiszem a dwoma innymi wybranymi usunął się do namiotu. Reszta ich w oczekiwaniu rozłożyła się dokoła, siadając i kładąc się na ziemi. Z namiotu słychać było głosy podniesione, gorące, ale mało co kto urywanych wyrazów mógł dosłyszeć. Ziemianie zbliżali się, nastawiali ucha, kiwali głowami, dawali sobie znaki. Po chwili zniżył głos wojewoda, ciszej prowadzono rozmowę.

Przedłużyła się ona dosyć i gdy Remisz z towarzyszami wyszedł z namiotu, w którym wojewoda pozostał, poszeptał coś swoim, którzy powstawali i dosyć kwaśni a pochmurni rozchodzić się zaczęli. Jaki był skutek rozmowy, wiedziało tylko kilku starszyny. Innych zapewniono, że wojewoda z Krzyżakami ostro się rozmówi i kraju ich bronić będzie, boć razem i siebie.

Do czasu więc pozornie uspokoiły się umysły. Remisz z kilką, którzy go nie odstępowali,

nim doszedł do swych wozów, zobaczyli, jak wojewoda, przeodziawszy się w lepsze szaty i kilku ludzi biorąc z sobą, podążył wprost do czerwonego namiotu.

Robiło się ciemno, ale pod marszałkowskim, gdzie gości przyjmowano, jasno było. Jak gwiazdy czerwone w dali błyskały porozrzucane ogniska niemieckiego obozu.

Wiatr poruszał wielką chorągwią, która jakimś głosem dziwnym się do niego odzywała, zwijając i rozciągając nad namiotem, targana jakby gorączką jakąś, która naprzód ją rwała.

Mierzonym krokiem szedł wojewoda do namiotu, a gdy pomijał ludzi krzyżackich, nawet knechtów i sergentów ich, żaden mu krokiem z drogi się nie usunął i nie okazał najmniejszego

uszanowania, choć znali go, że wodzem był i pachole przed nim miecz niosło. Ale co dla Niemców Polak znaczyl? Uśmiechali się, spoglądając nań z ukosa, jak by już spętany był i w niewoli.

Rycerstwo bardzo głośno rozprawiało pod namiotem, gdy u wnijscia jego pokazał się wojewoda Wincz. Szedł za nim nieodstępny towarzysz Petrek Kopa. Spojrzawszy na Wincza, wszyscy Krzyżacy i grafy, i pielgrzymi, siedzący u stołu, zamilkli nagle. Nikt z powitaniem nie spieszył. Dopiero z dala stojący marszałek, gdy milczenie mu oznajmiło, że coś je spowodować musiało, obrócił głowę i krokiem poważnym, jakby od niechcienia, z obowiązku przybliżył się do wojewody. Skłonił lekko głowę i na ławę u stołu nie zajętą wskazał.

Kto by nie wiedział, jakim tu okiem i sercem patrzano i przyjmowano wojewodę, z przyjęcia łatwo by się mógł domyśleć. Mierzono go oczyma nieufnymi, złymi, pogardliwymi. Odwracali się jedni, drudzy udawali zajętych rozmową cichą między sobą. Marszałek zmuszony był sam odezwać się do Wincza.

— Z Kalisza nam przyszły wieści, że mieszczenie już się opatrzyli, co im grozi, i, głupcy, bronić się myślą.

Patrzył, czekając odpowiedzi. Wojewoda milczał.

— Od króla, choć nie ma wiadomości, ale pod Kalisz przyciągnie pewnie. Posłałem do niego, aby pospieszał — rzekł Teodoryk. — A o królu waszym krakowskim wieści nie ma — dodał. — Uciekł w lasy.

Na wzmiankę o Łoktku zarumienił się wojewoda.

— Moim królem Jan — odparł. — Tamtego już nie znam. To mówiąc, dał znak marszałkowi, iż potrzebował mówić z nim na osobności. Teodoryk dosyć niechętnie, zawahawszy się trochę, począł iść przodem. Minęli stół, od którego oczyma za nimi pogoniono. W końcu tej jakby obszernej sali, za zasłoną, oddzielony od niej, ale zrosły z namiotem wielkim był marszałka sypialny, razem z kaplicą. Teodoryk podniósł kobierzec, którym zawieszono było przejście, i wszedł pierwszy, wskazując wojewodzie, aby szedł za nim. Tu stanął i czekał milczący.

— W obozie złe chodzą wieści — począł Wincz. — Ludzie się moi niepokoją wielce.

Gawiedz wasza plecie o pochodzie na Gniezno.

Wojewoda mówił to złamanym językiem. Potrzeba mu było tłumacza i wskazał na drzwi.

Marszałek udzielił pozwolenie. Kopa wszedł.

— Tak jest — szybko potwierdził Petrek. — W obozie naszym wielki strach. Po drodze

Nałęczę mają wioski, obawiają się wszyscy...

Marszałek ramionami ruszył i węża pokręcił. Flegma go nie opuszczała.

— Juściż na Gniezno i Wielkopolskę nie pójdziemy? — zagadnął wojewoda, wpatrując się w oczy Krzyżakowi, który stał nieporuszony.

— Ja wcale dziś mówić nie mogę, dokąd pójdziemy — odezwał się obojętnie. — Król Jan nadciągnie, zechce pewnie objąć Poznań, zechce wziąć Gniezno. My się temu sprzeciwić nie możemy, kraj to jego, królem nad nim jest, odebrać go powinien.

Wincz otarł twarz.

— Gdyby chciał Polskę tę objąć, nie potrzebuje jej niszczyć. Oddamy mu ją — rzekł — ja...

— A jeśli się grody upierać będą? — odparł Teodoryk. Wojewoda spuścił głowę.

— Wierz mi, palatynie — począł marszałek — nie przewiduj zbyt mocno i nie trwoż się.

Wojna i zdobycie bez szkód się obejść nie mogą.

— Ale myśmy sprzymierzeńcy wasi, my idziemy z wami!

Będziemyż patrzali na zniszczenie mienia naszego? — zapytał Wincz.

Teodoryk w milczeniu zatarł ręce, brwi mu się w górę podniosły, usta poruszyły i skrzywiły.

Milczeniem mówić się zdawał.

— Na to poradzić nie mogę.

Cofnął się nieco w głąb małego namiotu.

— Palatynie — rzekł, powoli mierząc wyrazy. — Król Jan i Zakon potrafią wam dobrą wolę okazaną zawdzięczyć. Znajdzie się czym wynagrodzić straty, lecz dla uniknięcia ich my sobie wyprawy psować nie możemy. Tak — ożywiając się, mówił dalej. — Musimy krakowskiemu królikowi wrazić strach i pokazać, że się na wojnę z nami porywać niebezpiecznie. Pójdziemy ogniem i mieczem.

— Ależ to kraj nie krakowskiego pana, ale Jana! — odparł żywo wojewoda.

Marszałek postrzegł, że się wydał mimowolnie z tym, iż w polską koronę Jana nie bardzo wierzył, i żywo wtrącił.

— Nie wiemy jeszcze nic, nie wiemy. Zresztą, palatynie, wasze majątkości oszczędziemy i pominąć będziemy się starali.

— Moje? — odparł wojewoda. — Ja bym o nie nie tyle stał, ale innych Nałęczów, co są ze mną i burzą się.

— Burzą się? — podchwycił marszałek — burzą? Dajcie ich w ręce moje, ja uspokoję.

Uśmiech szyderski towarzyszył tej obietnicy. Po chwili zadumany wojewoda począł znowu.

— Mistrz mi obiecał...

Marszałek, który był przysiadł na posłaniu, wstał.

— Mistrz nie dowodzi wyprawą i nie odpowiada za nią — rzekł. — Po powrocie rozmówicie się z nim.

Nie siadał już i okazać się starał, jak by rozmowę tę za dokończoną uważał. Wojewoda siedział, znękany był i upokorzony.

— Wnijdźcie w położenie moje — rzekł głosem przytłumionym. — Proszę was... wdzięcznym będę...

— Położenie wasze... a tak — odpowiedział Teodoryk. — Rozumiem, że jest przykre — ale ja go osłodzić nie potrafią. Wszystkie jego następstwa musicie przyjąć. To było do przewidzenia.

Zmierzyli się oczyma. Oburzony chłodem, w którym trocha przebijało się szyderstwa,

wojewoda wstał. Brwi ściągnął, chciałby był okazać się groźnym, nastraszyć, zaniepokoić — lecz Teodoryk patrzył na to jego podrażnienie i gniew z taką chłodną krwią, z jaką słuchał wymówek.

Wojewoda był w mocy ich...

Marszałek, nie czekając, aż wynijdzie, sam pierwszy podniósł zasłonę i powoli powrócił do swych gości, wiodąc za sobą, jak skazańca z wyrokiem na twarzy wypiętnowanym, wojewodę.

Kopa włókł się za nim. Pozostała tu starszyzna i goście, którzy na powrót Teodoryka oczekiwali, powitali go z dala półuśmiechami.

Wincz, nie chcąc natychmiast stąd uchościć, padł na ławę zamyślony, lecz ukryć mu było trudno, że na osobności rozmowa źle dlań wypaść musiała.

— Szkoda, panie palatynie — podniósł głos komtur toruński, który łamaną mówił

polszczyzną — żeście temu młokosowi królewikowi z Poznania dali ujść! Gdyby się go nam było udało wziąć, krakowski królik dałby nam za niego, czego byśmy żywnie zażądali.

Wojewoda zachnął się.

— Ostrożny był — szepnął krótko.

— A w Pyzdrach — dodał komtur — gdzieśmy na pewno go się spodziewali, furtą tylną się nam wysunął.

— To wasza była sprawa, nie moja — rzekł wojewoda. — Samięście tam byli.

— Jego i tę pogankę żonę potrzeba było w Poznaniu zachwycić — dodał elbląski komtur.

— Monarchą się chrześcijańskim niby zowie, do Rzymu pielgrzymował, do Awinionu teraz śle skargi, pobożnego udaje, a syna z poganką tego rodu bałwochwalców ożenił.

— Ochrzczoną jest — wtrącił Petrek Kopa. Komtur się rozśmiał.

— Kto kiedy z poganina chrztem zrobił chrześcijanina? — rzekł szydersko. — Chyba zaraz

oblawszy go wodą i krwią obmyć, aby nie miał czasu wrócić do dawnych grzechów. Chrzest dobry jest tylko mieczem. Ochrzczono ją, mówicie, a ja wiem, że po dziś dzień obrzędy najobrzydliwsze pogańskie potajemnie sprawuje i do lasów jeździ dębom się kłaniać, szatanowi służyć.

Okrzyk zgrozy rozszedł się pomiędzy biesiadnikami.

— Oni tu ten cały kraj swój mianują chrześcijańskim — mówił elbląski. — Mają niby

kościół, mnichów, ale poganie są. Wszystko to udane, kłamstwo.

Wojewoda odezwać się nie śmiał, Kopa cofnął się i milczał. Marszałek nie mieszał się do

rozmowy. Winczowi z rozkazu jego pigment podano w kubku, który on nie tkniętym na stole

zostawił. Chwilę posiedziawszy, wstał z miejsca swojego, z lekka pozdrowił siedzących, którzy mu ukłonu nie oddali, i wiodąc za sobą Kopę, wyszedł z namiotu.

Szyderskimi oczyma ścigano go. Milczenie trwało, dopóki się nie oddalił.

— Moim zdaniem — zamruczał komtur toruński — ja bym mu nie radził wierzyć. Mieć go



trzeba na oku.

— A czegoż się od niego obawiać mamy? — oparł się marszałek. — Gdyby się do krakowskiego królika chciał wrócić, miecz go czeka, bo ten nie przebacza. Na łasce naszej jest.

Obożny też wie, iż jego ludzi w środek brać należy i naszymi opasywać. Był nam jeśli nie straszny, to niedogodnym, póki zemsta w nim nie zawrzała, a teraz...

Pogardliwie urwał Teodoryk. Niektórzy dzielili zdanie jego, inni siedzieli milcząco.

Przez rozwarte wnijście wielkiego namiotu widać było niebo czarne zasiane gwiazdami i

ziemię czarną zasianą ogniskami. Z drugiej strony na tle nocy płonęła luna ogromna, poruszająca się, jak by szła i zbliżała a gonila wojsko. W dali rżały konie i pieśni pijane słyhać było, kłótnie przerywane nagle.

Wiatr niekiedy od strony spustoszenia przylatywał z poselstwem śmierci, z wonią zgorzeliska i trupów.

— Jak dzień, do Kalisza — odezwał się marszałek — aby nie mieli czasu się obwarować i za długo nas tym nie strzymali.

Komturowie obrócili się do swych kompanów, wydając rozkazy, biesiadnicy szli do swoich namiotów spoczywać.

#### IV

Nie było czasu namiotów rozwijać pod Koninem. Wojewoda krył się od słoty pod szaląsem naprędce z gałęzi skleconym. Przysiadł sparty o ściankę jego od strony nawalnicy przeciwnej, otulony opończą, z głową zwieszoną na piersi, nie podnosząc oczu, obawiając się spojrzeć przed siebie.

Nie ten to był człowiek, któregośmy dumnym, silnym, pewnym siebie w Pomorzanach

widzieli, wyzywającym króla, gotowym walczyć ze światem całym. Była to ofiara namiętności własnych i niepoczciwości ludzi. Wychudła twarz, zapadłe szczęki, powiększone boleścią oczy, patrzące dziko, drgające ręce, uszy na najmniejszy szelest drażliwe — straszny go razem i politowania godnym czyniły. Siedział sam, opuszczony przez wszystkich, bo służba nawet zbliżała się doń z obawą, niechęcią, ze wstrętem. Prawa jego ręka, Włostek, siedział gdzieś na uboczu.

Ziemianie, którzy nań napadali, szukając u niego ratunku, teraz już przekonani o bezsilności jego, opuścili go zupełnie. Zemstą się odgrażano, lecz nikt się nie porywał z nią, każdy musiał

myśleć o własnym ocaleniu.

Od napadu na Łęczycę i Kalisz spory kawał czasu upłynął. Wielkopolska w znacznej części została zniszczoną, złupioną, ogniem i mieczem obróconą w pustynię. Ci, co szli z Krzyżakami, własnymi oczyma patrzeć musieli na płonące sioła swoje, na rabunek swych dworów.

Niektórzy pouchodzili z obozu, innych uchodzących pochwycili i wiązali Krzyżacy.

Wszystkie najgorsze przepowiednie się ziściły. Kalisz został wzięty, za nim szerokim pasem poszła pożoga i śmierć. Nigdy Krzyżacy większego nie ukazali okrucieństwa.

Marszałek, który mało mówił, a wiódł bezlitośnie zastępy swe, nikogo nie opuszczając, raz tylko się odezwał:

— Niech się papieżowi skarży królik krakowski. Zobaczymy, co zyszcze.

Urągano się królowi, który z dala i jakby nieśmiało szedł za zwycięskimi rabusiami. Słysząc o nim było, nie ukazywał się nigdzie. Pomimo siły swej i zwycięstw, których żadne niepowodzenie nie zatrulo, Krzyżacy byli niespokojni. To widmo króla, chodzące za nimi ciągle, nie pochwyczone i nie postrzeżone, nie dawało im usypiać na zgliszczach.

Polski oddział wojewody zdawał się iść z nimi po to tylko, aby patrzeć na zniszczenie ziemi swojej. Wlekli się opasani, jak niewolnicy bezsilni. Wojewoda na próżno wołał i prosił litości, płakał łzami krwawymi. Marszałek słuchał go obojętny, a w końcu i słuchać poprzestał. Odmawiał

mu rozmowy, posyłał do niego podwładnych. Zbywano go czasem słowem lodowatym, niekiedy urągowiskiem.

Zdrajca, od którego odwracali się wszyscy, pokutował, piekło nosząc w piersi i dręcząc się jak potępieniec. Nie było dlań ratunku, każdy dzień, każda łupież i zniszczenie nowe spadały brzemieniem coraz cięższym na obarczone starca sumienie. Widok zemsty tej, którą wiódł z sobą na posiadłości Łoktkowe, już go nie rzeźwił i nie pocieszał. Uczucie to dawno było nasycone i zgasłe. Przed nim przyszłość stała tak straszna, że śmierć wydawała się wyzwoleniem.

W małych potyczkach, przy braniu miast, które się broniły, wojewoda rzucał się jak szalony w wir walczących, narażał na strzały, szukał śmierci tej i znaleźć jej nie mógł. Inna mu była przeznaczoną i taka może, na jaką zasłużył.

W obozie pod Koninem już miara goryczy, jaką mógł wypić człowiek, zdawała się wypełnioną.

Wojewoda czuł, że dłużej patrzeć na tę rzeź nie potrafi. Mówiono do niego — nie słyszał.

Zatopiony w sobie szukał sposobu tylko, jakim by koniec swój przyspieszył.

Wieczór był późny, noc się zbliżała, pod szalasem wojewody ciemno się robiło. Ze służby

jego nikt nie przychodził, siedziała opodal tuląc się od deszczu pod wozami. W początku, gdy obóz rozbijano, czeladź chciała mu posłużyć, pytała o rozkazy. Raz i drugi wojewoda ją rozpedził.

Siedział więc teraz samotny, znieczulony, obojętny, jakiś półsenny, półmartwy, zbolały...

Tymczasem Włostek, który miał nad nim litość, nie pytając już o rozkazy, o kilka kroków

kazał namiot rozbić, łoże posłać i nocleg przygotować. Ze wszystkich, co byli przy wojewodzie, on jeden najlepiej, najdawniej go znając, najśmielszym był i, gdy namiot rozpięto, zabezpieczywszy go sznurami od burzy, Włostek pod ciemny szalas wsunął się szukać pana. Nic nie mówiąc, ujął go pod rękę.

Wojewoda wstał i nie pytając, dokąd go prowadzi, poszedł za nim. W namiocie rzucił się na pościel i oczy wlepiwszy w małą lampkę, którą Włostek zapalić kazał, pozostał bezwładny.

Jedzenia odmówił, wody brudnej napił się trochę. Porzucono go tam samym, bo nikt się do niego nie zgłaszał już, nikt i widzieć nie chciał. Ze wszystkimi zwaśniony był.

Wojewoda ze znużenia drzemać począł, lecz zaledwie sen zamykał mu oczy, jakiś

przestach je otwierał. Rzuczał się, oglądał, trwożył... Raz i drugi za miecz chwycił i odrzucił go precz.

Wtem zaszeleściało coś około namiotu, opłotki i zasłona się podniosła. Wysoki mężczyzna, obwinięty opończą z kołnierzem stojącym, którego twarz była całkiem zakryta, ostrożnie wśliznął się do namiotu.

Wszedł, przystanął w progu, obejrzał się i, widząc wojewodę, który za miecz ręką drżącą pochwycił, nie poruszył się tym ani uląkł. Pozostał obojętnym.

Wincz siadł na łożu. Wnijscie to człowieka z zakrytą twarzą zdawało się go przestraszać.

Z wolna przybyły odrzucił kołnierz, który mu krył oblicze, zdjął czapkę na czoło nasuniętą.

Wojewoda poznał Dobka Nałęczą, którego od ostatniej z nim rozmowy i rozbratu w Pomorzanach nie widział. Dobek nie był z nimi. Cóż on mógł robić w krzyżackim obozie?

Żywy to był i straszny wyrzut — ten człowiek, który z nim jedną nie chciał pójść drogą, a teraz przychodził może urągać się jego spodleniu i upadkowi.

Dobek stał i patrzył, ale w wejrzeniu trudno było dobadać, litość przeważała czy wzgarda, oburzenie czy miłosierdzie. Postąpił krokiem ku łożu, ręce załamał i głową zaczął potrząsać w milczeniu.

— Czego chcesz? — krzyknął tym przedłużonym wpatrywaniem się w siebie rozgniewany

Wincz. — Czego tu chcesz? Głowęś przyniósł pod miecz?

— A, choćby — odparł obojętnie Dobek. — Głowę stracić to nic, ale cześć stracić, imię pokalać, ród pohańbić — to gorzej!

Wojewoda milczał drżący.

— Czegom tu przyszedł? — mówił dalej. — Spytać przyszedłem ciebie o rachunek. Czym ty to zapłacisz, do czego swoją zdradą dopomogłeś i co na twój kark i sumienie spadło? Słuchaj!

Wojewoda chciał przerwać, Dobek nakazał mu milczenie.

— Słuchaj! Oto masz lik twoich czynów: Łęczyca spalona i Łęczyckie spustoszone, Kalisz

wzięty. Z nim opanowane Gniezno! Słyszysz ty to? Gniezno... Zamek, kościół, grób patrona, skarbiec świętego, wszystko złupione... Nakło w popiołach, Środa spalona, Pobiedziska zrównane z ziemią, Kleck, Kostrzyn, Sieradz, Uniejów, Warta, Szadek... A wsie, a kościoły, a klasztory, a ludzkich żywotów tyle, a zbiegłych tyle, co po lasach mrą z głodu, a krwawe łyzy?... Mało ci tego?

Syt jesteś? Nie jeszcze? Czego ci więcej potrzeba? Mów!

Jęknął Dobek.

Co się działo, gdy on to przerywanym mówił głosem, powoli jak krople wrzącej smoły na ciało nagie rzucając te imiona na sumienie jego, co się działo z Winczem —

Dobek sam nie mógł zrozumieć. Oczy miał zakryte dłonią, a usta, które pozostały odsłonięte, ból wykrzywił. Milczenie trwało długom wojewoda nie odpowiadał nic.

— Mów! — odezwał się Dobek — gdzie, dokąd ich jeszcze powiedzisz i gdzie my z

żonami i dziećmi przed tobą i przed nimi chronić się mamy? Ja nie mam już domu ni łomu, w lesie, w jamie tulę nędzę moją, srom mój..., zem także Nałęcz jako ty, bo nas ludzie palcami wytykają.

Gdy to mówił, wojewoda się zerwał na nogi, a Dobek cofnął mimo woli, sądząc, że z

mieczem się nań rzuci. Lecz Wincz spojrział nań tylko gniewnie, ręce rozpostarł i głowę pochylił ku ziemi.

— Jeszcze się to nie skończyło, co się poczęło — rzekł zadławionym głosem. — Nie

widzicie jeszcze końca — obróci się to inaczej. Z Krzyżakami, z królem Janem, z mistrzem będę

mówił. Teraz z rozwścieczonym żołnierzem nie ma sposobu... Zdziczele, słuchać nie chcą.

Dobek kiwał głową szydersko.

— A kiedyż słuchać będą? — przerwał gniewnie. — Gdy jeszcze słabsi będziemy niż dziś?

Albo to są ludzie? Albo to chrześcijanie? Zdaliście siebie i kraj na katy... Wzięli was, nie oszczędzą nas... Myślicie, że miłosierdzie mieć będą?

— Nie skończone to, nie skończone! Porachujemy się! — zamruknął wojewoda. — Nie klnijcie mnie! Ja krew i głowę dam, a złe to odrobuję!

— Jak? Czym? — począł Dobek. — Wróćcie życie zabitym? Odbudujecie miasta? Oddacie nam cześć straconą?

— Czegoż ty chcesz ode mnie? — wrzasnął zniecierpliwiony wojewoda. — Czego?

— Chciałem ci tylko pokazać jedną z ofiar twoich — rzekł Dobek. — Masz ją! Patrz na mnie! Ja, dzieci i wnuki przeklinać cię będziemy, ciebie, coś dla swojej pychy i zemsty nas wszystkich poświęcił i kraj do zguby poprowadził. Przeklęty bądź, szalony starcze... przeklęty!

Wincz słuchał tego wybuchu z głową spuszczoną, nie odparł słowa. Obijały się o niego te wyrazy jak garść rzuconego piasku od żelaznej zbroi. Stał nieruchomy.

— Przyszedłem — dodał Dobek — aby kogo jeszcze czas ocalić i wyrwać z twoich rąk.

Zabiorę Nałęczów, którzy warci są, aby ich ratować. Zostaniesz sam z miłymi Krzyżaki.

Odwrócił się od niego.

— Nie waż mi się tego czynić! — krzyknął wojewoda, postępując za nim. — Zakazuję! Nie wiesz, co jutro będzie. Ja ich potrzebuję!

— Abyś ich zdał wszystkim Niemcom!

Wincz chciał coś mówić, rzucił obłąkanym wzrokiem i wstrzymał się.

Dobek spojrzał nań i wypadł z namiotu. Zawrócił się, trzymając zasłonę nad sobą.

— Jedyne ratunek — rzekł — chcesz? Idź z nami. Wymkniemy się całym oddziałem z obozu i pójdziemy precz... przebojem, gdy trzeba!

Wojewoda zmarszczył się i nogą uderzył o ziemię.

— I ja nie pójdę, i ty mi ludzi się nie waż odciągać. Potrzebni będą. Powiadam ci — nie skończona sprawa. Potrafiłem zło uczynić, potrafię je naprawić, ale...

— Ale chcesz, byśmy ci teraz zawierzyli? — zaśmiał się Dobek. — Zapewne!

I opuścił namiot. Wojewoda, który aż do progu się za nim posunął, wstrzymał się tu, zwrócił namyśliwszy i padł na łożo. Po chwili zawołał Włostka, który zawsze czuwał w bliskości, kilka słów mu szepnął i odprawił. Mimo znużenia nie mógł zamrużyć oka i oczyma szeroko otwartymi patrzył na wnijscie do namiotu. Czekał.

Włostek zjawił się po długim oczekiwaniu. Polecono mu było iść w ślad za Dobkiem i wstrzymać tych, co by z nim uchodzić chcieli. Lecz jak wojewodę nie bardzo słuchano, tak i jego sługa dziś dawnego miru nie miał w wojsku. Na próżno więc szukał Dobka i chciał dójść, gdzie się obracał. Odprawiono go gburowato, nie dopuszczono do namiotów.

Dopiero ze dniem obiecywał się dowiedzieć, czy kto z ich oddziału nie uszedł.

Wincz, nie odpowiedziawszy na doniesienie, głowę spuścił, ręką dał znać i pozostał na łożu, ale sen mu powiek już nie kleił. Rzucił się, walczył sam z sobą. Przekleństwa Dobka teraz dopiero skutkowały, powtarzając mu się w uszach...

Wieczorny szmer powoli ustawał w obozie, deszcz też i wiatr przeszły, niebo się nieco oczyszczać zaczęło. Cisza nocy nadchodziła. Wojewoda pragnął spoczynku i znaleźć go nie mógł.

Przerzucal się z boku na bok, wstawał, siadał, kładł się, jęczał... Z wiadra wody, które stało w namiocie zaczerpnął kilka razy, jak by go wewnątrz paliło.

Wtem ściany płócienne namiotu poruszyły się, jak by albo wiatr nimi rzucił, lub nieświadoma ręka szukała wnijscia do niego. Wojewoda, który wiedział, ilu miał nieprzyjaciół, a po Dobku przez przekleństwo domniemywał się, iż na życie jego godzić mogą, schwycił mieczyk.

Stąpienie ostrożne dało się słyszeć, zasłona uchyliła — ktoś wchodził. Wincz stanął,

zerwawszy się z mieczem w rękę. Lecz w progu ukazała się cała okryta czarną zasłoną niewiasta, która, chwiejąc się i słaniając, wchodziła nieśmiało, a ręce podnosiła, jakby szukała i potrzebowała podpory. Choć twarzy jej nie mógł dojrzeć wojewoda, drgnął. Mrowie po nim przebiegło... Postawą i ruchami przypomniała mu żonę, Halkę jego... Białą i wychudłą ręką z wolna podniosła część zasłony i odkryła twarz troskami zmienioną i wybladłą.

Ona to była.

Po tyłu doznanych strapieniach, po walkach wewnętrznych, po tym życiu piekielnych mąk, wspomnienie, które mu to niewieście serce przynosiło, było tak odżywiającym, że na chwilę zapomniał o wszystkim. Z rozrzewnieniem, rzuciwszy miecz, przybliżył się do niej.

— Ty tu? Halko moja!

Przywiązana żona, posłuszna niegdyś niewiasta, której znał miłość dla siebie, zamiast rzucić się w jego objęcia, cofnęła się krok. Zdawała się mówić, by się nie zbliżał.

Upokorzony Wincz stanął. Halka mówić nie mogła jeszcze. Ręką cisnęła piersi, oddychając ciężko, przysłaniała sobie załzawione oczy. Duma nie pozwalała mu mówić więcej.

— Tak... ja... ja... przyszedłam raz jeszcze do ciebie — zaczęła Halka cichym głosem. —

Przedarłam się tu mimo niebezpieczeństwa. Wincz, ratuj siebie i nas!

Ponuro zamruczał coś wojewoda.

— Co wam, babom, mięszać się do spraw naszych! — odezwał się wyraźniej. — Co wy rozumiecie? Czekajcie... Jeszcze nie koniec...

Błysnął oczyma i tchnął ciężko; nie wiedział, co mówić.

— Nie czekaj końca — przerwała żona. — Jakież on być może? Zguba ostatnia...

Zapłakała. Wincz się burzył.

— Mówicie o ratunku. Jakież teraz może być? Wojna nie skończona. Ja tu nie mam z kim gadać. Króla Jana nie doczekali się, mistrz w Malborgu. To głupia dzicz...

Halka obejrzała się wkoło, jak by obawiając być podsłuchaną. Załamała rękę.

— Porzuć ich — rzekła — odstęp!

— I cóż pocznę naówczas z sobą? — szydersko zawołał wojewoda. — Wybiją nas do nogi.

Do kogoż się zwrócę?

Halka obejrzała się raz jeszcze.

— Do króla Władysława! — szepnęła. — Do naszego króla...

Wojewoda w gniewie i oburzeniu rzucił się aż w koniec namiotu.

— Ja? Do niego? Miałbym się kłaniać, aby mnie nogą popchnął? Temu, który mi srom wyrządził, którego nienawidzę?... Nigdy w życiu!

Żona patrzyła nań, dając mu się wyburzyć. Znała go zapewne i wiedziała, że pierwszemu wybuchowi potrzeba było dać ostygnąć. Wincz zrywał się i poruszał gwałtownie, sam do siebie mówiąc. Ona nie odzywała się, ściagała go tylko oczyma.

— Lepiej umrzeć, lepiej zginąć! — zawołał.

— A co śmierć pomoże? — poczęła z wolna Halka. — Nazwią cię po śmierci zdrajcą, jako dziś zowią. Idąc do króla, zmażesz tę zdradę w uniesieniu popełnioną.

Wincz ponuro zadumany stał, szarpiąc kaftan na sobie.

— Nie, nie może to być — odparł. — Ja mojej głowy mu nie poniosę. On mi przebaczyć nie może, to darmo, bo w waszych tylko mózgach roić się może takie pojednanie. To nie męska rzecz...

Nie, nie! Siebie znam — nie daruję mu nigdy krzywdy mej. Jego znam — on nigdy nie wróci mi łaski... Mam ginąć...

Nie skończył.

— Król przebaczy — po chwili milczenia głosem pewnym odezwała się Halka.

Wincz wpatrzył się w nią.

— Skąd to wiesz?

— Wiem... na pewno... — powtórzyła — przebaczy... Wojewoda zbliżył się niespokojny.

— Mów — począł naglić — skąd ty przybywasz? Kto ci zlecił? Mówisz to z siebie?

Wojewodzina wystąpiła trochę, jak by szukała w sobie natchnienia, co powiedzieć była powinna, co zamilczeć. Odwaga w nią wstępowała, policzki się lekko zarumieniły.

— Jadę stamtąd — rzekła — gdzie mogłam na pewno się dowiedzieć o tym, co król myśli.

Nie zlecono mi nic, bom nie wiedziała, czy się tu dostanę, lecz głową moją rękę — przebaczy!

Będiesz mu, jak byłeś, radą i wodzem. Zapomni, coś zgrzeszył... Jedź ze mną... jedź... błagam...

Spostrzegła wahanie się męża i nalegać poczęła.



— Winczu mój — ty wiesz, jak mi twoja cześć droga. Zaklinałam cię, byś nie wiązał się z nimi. Gniew zaślepił, krwawo zapłaciłeś za to. Jeszcze czas... jedź ze mną... wszystko naprawim...  
Nadzieja ta niespodzianie błyskająca wojewodzie w osłupienie go wprawiła. Walczył z sobą. Halka zbliżyła się doń i, rękę kładnąc na ramieniu, łagodniejszym głosem poczęła po cichu.  
— Obóz króla niedaleko. Nie wiedzą o nim Krzyżacy upojeni swoimi łatwymi zwycięstwami.  
Spili się krwią. Król za nimi goni, ściga ich, czekając chwili tylko. Jedź ze mną... noc czarna...  
powrócisz przede dniem...

Wincz zaledwie mógł uszom swoim wierzyć. Łoktek więc był tak blisko? Ścigał Krzyżaków? Nie lękał się ich i czyhał na nich? Szala mogła się przeważać! Gdyby nie żona, której ufał, zaledwie by mu się to zdało możliwym...

Z ciekawością począł dopypywać o króla Władysława, lecz Halka, nie będąc pewną nawrócenia, miała to pomiarkowanie, iż obrotów jego zdradzać nie chciała. Była w obawie, czy się mimowolnie nie przyczyniła też do jego zguby.

— Przyszłam tu po ciebie, aby cię z ich szpon wyrwać — rzekła. — Chcesz ze mną do króla — jedź! Nie — po cóż ci wiedzieć o nim, abyś ścigał? A ja bym ci go na zemstę dać miała?

Cofnęła się oburzona samą tą myślą i usta zacięła. Wyczekawszy trochę, Halka padła przed nim na kolana, poczęła ścisnąć jego nogi.

— Słuchaj... jedź ze mną... Ja za twe życie i bezpieczeństwo stoję. Powrócisz cały, czy się z nim ugodzisz, czy nie. Słowo mi dali na to. Słowo królewskie święte... jedź ze mną...

Przez myśl wojewodzie przeszło wszystko, co wycierpiał od Krzyżaków, od swoich, przekleństwo Dobka, wyrzuty własnego sumienia. Nagle z porywcznością taką, jak by sam siebie się obawiał, chwycił hełm i płaszcz, nic nie mówiąc. Halka żywo, jak by w nią z nadzieją nowe wstąpiło życie, poczęła mu pomagać do odziania się. Nie potrzebowała już słowa, знаła człowieka: postanowił jechać. Serce jej biło radością niewymówną, oczy błyskały łzami szczęścia.

Wojewoda z gorączkowym pospiechem przypasywał miecz, brał i rzucał odzież. Oczy jego latały po namiocie, ale nie mówił nic. Nie wołał nawet Włostka, bo i Jemu zwierzać się nie chciał.  
Dogorywającą lampkę zdmuchnął, rękę podał żonie. Szli już z namiotu precz. Nie spytał nawet, jak się z obozu wydobyć, jak do króla dostać mieli. Ufał żonie, a do stracenia nic już nie miał, nie dbał

o nic.

Gdy wyszli z namiotu, Halka zawahała się trochę, szukając kogoś oczyma. Dwa nieruchome cienie stały opodal trochę. Szli ku nim.

Noc była czarna. Wiatr, który się uspokoił, zrywał się znowu chwilami, przelatywał, szumiąc nagle, i opadał. Niebo zakrywały chmury, pomiędzy którymi blade gdzieśgdzie gwiazdki ukazywały się i znikwały.

Halka szła śmiało aż do tego miejsca, w którym postrzegła stojących nieruchomo ludzi.

Jeden z nich przystąpił do niej bliżej i, poznawszy, ruszył przodem, wskazując drogę. Drugi pozostał za nimi w tyle.

Wojewoda, który nie pytał o nic i dał się wieść, mijając tę postać tajemniczą, co miała im towarzyszyć, rzucił na nią okiem i zdało mu się, że poznał jednego ze swoich. Tym tylko sposobem dawało się tłumaczyć, iż Halka przez obozowisko dostała się do jego namiotu. Byli tu tacy, co jej pomagali...

Wiodący ich przodem szedł ostrożnie, pomijał szalasy, a nade wszystko nie dopalane ogniska, których światło zdradzić by ich mogło. Szli ciągle przez stanowiska zajęte ludźmi wojewody i nie potrzebowali przebywać krzyżackich, pomiędzy które ważyć się nie było

bezpiecznym. Pochód ten pieszo po nocy trwał dość długo, bo kilka razy krzyki i wrzawa niedalekie zmuszały ich wstrzymać się, czekać, oglądać, aby nie wpaść w ręce ciurów i hałastry, której obozy pełne były.

Tak przedarli się w końcu na łąkę, wśród której spętane konie biedniejszych ludzi pasły się pod dozorem czeladzi. Ale ta spała znużona. Z boku stały konie i ludzie. Spodziewano się, czy nie, wojewody, lecz wierzchowiec dla niego czekał osiodłany. Halka, która dawniej nieraz w

szczęśliwych czasach mężowi towarzyszyła na łowy, dosiadła pierwsza podanego jej konia. Dwaj ludzie towarzyszący im dotąd skoczyli na siodła. W milczeniu, cicho, stępią wyruszyli od skraju obozowiska łąką, ponad rzeczulką ku czarnej ławie lasów stojącej w dali. Przewodnik świadom drogi mimo nocy wiódł z pewnością taką, jak by z zawiązanymi oczyma mógł się tędy przedzierać.

Gdy tętent już w obozie dosłyszany być nie mógł, żywszym kłusem puszczono konie.

Wojewoda, jadący obok żony z głową obwisłą na piersi, nie otwierając ust, cały w sobie zamknięty dawał się prowadzić, nie okazując znaku życia.

Halka z odsłoniętą twarzą, którą wiatr smagał, w dal oczyma otwartymi na próżno patrząc, jak by ciemności zwyciężyć chciały, spieszyła, to półsłowy nagłąc wiodącego, to się zwracając ku temu,

który jechał za nimi. Poruszoną była i dawała rozkazy, czuła się wodzem.

W lesie stało się straszliwie ciemno i droga była prawie nie do rozpoznania. Tu już

przewodnik najlepszy nie mógł nic, lecz stał za niego instynkt zwierząt. Konie czuły miejsce, z którego wyszły i gdzie ich reszta pozostała. Puszczono je swobodnie... Drożyna ciasna nie dozwalała inaczej jechać jak gęsiego i żona puściła wojewodę przed siebie, sama zostając w tyle.

Zdawało się marzącemu o tym, co się stało, wojewodzie niepodobieństwem, ażeby w tak

niewielkiej odległości od Krzyżaków Łoktek miał się znajdować. Nieograniczone zaufanie, jakie w żonie pokładał, jedne go uspokajało. Myślał, będzieli możliwym dotrzeć do Łoktka i, nim zadnieje, powrócić nie postrzeżonemu do namiotu. Nie pytał jednak, nie mówił nic — czekał.

Wtem rzenie konia dało się słyszeć z dala, a te, na których jechali, odpowiedziały na nie wesoło. Nic jednak jeszcze widać nie było, ciemności leśne ich otaczały, a puszcza była podszyta i gęsta. Nierychło poczuli dym w powietrzu. To było drugie zniamię zbliżania się do ludzi. Na ostatek błyszczą ogniki jakieś spomiędzy gałęzi. Jadący przodem zwolnił kroku.

Zatrzymali się na brzegu lasu. U nóg ich w dole była dolina nad rzeczką rozlegająca się

szeroko, w której domyślać się było można obozu. Jadący przodem poskoczył szukając straży obozowej, która tuż się znalazła. Poszeptali z sobą.

Stępią i po cichu posuwali się ku dolinie. Cicho leżał obóz uspiony na pozór, lecz w istocie czuwający i jakby przyczajony. Ludzi pieszych snuło się wielu od namiotu do namiotu, we

zbrojach, przy mieczach, pilnujących porządku. Nie było to owo wrzaskliwe a pijane obozowisko krzyżackie, ale coś na kształt zasadzki wyczekującej chwili sposobnej, aby się rzucić na nieprzyjaciela.

Wojewoda kapturem przysłonił twarz. Jechał niespokojny, oglądając się ku Halce, która, jak tylko droga pozwoliła, zrównała się z nim, stając do jego boku.

W pośrodku plac był obszerny, obwiedziony sznurem, na nim duży namiot szary,

przysadzisty i jak kilka grzybów z ziemi wyrosłych, trochę mniejszych po bokach. Tu straże gęściejsze chodziły. W namiocie wielkim przez płótno widać było światelko we wnętrzu.

Przewodnik zsiadł, a za jego przykładem wojewodzina zsunęła się z konia. Naprzeciw nim

szedł już słusznego wzrostu mężczyzna, któremu kobieta szepnęła słów parę i, ciągnąc męża za sobą pospiesznie, podeszła z nim do namiotu. Dawał z sobą czynić, co chciała. Nie miał woli.

Towarzyszący im ludzie pozostali w pewnym oddaleniu.

Gdy tak czekali u drzwi namiotu, wojewodzina zbliżyła się do męża, chwyciła rękę jego i, do ust ją

przykładając, zawołała poruszona głosem, w którym łkanie słychać było.

— W twoich rękach los nasz! cześć nasza... życie... wszystko!

Wtem podniesiono opłotek, światło przedarło się z wnętrza i na jasnym tle wystąpiła maleńka, znana wojewodzie, postać króla, który sam wychodził ku niemu do progu.

V

Milczący ku sobie się zbliżali: król taki, jakim bywał w najcięższych życia chwilach,

kamienny, nieporuszony, zdrętwiały a silny — wojewoda zburzony, niespokojny, upokorzony, roznamiętniony walką z sobą samym, niepewien, co pocznie, przybity i dumny razem. Od jednego słowa, od brzmienia jego głosu zależeć mogło wszystko.

Wincz też nie spieszył się przemówić, a król patrzył nań cierpliwie i czekał. Mierzyli się oczyma. Łoktek spokojem swym zwyciężył go. Wojewoda spuścić wzrok był zmuszony. Nie

mogąc doczekać się od niego słowa, bo Wincz jak winowajca stał z głową zwieszoną, niemy, oczów już nie śmiejąc podnieść ku niemu, król szepnął cicho, głosem, w którym boleść mężna brzmiała i nieulekniona:

— Nie tak my z tobą spotykać się byliśmy powinni — nie tak!

Z piersi Wincza wyrwało się coś niewyraźnego jak łkanie i poplątane wyrazy bezładne — raczej jęk boleści i upokorzenia.

Łoktek rękę ku niemu wyciągnął.

— Przyszedłeś tu, zawierzyłeś mi — toś już wielki krok uczynił. Z bożą pomocą i reszta się dokona.

To mówiąc, począł król iść ku środkowi namiotu skromnie i prawie ubogo, jak zwykle,

urządzonego. Wojewoda włókł się za nim. Wtem, podniósłszy oczy, z dala spostrzegł stojącego w rycerskiej a pańskiej postawie, lecz z łagodnym twarzy wyrazem młodego Kaźmirza — i pobladł na widok jego. Przypomniawszy mu upokorzenie, on, co był zajścia całego przyczyną. W tej chwili, oblany krwią, która mu na twarz wystąpiła, wojewoda może by się był cofnął, gdyby królewicz z

wyciągniętą doń ręką nie przystąpił. Nie rzekł nic, lecz pokazał, że nie pamiętał winy i gotów był ją przebaczyć.

Wojewoda, który czuł się winnym, dobrocią obu złamany został, skłonił głowę, okazując się na wszystko gotowym, powolnym.

— Słuchaj, Wincz — odezwał się król, gdy młody pan odstąpił nieco, nie chcąc się mieszać do

początku rozmowy, której pozostał świadkiem. — Słuchaj, Wincz, na rany Zbawiciela, na miłość dla tej korony, którą mi zdobyć i połączyć pomagałeś, na dawne twoje przywiązanie dla mnie — zaklinam cię —

krok twój nieszczęśliwy napraw! My — tu wskazał na syna — zapomniemy o wszystkim —

ja ci na to uroczyście przysięgam! Ratuj nie mnie, nie nas, ale Polskę. Jam dla tej korony nie jeden raz życie niósł i dziś je dać gotów jestem! Ty jej nie gub i nie podawaj w ręce obcym! Wincz rękę położył na piersiach i wyjąknął:

— Panie mój!... Głosu mu zabrakło.

— Widzisz, co ci złoczyńcy, z którymi sprzymierzyłeś się, czynią z nami. Doświadczyłeś

już ich — mówił król. — Zniszczyli tę twoją i moją Wielkopolskę, stratowali ją, spustoszyli, złupili. Nikomu oni nie przebaczą — ani wam. Zgubicie kraj, zginiesz ty!

— Panie, Miłościwy Panie — począł wojewoda — ach, zawiniłem... Aleś ty mnie starego w samo serce ubódł, upokorzył i znieważył. Oszalałem z bólu...

— Ja? Czym? — przerwał król. — Wincz, ty sam zważ i sądz! Ja sam gotówem synowi

miejsca ustąpić, a tyś chciał, abym ciebie przeniósł nad niego? Przecież on, da-li Bóg utrzymać ją na skroni, będzie koronę nosił. A żeś ty przyszłemu królowi rządów musiał ustąpić — byłoż to upokorzenie?

— Wojewodo — odezwał się Kaźmirz z dala głosem łagodnym. — Szanowałem cię i

byłbym rad twych słuchał, jak ojcowskich. Żli ludzie podbechtali na mnie i oni są sprawcami niesnaski. Ja was uniewinniam...

Wtem król, pomilczawszy, dorzucił:

— Słyszysz, Wincz? Zawdzięczymy ci oba. Powracaj do nas! Powracaj!

Wojewoda tchnął z głębin piersi.

— Panie — szepnął, wahając się. — Jakże to dziś się da zrobić? Jam w ich rękach, niestety!

Chcieć się wyrwać, wyrzezą nas do nogi zbójcy ci. Ze mną ród mój niemal cały...

Król, przysłuchując się, powoli począł przybliżać do niego.

— Byle najmniejsze podejrzenie powzięli, tego im potrzeba — ciągnął dalej wojewoda —

osaczą nas jak zwierza w lesie. Siły nasze im nie sprostają, zginemy wszyscy. Co komu po tym!

— Zgubić się byłoby nierozumem — przerwał żywo Łoktek. — Tego ja od was nie chcę ani myślę na to narazić. Owszem, pozostańcie z nimi, idźcie. Nie wydawajcie się z tym wcale, co w sercu mieć będziecie i myśli. Ja ścigam ich od dawna, krok w krok dążę za nimi. Bliska jest, zdaje mi się, chwila, gdy się rzucę na nich wtedy, kiedy się mnie najmniej będą spodziewali. Jeśli nie do walnej bitwy, której ja im wydawać nie myślę, przyjdzie do rzezi i pomsty! Gdy zawre, naówczas ty bądź pogotowiu. Napadnijcie na nich wraz ze mną z drugiej strony, a sprawim im łaźnię, iż noga ich nie ujdzie stąd. Zapłacą za krew ziemian moich i chłopków!

Król, mówiąc to, zadrgał cały.

— Zapłacą! — powtórzył zimno i dobitnie — zapłacą! Wojewoda podniósł powoli oczy, w króla się wpatrzył i głową dał znak przyzwolenia na myśl jego. Łoktek mówił dalej.

— Chcieli mnie zniszczeniem ziemi mojej przerazić i odstraszyć, okrucieństwem zmusić, abym im oddał na pastwę Pomorze z czymś więcej jeszcze i pokłonił się... ale nie dopną, czego chcieli. Ząb za ząb, będę i ja okrutnym. Nie przebaczymy ani płaszczom białym, ani złotym łańcuchom, ani panom gościom, co na nas chrześcijan jak na łowy przyjeżdżają.

Wstrząsnął się cały król, lecz natychmiast ostygąć począł.

— Chwila bliska — mówił dalej Łoktek, patrząc na wojewodę zdumionego i jakby nie dowierzającego. — Ufam w Bogu moim, nie może on dopuścić, aby się bezkarnie pastwiono nad narodem chrześcijańskim. Pomścimy krzywdy nasze, a tych żołądków zgnieciem. Nie będziesz czekał długo, pewien jestem! Padnę na nich, gdy o mnie wiedzieć nie będą ani się spodziewać. Ale ty, wojewodo, pomocą mi być musisz. W ich krwi zmażesz winę twoją.

Król zamilkł, wyciągając go na odpowiedź.

— Miłościwy Panie — począł Wincz. — Bogdaj się wasze ziściło proroctwo! Niech się stanie, jakoś rzekł. Lecz lękam się ich przemocy. Na rozdzielonych trzeba wpaść. Liczbą i zbroją przemagają nad nami.

Jak tu się porwać na te kłody żelazne chodzące, od których nasze strzały odpadają bezsilne!

A tyle ich zwlokło się tu na łupieże...

— Nie frasuj się — odparł król — wybrać godzinę moja rzecz. Opatrzę ją, ale na główny oddział muszę się kusić, aby najdostojniejsi dowódcy głowy położyli. Po ciurach mi nic, ściągnę ich łatwo. Komturów i grafów ich łaknę i będę ich miał! Oni sami nauczyli mnie, że bez szpiegów wojny nie ma. Znajdę ich w obozie, snują się koło niego, idą za nim. Patrzą i z oka ich nie puszczę.

Ty czekaj, gdy ja pocznę, a posłyszysz surmy nasze, rzuć się na obrzydłych siepaczy. Życia nie dawać

nikomu! U mnie też garść jest żołnierza, który ich niemieckiemu nie ustąpi i tak okuty, a dzielniejszy, obrotniejszy. Mam też Węgrów, co i Czechom nie zejda z pola.

Uśmiechnął się król.

— Chwili tylko muszę wypatrzeć.

Łoktek dokończywszy patrzył jeszcze na milczącego. Obie ręce swe silne, żyłaste, namulone wyciągnął ku niemu.

— Dajże mi słowo, Wincz, mnie i synowi!

Tu Kaźmirz się zbliżył, rękę wyciągając także.

— Wojewodo — rzekł — zapomnijże raz i wróc do nas. Uratujemy Polskę... Pomóż nam do tego... Prosiemy cię oba.

Wojewoda był poruszony, nisko skłonił głowę, obie ręce skrzyżował na piersiach.

— Uczynię, jak rozkazujecie — rzekł krótko. — Uczynię, tak mi dopomóż Boże.

Zawiniłem, przebaczyliście krewkości mej, niech Bóg wam to płaci... Jam wasz, wasz.

Rozrzewnienie w mowie czuć było. Złożył palce dwóch rąk na krzyż, wyciągnął je i jak znak krzyża ucałował, składając nań przysięgę.

— Tak mi pomóż i zbaw Boże!

Król wziął ze stoła stojący krzyżyk i, okazując go, zawołał podniesionym głosem:

— Wincz, znasz mnie nie od dziś! Ja ci też poprzysięgam przebaczenie i łaskę moją zapewniam. Włos nie spadnie ci z głowy. Uratujesz koronę tę! Z tobą ja ich pokonam, wypędzę i krwawo zapiszę swój powrót.

Kaźmirz przystąpił też żywo i wojewodę ścisnąć zaczął, który mu do nóg się pochylił.

Gdy w ten sposób umowa uroczyście zawartą została, król, korzystając z czasu, żywo rozpytywać począł o siły Krzyżaków, o dalsze ich zamiary, dokąd ciągnąć myśleli, czy się mieli znów ku Kaliszowi zawrócić. Wojewoda w niewielu rzeczach mógł króla objaśnić, bo to wiedział tylko, na co patrzył, a zresztą Niemcy się przed nim taili i milczeli.

Między Wielkopolanami a Niemcami, chociaż razem szli, coraz mniej było porozumienia i

zgody. Wojna, w której oni często napastowanych i krzywdzonych braci swych bronić usiłowali, coraz bardziej z obu stron rozjątrzała. Musiano czasami rozsuwać obozowiska, aby do krwawych zajęć nie przyszło. Gorącej krwi Nałęczce często się burzyli, dobywali kordów, a Niemcy ufni w swą siłę nacierali na nich kupami i starszyzna wdawać się musiała; tak ich rozerwać było trudno.

Niejeden trup w nocy z rozplataną głową legł potem i znalazł się nad ranem pod polskimi lub niemieckimi namioty, co go ze dniem strażę za nogi wywlekać musiały, aby nie widzieli wszyscy. Znikali ludzie, a nienawiść rosła.

Marszałek, wedle opowiadania wojewody, coraz mniej miał dla niego względów, przyjmował go chłodno, nie zapraszał nigdy, a gdy się wśród ich uczyty zjawił, okazywano mu, nie kryjąc się, jak go sobie wazono mało. Ile razy zapytywał wojewoda o pochod dalszy lub chciał obronić swoją ziemię od najazdu, zbywano go szyderstwami i ogólnikami. Nie zwierzano mu nic i nie słuchano w niczym.

Król słuchał tych skarg z pociechą wielką, widząc z nich, iż Wielkopolanie na duchu byli przygotowani do odstąpienia Krzyżaków. Skinienia tylko na to było potrzeba.

Wojewoda, który tejże nocy musiał do obozu powracać, zabrał się żegnać króla i królewicza, nie tak jak ich witał, z obawą, ale po staremu do kolan im się zginając.

Król ścisnął go, Kaźmirz z uśmiechem ręce wyciągał. Wiedli go tak ku wyjściu.

— Nie zrywaj się sam — dodał Łoktek — nie wydawaj się z niczym, czekaj, aż na nich uderzę, a posłyszysz surmy moje. Znasz je, bo cię nieraz do boju wzywały. Nie grają one łagodnie, krzyczą, bo do zemsty wołają! Marszałkowi kłaniaj się do chwili ostatniej, aby ci ufał. Nie będziesz już czekał długo, mam ufność w Bogu. Niech On cię szczęśliwie prowadzi!

Wojewoda wyszedł z namiotu jak upojony, odrodzon, oczyszczonym się czując, innym wcale, niż tu wchodził. Powietrze do oddychania zdało mu się lżejszym.

O krok od progu czekała nań niespokojna żona. Podeszedł ku niej i objąwszy rękami całować począł z rozrzewnieniem wdzięcznym.

— Bóg płąć! — szepnęła — tobem to winien, wierna moja, pocziwa Halko. Stało się, jakoś ty u Boga wymodliła, i dobrze się stało.

— Wracasz tam? — zapytała wojewodzina, widząc, że chciał iść i oczyma koni szukał.

— Muszę natychmiast — rzekł krótko wojewoda. — Mam rozkazanie pańskie i tam



najpotrzebniejszy jestem.

— A ja? — zapytała nieśmiało żona. Wincz ręce opuścił, zamyślił się.

— Nie, teraz do naszego obozu wziąć cię nie mogę. Do domu wracać niebezpieczno. Któż wie, jakiej zemsty i kto na mnie szukać zechce? Musisz tu zostać.

— Do klasztoru?... — spytała Halka.

— Alboż ci psi klasztory szanują — wyrwało się wojewodzie. — Nie, zostań, gdzieś była.

Połączmy się wkrótce, król ci opiekę da. Kto się opiekował tobą? — spytał w końcu.

— Wielu dla mnie było pomocą — odparła wojewodzina — a najlepszym przyjacielem Florian Szary ze Surdęgi, ten, co ma moją powinowatą za sobą.

— Szary? Ten u mnie bodaj w Pomorzanach od Hebdy posłem był? Takli? Nie mówił o tym?

— On jest, on.

Wojewoda się obejrzał.

— Gdzież go szukać? — rzekł.

Wojewodzina zwróciła się, czując, że ten opiekun niedaleko być musiał, bo on ją z jednym z Nałęczów do męża wodził. W istocie Florian stał o kroków kilka. Wincz podszedł ku niemu, gdy go wskazała.

— Żonę wam w opiekę oddaję — odezwał się, rękę doń wyciągając. — Bóg da, kiedyś wszystko dobro odwdzięczę.

Florian skłonił głowę, dając znać, że przyjmuje, co mu powierzono.

— O wdzięczności to tam nie ma co mówić — odparł rażno. — Czyni się, co człowiek

powinien nie dla niej, a dla miłości bożej i ludzi. Nie troskajcie się o panią waszą. Strzec jej będziemy, a teraz chcecie być u siebie pod namiotem, nim Niemcy się pobudzą, jedźmy. Spieszyć trzeba!

Żona rzuciła się Winczowi na szyję i tak długo trzymała go w uścisku, aż się z niego na

ponowne napomnienie Floriana sam wyrwać musiał. Natychmiast we trzech siedli na świeże konie i kłusem popędzili ku lasowi.

Nocy jeszcze stało dosyć na przebycie drogi przed porankiem, lecz do obozu ostrożnie się zbliżyć było potrzeba, ażeby Niemcy wycieczki tej nie wyszpiewowali. Szło teraz wojewodzie o to, aby najmniejszego nie ściągnąć podejrzania. Mściwy człek równie pragnął się odpłacić za

lekceważenie i pogardę Krzyżakom, jak wprzód na królu chciał mścić się upokorzenia swego.

Dusza mu się radowała na tę myśl, iż dumnych mnichów rzezać i gnieść będzie bez litości. Dla króla, który się tak łaskawym dlań okazał i przyjął go jak marnotrawnego syna z miłością ojcowską, wdzięcznością pałał. Nie upokorzył go on, nie poniżył, przytulił owszem. Wszystko więc zatrzeć się mogło, a Dobek zuchwały miał się przekonać, że wojewoda Nałęczów nie zgubił i nie zbezczescił.

Znowu przyszłość lepsza uśmiechła się wojewodzie, ale ciężkie jeszcze przejść musiał koleje, nimby dobił się do celu.

W tych myślach, milcząc, przejechał las ze swymi towarzyszami. Wyjechali na równinę,

wśród której z dala pod miastem obóz się rozpościerał. Noc była jeszcze, lecz od strony wschodu niebo zaczynało przybierać tę barwę płową, która poprzedza świtanie. W dolinie ognisk jeszcze widać nie było, ruchu nie słyhać. Konie pasły się na łące, a ciury nade dniem spały mocniej jeszcze, tak że przejeżdżający minęli ich nie postrzeżeni. Szary zatrzymał się tu i wojewodę pożegnał. Dalej nie był mu już potrzebnym.

— Pomnij, przyjacielu, com ci zwierzył — szepnął Wincz.

— Spokojni bądźcie, to sprawa sumienia — rzekł zawracając Florian.

Wjazd do obozu skutkiem pospiechu i nieuwagi nie obszedł się bez wypadku. Wojewoda,

zapędziwszy się trochę za daleko na prawo, zamiast wprost wjechać między swoich, znalazł się wśród krzyżackich namiotów. Straże około nich ospałe krążyły. Poskoczył zaraz Niemiec i za udegi konia mu pochwycił.

— *Wer da?*

Towarzysz wojewody i on sam poczęli po polsku łajać, co sprawę pogorszyło. Wszczęła się

wrzawa, wojewody znać nie chciano, Niemiec uzdy konia jego nie puszczał i z mieczem się nań porywał. W namiotach pobudzili się inni i przybiegali. Otoczono ich kołem. Cały niemal obóz zatrzwożony się zrywał, a marszałek Teodoryk, który przede dniem wstawał i już we zbroi był, nadbiegł z dwoma swymi kompanami.

Wojewoda z dala już począł doń wołać z wymówkami i skargą na jego strażę, że znać nie chcieli, kto był. Na twarzy Teodoryka widać było pewne zdumienie i nieufność.

— A gdzieście po nocy bywali? — odezwał się.

— Obóz przecież mój musiałem obejrzeć, aby się nieporządki nie działy. Ludzi mi co noc ubijają.

Marszałek podjechał ku niemu. Zaczynało dzień z wolna, wpatrywał się w wojewodę, marszczył brwi.

Podjechali tak razem ku przodowi obozu, gdzie namiot czerwony stał i ludzie się już kręcili, a ogniska zapalały. Marszałek to milczał, to patrzył z natężeniem na Wincza i na konia jego, po którym poznać było można, iż nie małą objazdkę około obozu odbył, ale dość długim biegiem był zhasany.

Przed namiotem zsiadłszy Teodoryk zaprosił do siebie wojewodę, który konia oddał i razem z nim wszedł do pustej teraz sali, w której tylko stół wczorajszy z obrusem pomiętym i

zastawionymi na nim kuflami widać było. Marszałek, względniejszy niż zwykle, wprowadził do swej sypialni wojewodę. Tu jeszcze lampka płonęła nocna przed obrazem złocistym Matki Boskiej.

Usiedli.

— Musieliście poza obóz robić wycieczkę — spytał, bystro nań spoglądając, marszałek — bo koń wasz dobrze był zmęczony.

Wojewoda ramionami poruszył.

— Tak jest — rzekł on — nie mylicie się. Od wczoraj niespokojny byłem. Doniesiono mi o królu krakowskim w bliskości, a jeżeli kto, to ja niespodzianej jego napaści się lękam.

— I mnie o nim donoszono — przerwał żywo Teodoryk — wiecie co więcej?

— Chciałem się lepiej wywiedzieć i rozpytać — mówił Wincz. — Wasi Niemcy z naszym ludem rady sobie nie dadzą i z nich język niedobry. Napłoszą chłopą, to im prawi, co ślina do ust przyniesie.

— Cóżście się dowiedzieli? — coraz niespokojniej badał Teodoryk.

— Przynajmniej wiem na pewno — dokończył wojewoda — że tak prędko się nie ma czego

obawiać. Łokieć, zasłyszawszy o waszej sile, rzucił się w stronę i ruszył w lasy. O wydaniu bitwy ani myśli.

Z wlepionymi w mówiącego oczyma, jak by był chciał zbadać go do głębi duszy, słuchał Teodoryk. Wincz spokojnie i powoli ciągnął dalej.

— Obawy nie ma żadnej, dlatego też jeździł aż do osady znanej mi w lesie, abym języka dostał.

— Ja — przerwał Teodoryk — rad bym się wreszcie spotkał z nim i pobił go. A gdyby się udało obu wziąć, bo słyszę i syn z nim jest razem.

Wincz głową poruszył.

— Czy syn jest z nim, nie wiem — rzekł — ale że go w bitwie nie będzie, to pewna.

Choćby on chciał, ojciec go nie puści. Osłania go i strzeże, bo to jedyna rodu nadzieja.

Marszałek przeszedł się po namiocie.

— W którą się król udał stronę? — zapytał.

— Ludzie dobrze nie wiedzą, bo on ostrożny jest — mówił Wincz. — Lecz z pewnością z dala od nas trzymać się będzie. Siłę ma za małą, mierzyć się z wami nie chce.

— Dlatego ja bym właśnie rad się z nim spotkać — zakończył marszałek.

Rozmowa przerwana została wejściem komtura elbląskiego, który, z ukosa na wojewodę spojrzawszy, coś szepnął Teodorykowi i oddalił się.

— Na waszych niesfornych ludzi są skargi nieustanne — odezwał się po wyjściu jego marszałek.

— Ja też skarżyć bym się powinien, ale że próżno pono domagać się u was sprawiedliwości, milczę — rzekł wojewoda. — Obchodzicie się z nami gorzej jak z najemnikami.

Teodoryk zwrócił się doń i słuchał, wpatrując się znów pilno.

— Z obu stron nam trudno — rzekł — utrzymać ład między żołnierzem, co dawniej bić się był nawykł z tymi, z którymi dziś idzie razem.

Wojewoda westchnął i wstał, pokłonił się Teodorykowi, który długo za nim patrzył, i wyszedł.

W chwilę potem komtur elbląski powrócił powołany.

— Nocą jeździł za obóz — rzekł marszałek żywo. — Powiada, że śledził obroty Łoktka, że języka szukał. Podejrzana rzecz...

Komtur nie zdawał się dzielić tego przekonania i pogardliwie dodał:

— Nie może nic, choćby chciał...

— Zbiec mi z ludźmi i skryć się w lasy gotów — odezwał się Teodoryk. — On jak on, ale jego żołnierz szemrze, klótnie nieustanne, wiem, że zburzeni są bardzo.

— W najgorszym razie — odparł komtur — jeśli się ruszą, otoczmy ich i łatwo się pozbędziem.

Marszałek głową począł okazywać, iż tego nie chciał.

— Wy wiecie — rzekł — króla Jana musimy poszanować i nie narażać mu się. Znacie go:

ma rycerskie swe fantazje, nie lubi, gdy naraz wiele ludzi pada ofiarą. Pamiętacie, jak nam kilka tysięcy pogan chrzcić kazał, gdyśmy ich w pień wyciąć chcieli. Zowie się królem polskim; gdybyśmy ten oddział, co się niby wojskiem zowie, byli zmuszeni...

— A! — odparł elbląski — znacie króla Jana i mówicie to? W najgorszym razie ofiarą grzywien zgodę byśmy przywrócili.

— I grzywien szkoda — odezwał się marszałek. — Musimy wykupić Pomorze, opłacać najemnego żołnierza, żywić i obdarzać gości.

— Skarbiec Zakonu, dzięki Bogu, niepróżny! — dodał komtur.

— Na wojewodę każcie mieć oko — począł po chwili Teodoryk. — Nie wierzę mu, źle z oczów tego człowieka patrzy, a z tego, co zyskał, rad być nie może. Zlećcie obożnym, aby ich zawsze w pośrodek brali — zakończył marszałek. — Bezpieczniej tak będzie.

Rozeszli się, gdyż dzień począł być wielki.

Wojewoda w namiocie swym rzucił się na posłanie; choć myśli mu głowę oplotły ciężkie, mimo woli usnął twardo.

Krzyżacy nie ruszali dnia tego, bo i nie wiedzieli, gdzie się zwrócić, splądrowawszy już znaczną

przestrzeń kraju. Celem ich teraz było króla, o którym słyszeli ciągle, o którym im to tu, to owdzie opowiadano, spotkać i w walnej bitwie pokonać. Szukali go, znaleźć nie mogąc, a czując, że szedł za nimi. Gdy o nim oznajmiono, zwracali się na wskazane okolice i zastawali tylko ślady obozu z pogaśłymi ogniskami.

Dzień ten cały zszedł na wysyłaniu oddziałów w różne strony na zwiady, na wycieczkach po wsiach, które jeszcze ocalały.

Szalał najemnik krzyżacki w tak nielitościwy i barbarzyński sposób, iż historia zapisała tę wyprawę ich na nieszczęśliwą ziemię naszą krwawymi głoskami.

Komtur elbląski, gdy przy zdobyciu Sieradzia wchodził do miasta, wedle obyczaju nie

przepuszczając nikomu, przeor zakonu dominikanów, który wprzód w Elblągu był i znał dobrze niecnego Hermana, padł na kolana przed nim, błagając go, aby niewinnych ludzi mordować nie kazał, klasztor i kościół ich od grabieży ocalił, dokąd ludzi się wielu pod opiekę Krzyża tuliło.

— Oszczędź domy boże! — wołał ze łzami.

Komtur z konia spojrział szyderczo na biednego mnicha i, urągając mu się, krzyknął zepsutym językiem Prusaków.

— *Ne prest!* (Nie rozumiem).

Wpadli potem na kościół i klasztor, który, poczynając od ołtarzy, złupili ze szczętem.

Dominikanów w kościele odarto ze sukien do naga, kobiety i mężczyzn poobrażano, zabijano, pastwiono się. Komtur patrzył na to, nie hamując wcale tłuszczu swej.

Można sobie wystawić, co się działo naówczas z polskim oddziałem, który na to patrzeć musiał i być tych zbrodni niejako współwinowajcą. Z każdym też dniem rosła w Nałęczach nienawiść do Krzyżaków i do wojewody, który ich wydał w te ręce niewinną krwią skalane.

Wincz potrzebował choć isierkę nadziei dać swoim, aby mu się nie rozbiegali, gdyż co

dzień liczba się zmniejszała. Myślał, w jaki sposób to mógł uczynić, gdy, zbudziwszy się ze snu, ujrzał Włostka przed sobą, oznajmującego mu z obawą i wahaniem, że Dobka w obozie ujęto. Nic lepiej na rękę nie mogło przypaść wojewodzie.

— Przywieść go do mnie — rzekł — a niech ludzie bardzo o tym nie głoszą.

Z dumą i obojętnością na los, jaki go mógł spotkać, Dobek przyprorowadzony do namiotu wszedł i stanął milczący. Po wczorajszej rozmowie wieczornej mówić już nie miał co.

Gruchnęła wieść po obozie, że Dobka pochwycono, gdy ludzi do ucieczki namawiał. Wielu przyjaciół jego kupić się zaczęło groźnie, lękając jakiegoś sądu i okrucieństwa. Mruczając stali długo gromadą u namiotu, u którego Włostek straż odprawiał, nikogo nie chcąc dopuścić.

Co chwila spodziewano się rozmowie końca i ukazania się gniewnego wojewody.

Tymczasem Dobek pozostał z nim razem tak długo, iż przyjaciele jego w końcu, znużeni oczekiwaniem, rozchodzić się zaczęli.

Późno już nad wieczór Dobek pokazał się znowu, swobodny, pomiędzy swymi. Spojrzeli nań, milczący był, lecz spokojny i niemal wesół. Ci, którzy ochotę mieli razem z nim uchodzić, otoczyli go, naciskając.

— Wiecie co? — odparł im. — Zamiast co wy ze mną byście iść mieli, namyśliłem się.

Zostanę z wami, poczekamy. Mnie się zda, że tu dożyjemy lepszego czasu.

Zdumieni patrzali nań — pomrukiwał jednym okiem.

— Już to wierzajcie mi — dodał — że ja na plewę się nie dam wziąć. Trzeba do czasu znieść tu biedę i upokorzenie, aby się nam one sownie opłaciły...

Rękę na piersiach położył.

— Zawierzcie mi, będzie lepiej! Czekać — hasło! Ja z wami. Macie zakładnika...

Chcieli go dopytywać, zamknął im usta.

— Gdy pora przyjdzie, będę gadał — rzekł. — Teraz nie czas. I na tym się skończyło.

Nałęczę zbiegać przestali.

## VI

Szły zastępy krzyżackie po Kujawach jak błędne, szukając, co by jeszcze łupić i palić mogły. Dawano im znać o Łoktku to z boku, to za nimi, to w pobliżu, to koło Radziejowa, to koło Brzeźcia.

Dwudziestego szóstego września, jesiennym wieczorem, nadciągnął marszałek znużony i

wojsko ociężałe pod Blewo, maleńką osadę, królewską, którą też Płowcami zwano, bo wieść niosła, że tam niegdyś Połowców w niewolę pobranych osadzono na królewskiej ziemi. Z jeńców tych zbiegła znaczniejsza część i kilka chat zaledwie leżało na równinie nagiej.

Marszałek Teodoryk, bacząc, że tu się wszystkie oddziały wygodnie położyć mogą, kazał

przy Blewie obóz rozkładać. Mila była tylko od miasteczka Radziejowa, gdzie by jego ludzie woleli byli stać, aby i osadę zaskoczył i lepszy znaleźć przytułek. Tu, w dzikim polu, gdzie nigdzie nawet drzewiny nie było, a i o wodę trudno dla tylu koni — szemrano na niewygodne legowisko. Lecz z Teodorykiem się spierać nawet wielki komtur nie śmiał.

Zygard, komtur koprzywnicki, gdy się już rozkładać miano, syknął, obejrzawszy się, i do marszałka pobiegł konno.

— Mamyż tu noc spędzić na tej pustyni, w nizinie mokrej, gdzie ani dobrej paszy, ni wody nie ma?

— Staniemy tu, każcie rozbijać namioty — odparł marszałek zachmurzony. — Mam

powody, dla których zebrać tu muszę nasze siły. Ottona z Luterberga czekam i tych, co na Brześć poszli; nie trzeba się rozpraszać. Chociaż mi wojewoda ręczy, że król daleko i że o nas nie myśli a uchodzi — ja niezupełnie temu wierzę. Oddziały nasze porozdzielane. Tu się zgromadzić potrzeba.

Spojrzał marszałek na mówiącego i wejrzeniem tym pokazał mu, że rozkaz nie może być zmieniony. Zygard zamilkł.

— Zdaje mi się, że obawa co do króla krakowskiego próżna — odparł cicho, długo

pomilczawszy. — Rad by uniknąć spotkania, to jawna rzecz, a musi wiedzieć, że i król Jan nareście ciągnie, aby Poznań opanować. Nasi bracia pomęczeni, a tu im stać nie będzie spoczynkiem.

Teodoryk ramionami obojętnie poruszył i powtórzył.

— Dajcie rozkaz, aby się tu oddziały ściągały.

Nie mogło być już sporu o to. Zygard konia zawrócił i pojechał z wolna do swoich braci,

którzy szemrali jak on na niewygodny nocleg w mokrej nizinie, nawet chrustu na ogniska nie mogącej im dostarczyć.

Starszyzna krzyżacka, bezkarnymi zagony po kraju polskim uzuchwalona, nigdzie dotąd nie spotykająca nieprzyjaciela, przestała już wierzyć w niego.

Opodal trochę od wielkiego namiotu, który pospiesznie rozpinano, bijąc koły mające go

utrzymywać, na koniach stali Zygard koprzywnicki, Herman elbląski komtur, Albert Ore gdański, kilku gości znaczniejszych komturów, kilku grafów należących do Zakonu. Składali oni kółko nawykłe czasu tej wojny zabawiać się razem, ucztować, polować i panować nad ludźmi.



Herman elbląski szczególnie był w chwilach szału żartobliwy i do okrucieństwa umiał

mięsząc dowcip cyniczny. Opowiadano o jego rozmaitych wykwintnych a przemyślnych sztukach w znęcaniu się nad pogany, bo co polskie, dla Krzyżaków za pogańskie stało.

Kółko to dobrych druhów już nieco łowami na ludzi, paleniem i ścinaniem było znużone.

Zapasy obozowe, z Torunia wzięte na wyprawę, wyczerpywały się, wino coraz było gorsze,

przyprawa pigmentu coraz mniej korzenna, kuchnia coraz bardziej zaniedbana. Jesień miała poranki chłodne i dnie słotne. Kraj stał wielką wygorzałą pustynią, ludzi nawet dla zabawy nie spotykali, wszyscy więc za tym głosowali, aby z łatwym a zupełnym zwycięstwem powracać do Torunia.

Twarze większej części dostojnych tych panów zasepione były, Herman poziewał, nudziło mu się.

Przybywający Zygard mrużąc doniósł, iż Teodoryk upiera się stać pod tą lichą osadą. Elbląski poruszył ramionami.

— Goniemy widmo jakieś — rzekł. — Królik ten mały nie ma najmniejszej ochoty spotkać

się z naszymi włócznikami, ani go widać, ani słyszeć. Polski nasz pan palatyn pierwszy by go zwąchał, bo się lęka dostać w jego ręce, a ten zaręcza i poprzysięga, iż w okolicy znowu go nie ma.

Po co my się jeszcze tu włóczemy?

Albert komtur gdański, figura bardzo dostojna, wielkiego rodu, wielkiej dumy, obejrzał się po równinie.

— Prawda, że tu miejsca dość, choćby na dwa razy tyle żołnierza, ile my go mamy — rzekł

— ale stać w tym błocie nie jest rzeczą wielce przyjemną.

— Marszałek rzekł! — skłaniając głowę trochę szydersko ozwał się Zygard.

— Ani ognia prędko naniecić nie będzie z czego — rzekł Albert — ani wody czystej tu dostać.

— Nie ma innego sposobu, tylko — rzekł elbląski — do tej wioski, która już pusta być musi lub za chwilę nią być powinna, słać i kazać te chałupy rozbierać.

Wioska w istocie, widna w pewnym oddaleniu, tak wyglądała nędznie, iż ledwie się z niej

opału było można spodziewać. Z wyjątkiem chaty sołtysa reszta na pół siedziała w ziemi. Oddział

krzyżacki już się tam kręcił, szukając ofiar, ale ludność zbiegła wcześniej. Dwóch bezsilnych starców znaleźli, jednego w lepiance na barłogu, drugiego na przyźbie siedzącego z tą obojętnością na śmierć,

jaką późny wiek daje. Zabił jednego żołdak, wbiwszy mu w serce włócznię, drugiego na płocie uwiązano rozkrzyżowanego, aby dogorywał powoli. Były to zwykłe igraszki żołdaków.

Młodzi skarżyli się, że dla lepszej zabawy niewiast nie znaleźli i... dzieci. Wieś była jak wymarła, ludzie w lesie, bydło i konie z nimi.

Kupka naszych dostojnych rycerzy stała jeszcze na małym wzgórku, czekając rozbicia

namiotów, gdy w pewnym oddaleniu polski oddział wojewody się ukazał, szukając tuż miejsca dla siebie. Był on przedmiotem ciągłego Niemców szyderstwa. Lżejszy uzbrojeniem, nieco rozprężony pochodami, mniej karny, stawiał się inaczej, choć mu na bucie nie zbywało. Wedle pojęć

niemieckich nie był to żołnierz, jakim go oni mieć chcieli. Przodem, z otoczeniem swym, dosyć strojnie i lśniąc jechał wojewoda, u boku jego Dobek i Włostek. Wincz, który przez czas dosyć długi miał oblicze osowiałe i smutne, teraz spoglądał różnie, śmiało i czoło niósł do góry.

Zygard to postrzegł.

— Patrzcie no — szepnął — jak odżył Polak, upewniwszy się, że się z królem nie spotka!

Dopiero od dni niewielu w oczy patrzy śmielej.

— Nie cierpię człowieka tego — odezwał się elbląski. — Nie zawinił mi nic, ale jak dla psa kota sam zapach i kształt jest odrażliwy, tak dla mnie każdego Polaka. Tego zaś więcej niż innych.

Rozśmieli się inni.

— I ja ich nie znoszę — dodał gdański. — Barbarzyńcy są, a chrześcijan udają. Wolę już

Prusaków.

Wojsko polskie szło luźno, spoglądając na Krzyżaków z ukosa. Milczano w szeregach, lecz

było to jakieś znaczące i wymowne milczenie ludzi zmuszających się do krycia tego, co się w duszy ich działo. Milczeli — ale twarze ich mówiły. Ktokolwiek z nich sądził, że nie będzie postrzeżony, oczyma i usty okazywał wstręt na widok Niemców, posunięty do wybuchu... Starszyzna hamowała surowymi wejrzeniami i mało znaczącymi ruchami, nakazującymi milczenie.

Nie mając nic do czynienia, Krzyżacy jakby przegląd sprawiali przechodzącego oddziału.

Zwrócili się ku niemu twarzami, uśmiechali się, szeptali, pokazywali sobie palcami odartszych i mniej pozornych, u których często całe zbroi nie było i oręż bardzo lichy.

Komturowi elbląskiemu, który, twarz zawsze układając poważną, drwić lubił, zachciało się zaczepić Wincza, który unikał wejrzenia na stojących gromadką rycerzy. Nie mógł wytrzymać i głosem tym, w którego powadze pozornej przebrzmiewało szyderstwo, zawołał:

— Pozdrawiam palatyna!

Wincz skłonił głowę bez odpowiedzi i chciał iść dalej.

— O króliku nic nie słyhać? — zagadnął Herman.

— Nie ma go — odparł wojewoda — możemy spać spokojnie.

— Nigdy on nam snu nie psuł — rozśmiał się Herman — lecz zawsze bezpieczniej jest wiedzieć, że nam nie przyjdzie dać — dzień dobry.

Słowa te wystosowane do wojewody usłyszał dobrze Wincz i zatrzymał się nieco. W oczach mu zaświecił ognik jakiś, błysk, niby także szyderski.

— Juścić tak potężne wojsko jak to, które marszałek wie — rzekł — nie ma się co lękać tego krakowskiego pana — to pewne. Jednakże ten człeczek czasem bywał szczęśliwy, a zawsze jest zręczny. Nie można go lekceważyć.

— Szczególniej wy, co go lepiej znacie, nie możecie, jak my, niewiele się oń troszczyć — odparł elbląski. — Myśmy o nim pochlebnego przekonania nie nabrali. Uchodzić umie — to prawda.

— A w wojnie i to sztuka — odezwał się wojewoda.

— Niewiele czci przynosząca — dodał komtur gdański. Wojewoda spojrział dokoła i zagryzł usta.

Dotąd milczący stary Zakonu rycerz Maks von Hohlburg, który osobistym męstwem się wstawił, mruknął jakby mimowolnie:

— Nie chciałbym ja teraz się z nim potykać. Żołnierz dzielny i wódz przebiegły, a nasze rycerstwo, znużone włóczęgą, dobywaniem miastek, prawdę rzec i łupieżą — ociężałe jest.

Zamknięto mu usta wnet, bo nie chciano, by wojewoda to usłyszał.

Wincz, którego część oddziału już przeciągnęła, powlókł się za nim.

— Co wy mówicie! — ofuknął go elbląski. — Nasz żołnierz znużony i znudzony więcej

zawsze wart od ich świeżego. Nigdy i w żadnym razie on nam niestraszny. Nigdy! Patrzyliście na ten oddział wojewody. Tacy oni wszyscy... Lud jak lud, ale ani oręża, ani sztuki wojskowej nie mają.

Maks siwą brodę pogładził.

— Nie należy — dodał — nigdy nieprzyjaciela lekceważyć. Herman rozśmiał się i splunął.

— W jednym tylko razie straszni nam być mogą, gdyby ich dziesięć razy tyle było, co nas.

Litwa, Prusacy, oni tylko kupą i nawałem złamać nas potrafią.

Maks coś zamruczał, wąsa zakąsił, sprzeczać się nie chciał.

Dokoła ruch powstał ogromny, wbijano drągi, rozciągano sznury, ustawiano żłoby dla koni, wozy wyprzęgano. Oboźni biegali, każdemu pułkowiznaczając granice. Ciury z niezbyt odległej wsi wlokły już drzewo z chatek, chrust i porozrębywane sprzęty na ognisko.

Wtem postać się wśród obozu ukazała, która starszyny zwróciła uwagę. Był to żebrak z

krzywą głową i złamanym grzbietem, który z trudnością, podnosząc nieco oczy, rozglądał się wokoło i włókł nogami, idąc z ciężkością wielką.

Skąd się on tu wziął i jak go puszczono bezkarnie, jak uszedł napaści i żołnierskiego

okrucieństwa? Trudno pojąć było, gdyż z sukni widać było, że do polskiego plemienia należał — a temu nie przebaczano. Kalectwo chyba może dawało mu bezkarnie tak błądzić. Zdawał się nie lękać wcale tych obcych twarzy i mowy i z nieświadomością niebezpieczeństwa rękę kiedy

niekiedy wyciągał. Stanął, szukał czegoś oczyma. Zobaczył namiot czerwony, którego ściany właśnie się rozwijały, a przy nim obok już wiała wetknięta w ziemię chorągiew Zakonu. Skierował

się w tę stronę, lecz powolnie bardzo.

— To Zbik — szepnął po cichu komtur elbląski. — Inny by się tu nie odważył. Służy nam...

Popatrzyli nań. Zbik, ujrawszy marszałka, który z kompanami stał przed namiotem,

podszedł ku niemu.

Jeden z towarzyszków Teodoryka na dany przezeń znak rzucił mu jałmużnę. Można się było

domyślać z dala, iż słów kilka zamieniono pospiesznie.

żebrak, mrużąc i ciągle głowę nosząc skrzywioną, powłókł się na miejsce puste nie opodal, kląkł na ziemi i z trudnością położył. Namioty stały tak, że pomiędzy nimi małe uliczki

pozostawiano. Jedna z nich wprost wiodła do oddziału polskiego, tak że żebrak mógł być przez nich widziany.

Ciemniało powoli, rycerze rozjeżdżali się z wolna każdy do swojego namiotu, aby zbroje

złożyć i odetchnąć. Na żebraka nie patrzył nikt.

Ciury zajęte były rozpalaniem ognia i gospodarstwem koło wozów. Zbik, poleżawszy na

ziemi, podniósł się z wolna, ostrożnie i, na kij sparszszy, iść zaczął. Zdawało się, że błądzi lub niedowidzi, snuł się tu i owdzie, powracał. Jakby przypadkiem znalazł się w ciasnej uliczce i w niej zniknął.

Obóz polski dnia tego leżał na skraju. Stanowił on piąty oddział wojska, którego oprócz

niego cztery hufce były. Wojewoda wyznaczonego sobie bagnistego gruntu nie przyjął, z oboźnymi się skłócił i nieco opodal położył, zgromiwszy ich, że w błocie ludzi kłaść nie będzie.

Mały namiot niepoczesny już był gotów, lecz wojewoda na tę noc nic z wozów zdejmować

nie kazał, nic dla siebie nie znosić. Rzucono garść słomy dla niego. Niecierpliwy był, ognia kłaść wzbronił, zbroi zdejmować zakazał, chodził, nie zdając się potrzebować spoczynku.

Dobek siedział tuż na siodle z konia zdjętym, Włostek snuł się ciągle, to do namiotów

zaglądając, to do ludzi swych dochodząc. Wojewoda też, w namiocie usiedzieć nie mogąc,

nieustannie podnosił ściankę u wnijscia i wyglądał.

Zbik się tu przywłókł powoli, głowę nieco podniósł, wpatrywał długo i u namiotu

przystanął. Przysunął się tak blisko, iż gdy wojewoda znowu wyrzwał, oko w oko się z nim spotkał.

Znali się pewnie, gdyż ani wojewoda zbyt się nie zadziwił zobaczywszy go, ani on się uląkł

groźnego oblicza pańskiego.

Chwilkę milczeli. Wincz popatrzył się w dal i dał mu znak, by wszedł do namiotu.

Znalazłszy się tu, Zbik z krzywego stał się prostym i głowa na karku znalazła w swym

miejscu. Ręką się skłonił do kolan wojewodzie.

— Widział cię marszałek? — spytał Wincz.

— A jakże — odparł Zbik — i jałmużnę mi dał. Przecież ja mu służę.

To mówiąc, uśmiechnął się dziko.

— Ale komu ja służę dziś — dodał — albo ja wiem? Służyłem wam, kazaliście mi służyć

im... Co dalej — albo wiem? Wam winienem życie, was słucham. Wlepił oczy w wojewodę.

— Marszałek pytał cię? — rzekł krótko i niecierpliwie Wincz.

— Pytał.

— Coś mu powiedział?

— Jakeście wczoraj przykazali — rzekł żebrak. — Słucham przykazania — nie wiem, komu służyć.

Rozśmiał się niby głupkowato i powtórzył:

— Wam winienem życie, przysiągłem za to służyć. Wlepił oczy w wojewodę, który pochylił się ku niemu.

— Jak daleko są? — spytał.

— Tuż, w lesie — rzekł żebrak.

— Straże postawili?

— A jakże. Nocą albo nad ranem przyjdzie mgła pewnie — mówił Zbik obojętnym głosem.

— Człowieka o krok dojrzeć nie będzie można.

— A ty drogę znajdziesz po ciemku? — spytał wojewoda.

— Ja? — rozśmiał się swym głosem cienkim i piskliwym żebrak. — Dokąd?

— Do nich.

— Niewielkiego na to rozumu trzeba — rzekł żebrak. — Jam tu swój między Radziejowem a Brześciem.

Westchnął ciężko i natychmiast oczy podnosząc jak wierny pies, co czeka skinienia, wlepił je w wojewodę.

— Dokąd, panku? — spytał cicho. — Do nich? Zaraz?

— Nocą, nie czekając dnia! Rozumiesz?

— Z czym?

Wojewoda mu się nachylił do ucha.

— Z czym? — począł żywo i niecierpliwie, poruszając rękami. — Powiesz: teraz albo

nigdy. Teraz, jutro! Część ich odeszła do Brześcia, część nie dociągnęła do noclegu. Ci, co są, ocieżali, ospali, a nie spodziewają się wcale...

Zbik słuchał tych słów z uwagą wielką, powtarzając je sobie po cichu, oczy wytrzeszczając, jak by wysiłek wielki czynił dla spamiętania wszystkiego.

Wojewoda raz jeszcze ponowił zalecenie:

— Jutro o świtaniu!

Zbik w rękę go pocałował żywo i natychmiast skurczył się, skrzywił, głowę przygiął, kaleką wysunął się z namiotu i zniknął.

Noc nadchodziła. Jak przepowiedział żebrak, mgła gęsta zsuwać się zaczęła na ziemię,

wilgotna, przejmująca, nasycona tą wonią właściwą, którą jesienne tumany z sobą przynoszą, nie wiadomo, z ziemi ją biorąc czy z obłoków.

Dymy porozpalanych ogni, przyciśnięte jej ciężarem, padały też ku ziemi i rozsiadły się jak szare opony nad obozem. Najmniejszy powiew wiatru nie poruszał tej atmosfery zsiadłej, mokrej, wygryzającej oczy, oddech uciskającej.

Z obozu polskiego nie widać było Niemców, Krzyżacy nie mogli też dostrzec ludzi

wojewody. Stamtąd od żołdaków niemieckich dolatywały okrzyki zwykłe, dokoła wojewody cicho szło jako nigdy. Wszystek lud siedział jakiś zachmurzony i niespokojny.

Wojewoda szepnął coś Dobkowi. Ten powstał i skierował się ku namiotom starszyny

Nałęczów. Pod jednym siedzieli Remisz, Ogon, Żegota i wszyscy ci, których widzieliśmy już zniechęconych do wojewody. Teraz dziwna zgoda panowała w tym kółku. Z małej beczułki

nalewali sobie każdy do swojego rogowego lub drewnianego, srebrnego lub mosiężnego kubka, popijali i szeptali cicho, jak by się lękali sami siebie. Gdy zobaczyli wchodzącego Dobka, oczy wszystkich zwróciły się ku niemu. Głową dał znak im jakiś.

— Pewno? — zapytał Siłacz.

— Pewno! — rzekł Dobek.

Remisz zatarł ręce tak, jak gdyby się do użycia ich natychmiast sposobił.

— Do kata! Noc dzisiejsza będzie długa! — zawołał.

— Byle się nasi nie pospali — odparł Klimsz.

— Żaden oka nie zmruży, tak, ręczę — szepnął Remisz. —

Toż samo, co my, czują wszyscy... Ze skóry by powyłazili, tak im pilno!

Podniósł ręce do góry.

— Boże miłosierny! Boże mocny, Boże wielki! — zawołał. — Dajże nam dożyć chwili tej

i... i...

Nie dokończył.

— Byle król — rzekł Dobek — nie zawahał się tym razem. Bo ich już drugi raz, jak tu, nie złapiemy, a i mgła okrutna. Nie zobaczą go, aż im na kark usiądzie.

Remisz zatarł ręce znowu.

— Powtórzcie no rozkazanie — odezwał się Ogon — co wojewoda mówi?

— Pogotowiu być, a poczynać, nie spieszyć, aż król sam znak da, padając na nich.

— A jeśli we mgłę na nas padnie pierwszych? — rzekł Remisz zakłopotany.

— Nie może to być, bo wie, gdzie leżym, i dlatego wojewoda w dolinie się nie chciał mieścić, choć mu tam wyznaczono.

— Tak mi Boże dopomóż! — począł Remisz. — Życie bym dał, żebym mógł komturowi elbląskiemu za sieradzki klasztor i kościół zapłacić!

Wzdrygnął się cały. Milczeli inni.

Dobek spojrział na młodego, w kącie na ziemi siedzącego Nałęczu i rzekł:

— Idź od namiotu do namiotu, patrz, co robią. Napominaj, by zbroi nikt się ściągnąć nie ważył. Koni nie puszczać, siodeł nie zdejmować!

— Nuż podpatrzą, żeśmy tak czujni? — zapytał Ogon.

— Dziś nie zobaczą nic. Pilno im się wylegać, a nie obawiają się niczego — rzekł Dobek.

Postał jednak chwilę milczący.

— Kto z was trochę szwargocze, a o Niemca się otrzeć nie boi? — zapytał.

Wstał drugi młokos, któremu się ledwie wąs sypał, syn Remisza, którego paliła gorączka



okrutna.

— Ja! — rzekł.

— Idź ku namiotowi marszałka i wielkiego komtura, otwórz oczy i patrz, co robią, czy piją dobrze, czy zbroje zdjęli, czy czeladź już napita, a wracaj!

Sando chwycił hełm i wysunął się. Starsi siedzieli.

Oczekiwanie niecierpliwe chwile dłuży. Wieczór pełził na żółwiu, czas zdawał się nieprzeżyty. Patrzali na siebie, to jeden, to drugi wstał, przeszedł się, usiadł, zerwał znowu i wzdychał. Uchylali zasłonę, wpatrując się w ciemności. Noc była czarna, a dla mgły gęstej o krok ginęło wszystko. W tej części obozu cisza śmierci, a dalej głuche szmery i wrzawa...

Czekano powrotu Sławka i Sanda.

Dobek spojrział na miecz swój wiszący u pasa, dobył go i przy lampce ostrza popróbował.

Drudzy, zobaczywszy to, rzucili się też do swoich. Rzadko któremu wyrwało się słowo... szeptano niewyraźnie...

— W obozie koguty nawet nie zapieją — rzekł Remisz — a w Blewie pono nie tylko koguta, ale i szczura nie ma. Jak tu człek pozna, gdy się ranek zbliży?

Pierwszy Sando powrócił — oczy mu się śmiały.

— U marszałka uczują na zabój — rzekł. — Dopiero siedli jeść, a wypili już dosyć.

Słysząc to z pieśni, bo póki trzeźwi, śpiewają pobożne, a już teraz poczęli swawolne. Za każdą prześpiwką bucha śmiech okrutny...

Spojrzeli po sobie wszyscy.

— A u innych spokojnie? — pytał Dobek.

— Wszędzie wesoło — odparł Sando.

— Im dłużej czuwać będą, tym na dzień lepiej zasną — dodał Remisz.

Wbiegł Sławek. Zwrócono się ku niemu. Ręką naprzód pokazał, że wszystko jest, jak trzeba.

— Nikt się nawet nie rozpiął — rzekł — a wszystkim tak pilno, jak nam, dnia doczekać...

Siedzą po namiotach i pod wozami jak na czatach, każdy miecz trzymając w ręku.

Uśmiechnęli się ku sobie starsi.

— Jak się wam zda — zapytał Remisz — jestli już północ?

— Kto go dziś wie — rozśmiał się Ogon. — Ja z doświadczenia to znam, że dni w życiu

nierówne. Gdy człek chce skrócić, to się wyciągają, a gdy przedłużyć by rad, kurczą... Zaglądali do beczułki, aż ostatnią z niej kroplę wylał Klimsz. Remisz znalazł drugą pogotowiu, lecz nie wszyscy godzili się, by zajrzeć do niej.

— Z mętłą głową iść na bój niedobrze — odezwał się Dobek.

— Albo — albo — sprzeciwił się Remisz — czasem w boju trzeźwy nadto widzi, a lepiej ślepym być.

Poczęli nalewać po troszę, do ranka było daleko.

Ten i ów dobył suchego chleba i zawiędłego mięsa, ale z rozmową nie szło. Myśli wirowały około jednego: rychłoli przyjdzie ranek. Co który odsłonił namiot, aby noc zobaczyć, to go wnet zapuszczał. Ciemność była nieprzebita. Mgła gęstniała, choć ją nożem krajać.

Klimszowi się nudziło.

— Gdyby nam kto choć bajki powiadał — odezwał się. — To byśmy ich nie słuchali —

odparł Dobek. — We mnie jedno gada i ja to tylko słyszę: zemsta! zemsta!

— Ja bym gotów w kości grać — rozśmiał się Klimsz — aby tę noc jak przebyć.

Ruszyli wszyscy, ale Remisz rękę na tarcicze, co za stół służyła, położył.

— Niech Bóg uchowa! — zawołał. — Rychlej by się modlić! A toć to uroczysty dzień, jak wigilia przed świętem!

— Prawda — odparł Ogon — kości na inny czas! Uchyłili drobinę namiotu. Ciemno było i

cicho. Nawet od obozu krzyżackiego nie dochodziło już nic, oprócz ruchu koni przy złobach i szczekania psów, które Krzyżacy prowadzili z sobą.

Milczenie zaległo w namiocie. Oczekiwanie długie odrętwiało, lecz każdy lękał się

zamrużyć oka. I ci, co trochę opodal siedzieli, a mimo woli się zdrzemnęli, wstawali wnet, by się nie dać snem ująć. To jeden, to drugi zaglądał w podwórze, nie widząc nic.

— Noc bo się chyba nigdy nie skończy — zawołał zrozpaczony Remisz. — Jakem żyw,

nawet koło Godów takiej nocki nie pamiętam. Krzyżacy ją chyba dla siebie zrobili umyślnie...

Umilkł. Wszyscy nastawili uszy, Dobek szybko odgarnął opłotek u wnijscia. Z dala gdzieś coś słycać było, niby stapanie ciężkie w chmurach miękkich, niby stłumione toczenie się po ziemi... Nie myliło ich ucho, w głębi tej nocy ruszało się coś powolnie, ostrożnie, daleko... Ruch ten ustawał, milknął, ginął i wznawiał się...

Poruszyli się starsi.

— Sławek, po namiotach! Niech nie śpią, już coś słycać!

Sando i Sławek oba wybiegli.

W odsłoniętym namiotu otworze chyliły się głowy ciekawe, nasłuchując. Głuche owo tętnienie wznawiało się, lecz dnia ani brzasku, ani świtania na niebie widać nie było... Noc nie miała końca.

## VII

Dniało, lecz była noc jeszcze, z czarnych tylko ciemności się zmieniły na białe. W tej szarej oponie oko tak samo dojrzeć nic nie mogło, jak wprzódy w czarnej nic nie widziało. Dzień przychodził nie wiedzieć skąd, a mgła zdawała się coraz zsiadlejszą, a chłód przejmował do kości, wilgoć oblewała wszystko. Świat był mokry, jakby w wodzie zanurzony.

W polskim obozie zdawało się spać wszystko, lecz jedna powieka się nie zamknęła na chwilę. Niemcy ucztowali długo i spali twardo. Straże ich nawet posiadały na ziemi poobwijane w płaszcze i kamieniały znużeniem.

Ponad namiotem marszałka wielka chorągiew Zakonu wisiła także jak uśpiona, obmokła i znikł z niej ten krzyż, którym się urągała światu. Pokrajana w pasy czarne i białe wydawała się żalobnym proporcem zawieszonym nad grobem.

W dali ciągle coś słycać było, jak gdyby morze zbudzone szło zalewać ziemię. I huk ten, stłumiony tak właśnie jak fale, przestankami był przerywany.

Spali Niemcy — oprócz Teodoryka, który przed obrazem Najświętszej Panny się modlił.

Dwaj kompani stali u drzwi jego. Wstał wreście z klęcznika i płaszcz narzuciwszy na ramiona szedł przez pusty namiot wielki ku wnijsciu.

Ucho jego chwyciło ten szum fali, to toczenie się jakieś głuche. Staął, wyprostował się i poblądł. Odchylił wnijscie, słucał i oczy mu słupem stanęły...

W obozie o krok nic widać nie było, a na wpół mgłą obwinięte strażę najbliższe siedziały jak skamieniałe. Brwi mu się ściągnęły groźnie.

W tej chwili tętent powolny zaczął go dochodzić tak wyraźnie, iż stojącego kompana za ramię pochwycił.

— Pobudka! — krzyknął — Dzień! Śpi wszystko! Pobudkę uderzyć!

Wśród ciszy głos marszałka rozległ się głucho i stłumiony w powietrzu, które mu iść daleko nie dało, zgasł u progu.

Kompani biegli do straży.

W dolinie rżały konie i jakby szczękały oręż — skąd? czyje? swoje czy obce? —

marszałek rozeznac nie mógł. Uczuł w sercu trwogę i przeczucie jakiegoś, groźbę niebezpieczeństwa, w które nie wierzył dotąd. Widmo Łoktka stanęło mu przed oczyma.

Był niemal pewien, że on to nadciąga korzystając z mgły i ociążałości ludzi jego, długimi po kraju bezbronnym łupieżami znużonych i wysiłonych.

— Na koń! — zawołał chwytając za ramię w szarym płaszczu nadchodzącego półbrata

krzyżackiego Jurgę. — Na koń i w czwał za Ottonem Luterburgiem, aby mi w pomoc pospieszał!

Polacy nadciągają!

Jurga stanął zdumiony, gdyż nikt ich ani słyszał, ani widział. Przeczuł ich Teodoryk... Jak stał na pół ledwie i lekko uzbrojony, pierwszego konia, który mu się nastreczył, pochwycił i dosiadł. Był to wierzchowiec jednego ze straży obozowej, śpiącego pod namiotem.

Marszałek skoczył na siodło, a to było znakiem dla dwóch jego kompanów, którzy nigdy go

odstępować nie mieli prawa, by także, konie porwawszy, zdąжали za nim. Teodoryk popędził w tę stronę, z której go tętent dochodził najwyraźniej. Dzień coraz był pozornie jaśniejszy, ale na ziemi osiadająca mgła biała nie dawała nic widzieć o kilka kroków.

Przebił się marszałek przez namioty i wozy i odważnie puścił w dolinę. Tu stąpanie koni i chrzęst zbroi wyraźniej się słyszeć dawały. Ale na próżno wzrok wyteżał. Nigdzie żadnych przednich czat dostrzec nie mógł. Obawa o los oddziału, który by bez niego, straciwszy wodza, łatwo mógł się rozpręgnąć, nie dozwalała mu zbyt się posuwać daleko. Zwolnił kroku.

Wtem z gęstej mgły wynurzać się zaczęło kilku jeźdźców.

Zbrojni dobrze, w hełmach żelaznych, z lekkimi włóczniami w rękach, na koniach siatkami

żelaznymi okrytych, posuwali się z wolna, na pół jeszcze mgłą okryci. Dość było widoku ich dla marszałka, aby to, co w nim jako przeczucie się objawiło, stało się dlań rzeczywistością: Krakowski król podchodził do ich obozu!

Teodoryk zawrócił konia i pędem rzucił się nazad, a pierwszych namiotów dopadłszy, wołać począł głosem wielkim, rozpaczliwym:

— Na koń! Na koń!

Ludzie schwyceni wołaniem tym wśród snu wybiegali nie odziani z namiotów, straciwszy przytomność, chwytając i rzucając, co napadli. Starszyzna rychlej zbudzona uwijała się wśród obozu z podniesionymi mieczami, płazując opieszale, uderzając po namiotach, rozkazując trąbić i krzycząc:

— Do broni! Do koni!

Popłoch niewysłowiony w mgnieniu oka poruszył całym, przed chwilą jeszcze w głębokim śnie spoczywającym obozem. Nieprzyjaciela widać jeszcze nie było, lecz czuli go na karkach wszyscy.

Teodoryk, nie zsiadając z konia, biegał sam dokoła.

Rozkazał łańcuchami żelaznymi opasać obozowisko swoje, które pierwsze natarcie wstrzymać mogły, by dać czas rycerstwu uzbroić się i stanąć w szeregach.

Żołnierz, który tak długo miał do czynienia z ludem bezbronnym i nabrał zuchwałości

bezmiernej, schwycony niespodzianym niebezpieczeństwem, w części mu nie dowierzał, w części znalazł się wobec niego bezradnym. Odwykł od boju. Napaść nań, która się gotowała w łonie tych białych ciemności, miała w sobie coś zagadkowego, niezrozumiałego, strasznego tym, że się nie dawała pochwycić, że nieprzyjaciel przychodził nie postrzeżony i nie można go było obliczyć.

Część wojsk krzyżackich z najemników złożona, jeszcze nie wytrzeźwiona po wczorajszym chmielu wieczornym, nie wierzyła w popłoch. Miała go za jakąś igraszkę lub wymysł. Komturowie tylko, goście obcy, starszyzna, z przytomnością umysłu większą, odziali się we zbroje i

występowali w pośrodek obozu, nawołując do siebie żołnierzy, którzy z pośpiechu ledwie się uzbroić mogli. Kupki składały się niejednolite, nie tak, jak iść były nawykłe. Wrzawa obozowa nie dawała słyszeć nadciągającego nieprzyjaciela.

Komtur elbląski i gdański, którzy się wysunęli poza łańcuch już obóz opasujący w części — widzieli go. Harcownicy polscy wypadali z mgły ku obozowi, ukazywali się i znikali.

W małych przestankach cichszych marszałek mógł pochwyć oddalone głosy surm

polskich, przeraźliwe, dzikie a śmiałe, zdające się urągać Krzyżakom. Zuchwalstwo to, z jakim król tak długo unikający spotkania teraz sam do niego wyzywał, było dla Teodoryka upokarzającym.

Zwiastowało ono, że ostrożny Łoktek musiał być pewien siebie i swej przewagi.

Taż sama myśl odjęła męstwo komturom. Hermanowi i Albertowi, ale natchnęła ich

rozpaczliwym szaleństwem. Czuli, że cześć, a może i życie stracić mieli. Chcieli je przynajmniej walką okrutną okupić. Herman, co nie przebaczał nikomu, wiedział, że mu nie przebaczą. Zebraną garść prowadził ku opasującemu obozowisko łańcuchowi.

Teodoryk objeżdżał dokoła namioty i ludzi rozpierzchłych słał tam, gdzie mu się pierwszy napad grozić zdawał. Domyślał się Łoktka z jednej strony, od której naprzód turkot i surmy słyszeć się dały. Objężdżając wkoło, przerażony został, widząc w innych częściach obozu przemykające z różnych stron polskie czaty. Tu i tam surmy grały, wyzywając. Polacy więc bez mała otaczali dokoła.

Wśród tego zamieszania, które panowało pomiędzy Niemcami, nikt ani pomyślał o polskich

posiłkach wojewody. Gdyby Niemcy byli spojrzeli na tych sprzymierzeńców swoich, mogliby byli już teraz domyślać się w nich jeśli nie zdrady, to umyślnej opieszałości.

Gdy tuż obok biegał żołdak niemiecki rozgorzały i nieprzytomny, wadząc się o broń i konie, aby co prędzej stać w gotowości do obrony — w polskim obozie milczenie i spokój panował. Nie przestraszył się tu nikt. Z wolna wysuwały się już w pełnych zbrojach postacie blade, włócznie w ziemi utkwione powoli ściągając, konie opatrując i nie spiesząc do wystąpienia. Tu wszystko zdawało się być w gotowości i w lepszym niż zwykle porządku. Spoglądano ku namiotkowi

wojewody, który się nie ukazał.

Dobek z chustą białą na hełmie zawiązaną, które sobie dla znaku pewnie poczepiali i inni Nałęczę, snuł się bliżej niemieckiego stanowiska, ciesząc się widokiem bezładu, jaki tu panował.

Szczeńciem dla wojewody, czy zapomniano o nim, czy tak nań mało rachowano, czy też nie

miano czasu się troszczyć o Polaków. Nie zajrzał tu nikt. Łańcuch, którym się opasywali naprędce Niemcy z rozkazu marszałka, nie objął polskiego obozu, który poza jego obrębem pozostał.

Nieprzyjaciel dotąd zaledwie surmami z dala się oznajmujący, w chwili, gdy połowa

Krzyżaków nie była do boju gotową, a część znaczna błąkała się bezładnie, w jedno miejsce cisnąc tłumnie, drugie pozostawiając bez obrony, nagle wystąpił zza zasłon, które go kryły, i wszędzie wielkim lasem włóczni runął na rycerzy stojących u łańcucha.

Krzyżacy wytrzymali to uderzenie pierwsze, odpierając je ciężkimi włóczniami swoimi.

Kilku jezdnych obaliło się z końmi. Z jednej i z drugiej strony walka rozpoczęła się wściekła.

Teodoryk znajdujący się w pośrodku widział już, że był zewsząd opasany i że siłom tym,

których policzyć nie mógł, oprzeć się nie potrafi. Z trwogą pomyślał, czy posłaniec po chełmińską brać wymknąć się zdołał, czy komtur mu ją na odsiecz przyprowadzi. W tym była nadzieja cała.

Teraz dopiero, gdy już zbroje o miecze szczekać zaczęły i bój u łańcuchów wrzał zajadły, wzrok jego padł w tę stronę, gdzie stał oddział wojewody. Przypomniawszy sobie swych

sprzymierzeńców lekceważonych z radością, rachował bowiem, że Wincz, ocalając głowę, bić się będzie rozpaczliwie.

Kroków kilkadziesiąt dzieliło go od tych namiotów. Podbiegł ku nim. Łańcuch je od

Niemców przedzielał. Za mgłą dostrzegł opróżnione już obozowisko, powywracane szalasy,

poobalane wozy i w dali wojewodę na koniu, ludzi w szeregach jakby tylko znaku oczekujących.

Zdumiało go to, że zamiast twarzami być zwróceniu ku nieprzyjacielowi stali, włócznie na obóz niemiecki nastawiwszy, czołem przeciw niemu.

Marszałek chciał dać rozkaz jakiś, gdy wśród mgły ujrzał nadbiegającego konno rycerza z

białą chustą w ręku, który wojewodzie wskazywał obóz krzyżacki...

Ziemia zatętniała i z okrzykiem dzikiej radości, z wybuchem szału, oddział wojewody puścił

się z tej strony, która wolną jeszcze była od napaści... na obóz Krzyżaków.

Teodoryk stał chwilę zdrętwiały, patrząc na tę nową klęskę, i uskoczył ku wielkiemu namiotowi.

Naprzeciw niego toczył się bój, jakiego dzisiejsze walki wyobrażenia dać nie mogą.

Dwie żelazne ściany naciskały jedna na drugą, łańcuch był dawno rozerwany. Polacy szli

ściśnięci i opasywali broniących się z męstwem wielkim Krzyżaków. Kruszyły się włócznie o zbroje, padali rycerze na ziemię, a który z nich runął z konia, o swej sile podnieść się nie mógł, tratowano go.

Włócznia była najgłówniejszym orężem. Strzała rzadko trafiała w obnażone od zbroi,

całkiem ciało okrywającej, części, miecz kruszył się na grubych blachach. Topory ciężkie i straszliwe cepy żelazne, na łańcuchach umocowane, tłukły o szyszaki i napierśniki. Krzyżaków padało więcej, zgniecionych ciężarem własnych zbroi. Polacy lżej zbrojni rany odnosili częstsze i

więcej krwi przelewali.

Napad wojewody z tej strony, która przez niego bronioną być miała, zawyrokował o losach dnia tego. Lecz niełatwo mieli się poddać Krzyżacy. Cześć rycerska zdać się im nie pozwalała.

Walczyli, drogo sprzedając życie...

Taką wydawała się teraz walka ta widziana z obozu niemieckiego. Inną wcale była z polskiej strony. Zakon ważył może najlepszego żołnierza najemnego, król na szalę rzucał życie i królestwo swe. Lecz królem tym był osiwiwały w bojach i mękach Łoktek, umysłu nieugiętego i wielkiej wiary w przeznaczenie i opiekę bożą. Czuł się zesłanym dla ocalenia tej korony i ziemi.

Przed dniem jeszcze wystąpił z lasów, wiedząc dobrze o położeniu nieprzyjaciela, o siłach jego, o oddaleniu się komtura chełmińskiego. Wojsko szło w ciszy, osłonięte mgłami, aż na kilkoro staj od obozu nieprzyjaciela. Tu król wystąpił sam, zwołując przed siebie wojewodów i chorążych, którzy go kołem otoczyli. Błady był i wzruszony.

Dniem wprzód z obawy o los jedynaka zmusił go do oddalenia się z Trepką, zakazał mu uczestniczyć w tym śmiertelnym boju.

— Ostatni to może raz Pan Bóg mi dozwolił stanąć do bitwy z wami — rzekł do swoich. —

Niechże sromu nie poniosę! Nieprzyjaciel mocen jest, ale obciążony łupami i taborem nie spodziewa się nas. Zwyciężym go!

Głos mu przerywał oddech przyspieszony. Spojrzał na wojewodów, wołając na nich po imieniu, chorążych do siebie pozwał, obiecując im wdzięczność swą.

— Ostatni raz ja z wami idę — powtórzył. — Ufajmy Bogu, a zwyciężymy!

Wszyscy się garnęli doń, przyrzekając walczyć do upadłego.

Król tego dnia wdział starą swą, doświadczoną, w mnogich miejscach pogiętą i porąbaną zbroję, hełm zawarty, bez żadnych oznak, gdyż i tak wzrost go czynił do poznania łatwym, a nieprzyjaciela nań wyzywał.

Wojewoda krakowski zaczął wraz z innymi prosić go, aby na uboczu stał, do boju się nie mieszając, a im pozwolił zetrzeć się z nieprzyjacielem, lecz żadna siła w świecie starca powstrzymać nie mogła. Rwał się w pierwsze szeregi z niecierpliwością młodzieńczą. Dodano mu do boku kilku, aby go przynajmniej osłaniali.



— Nie lękajcie się o mnie — rzekł do Hebdy — da-li Bóg zwyciężyć, będę cały, lecz jeśli nas klęska spotka, nie chcę żywym zejść z pola!

To rzekłszy, król z innymi rzucił się na obóz krzyżacki. Łańcuchy, które go opasywały, przy pierwszym uderzeniu porwane zostały. Polskie hufce wtargnęły do obozu, zmieszali się tu

Krzyżacy z Polakami, a gdy szeregi prysnęły, bój pojedynczy aż pod namioty i w środek obozu się rozciągnął. Mgła długo nie dozwalała dojrzeć nic, oprócz nie ustających walk konnych, pieszych, a wręście i leżących już na ziemi, a pasujących się i dławiących przeciwników.

Około południa, gdy bój wrzał jeszcze ciągle, słońce przedarło się przez te opony szare i straszliwy obraz odsłoniło oczom samych walczących. Pobojowisko trupami i rannymi było

zasłane. Wpółśród nich, na nich ucierali się Krzyżacy jeszcze, wiedząc, że ocalić się nie mogą, a poddać nie chcąc jeszcze.

Marszałek zagrzewał resztki, zbierając rozpierchłych, obiecując przybycie komtura

chełmińskiego i odsieczy. Obok niego otoczony wybranymi zmiędzy rycerstwa stał z chorągwią Zakonu Iwan, wielkiej siły i męstwa żołnierz, któremu dla postawy tej i okazanych już odwagi na placu boju dowodów powierzono znaną najdroższą.

Wojewoda Wincz z Dobkiem rzucili się na gromadkę i, zewsząd ją opasawszy, nacisnęli

tak, że toporem rażony przez Dobka olbrzym padł, chorągiew na ziemię wlokąc z sobą. Marszałek, który to ujrzał z dala, osłonił sobie oczy, ręka mu bezsilna opadła. Stał, nie myśląc już o walce, i nowy oddział, który na niego natarł, razem z kompanami zabrał go w niewolę.

Nad wieczór walka była tak skończona, a jednak król rycerstwu nie dawał złożyć broni ani się położyć na pobojowisku. Był pewien, że za przybyciem powołanych posiłków bój się raz jeszcze rozpocznie. Jeńców powiązano sznurami, zwleczono do namiotów otoczonych strażą.

Wojsko nie otarło mieczów i nie dało koniom wytchnąć.

Posiłki w istocie pod wodzą Plauena nadbiegły spod Brześcia. Gdy je nadciągające ujrzano, już jeńcy byli pod strażą, a król gotów do nowego boju. Bój to był w szczerym polu, ze świeżym żołnierzem, zemstą zagrzany, gdy król miał z sobą znużonych już całodzienną walką, ale zwycięstwem podniesionych na duchu.

W tym drugim spotkaniu ranny, lecz zagrzany tym, że mu dzień ten płacił się na każdym

kroku szczęściem wielkim, Florian Szary, który był już trzech znakomitszych rycerzy niemieckich z konia zsadził i oddał w niewolę, rzucił się ze swymi kilku wprost na komtura wielkiego Plauena.

Najdzielniejsi krzyżaccy bracia bronili ostatniego dowódcy. Szary z taką gwałtownością natarł na

nich, wiodąc za sobą Sieradzian, iż trzy włócznie razem, strąciwszy zbroję lekką i już w boju złuzowaną, utkwiły w nim. Padł, nie wydawszy jęku, rozdarty straszliwie na pobojuwisku w chwili, gdy ciągnący za nim rzucili się na Plauena i porwali go w niewolę.

Szary cały swój pochód ten odbywał na wiernym koniu siwym, który od dawna mu służył.

Byli to towarzysze nierozłączni i przyjaciele. Koń znał głos, chód, czuł pana z daleka. W pochodzie zdali się jednym jakimś centaurem, w którym dusza i myśl obu była wspólną. Gdy Florian

zakrwawiony padł, oburącz chwytając rozdarte ciało, z którego wychodziły jelita, koń stanął nad nim, kopytami wrył się w ziemię i pokrył go sobą.

Uchronił go od stratowania i zgniecenia, którego ofiarą padało drugie tyle ludzi, co zabitych mieczem i toporem.

Szary wychowany był i zahartowany, jak na rycerza przystało. Każdej chwili gotów umrzeć, każdej godziny gotów cierpieć, czując życie w sobie, wspomniawszy na dom, żonę, dzieci, oburącz nacisnął wnętrzności i pozostał pod koniem wśród dokoła wrzącego boju, czekając, co zrządzi Opatrzność.

On ludzki swój i rycerski spełnił obowiązek do końca. Teraz musiała wystąpić ta opieka

boża, która rozporządza żywotem i przeznaczeniem człowieka. W duszy swej westchnął do Boga.

Miałli być ocalonym z wyroku jego, potrzeba było mężnie doczekać chwili, w której mógł nadejść ratunek. Przeznaczonym mu było umierać, powinien był z męstwem dotrwać do zgonu.

Koń stał nad nim ciągle, innym wrywającym się i czwałującym po pobojuwisku, a napadającym na niego, broniąc się i osłaniając pana.

Florian nie widział już, co się działo wkoło niego, słyszał tylko zwycięskie swoich okrzyki.

Krew z ran płynęła obficie, ręce w niej obie zbroczone czuł jak ukropem oblane. Nie mógł ich odjąć na chwilę, gdyż poszarpane ciało razem z krwią wyrzuciłoby było wnętrzności. Pot występował mu na czoło, modlił się spokojnie. Rachował, rychłoli ratunek jaki zjawić się może, azali mu na tak długo sił stanie. Mdłości chwilami jakby obłokiem osłaniały mu oczy, lecz wielka siła woli zwyciężała je. Otrząsał się męczarni tej spartańską siłą, siłą męczenników tych, w których życie potęgowała wiara.

Przed oczyma stał mu jego dom, rodzina, ojciec stary i ten sąsiad straszny, którego pastwą może stać się mieli najdrożsi, gdyby on już tam powrócić nie mógł. Nie stracił jeszcze nadziei.

Krew upływała wprawdzie, lecz silne dłonie trzymały rozdarte rany spojone. Ręką wpychał jelita i czekał...

Bój się zdał oddalać od niego, zbliżył raz znowu, odbiegł i cisza nastąpiła dla niego prawie od walki

straszniejsza. Koń z głową spuszczoną, wachając wyciągnięte jego nogi, to stał spokojny, to rzeniem niecierpliwym wołać się zdawał na pomoc ludzi.

O ile dojrzeć mógł Szary, żywego dokoła nie było już nikogo. Na wpół w ziemię wbity leżał

przy nim Krzyżak własną zbroją zgnieciony, z głową obnażoną, z której hełm spadł, ze znakiem podkowy końskiej na czaszce i czole strzaskanym. Dalej nieco koń dogorywający na próżno

usiłował się zerwać na nogi, przednimi kopytami rył ziemię, do pół się dźwigał i opadał. Dalej widać było pogruchotane włócznie z ostrymi drzazgi sterczącymi do góry, połamany oręż, kupy błota, w których już ciał startych na miazgę rozeznac nie było można. Mrok wieczora powoli zstępował na pobojuwisko, do którego z dala, z miejsca, gdzie obóz był krzyżacki, dochodził gwar i okrzyki zwycięskie. Szary czuł, że król otrzymał pole, że tam bracia jego weselili się ocaloną czią rycerską.

Wśród szumu i śmiechów nagle cisza się stała. Wtem głos jeden jakiś począł pieśń kościelną

„Ciebie Boga chwalemy”. I ogromnym chórem wszystko, co żyło, powiodło za nim. Szary miał na oczach łzy...

— Gdyby zginąć przyszło — myślał w duchu — krew nie darmo przelałem. Stań się wola

Twoja!

Ręce mu drętwiały, siły się wyczerpywały. Miałżeby nikt nie zajrzeć na pobojuwisko? Noc nadchodziła...

Szary wiedział o tym zwyczaju wojskowym, iż ciury obozowe trupom długo nie odartym

leżeć nie dopuszczały, spiesząc do łupu. Często po nocy z pochodniami spieszyli pochwycić, co im bój zostawił po sobie.

Pieśń przebrzmiała, wrzawa nastąpiła po niej, przestanki ciszy, krzyki, wołania i oklaski.

Lecz słuch jego tępiał, oczy coraz widziały mniej, czuł że koń stojący nad nim drży i słania się.

Rżał coraz słabiej, coraz rzadziej, ruszył się w końcu ostrożnie, zszedł o krok, głowę spuścił, nozdrzami dotykając jego twarzy.

Zdawał się patrzeć, czy żyje...

Florian słabym głosem zawołał go jak zwykle. Siwy drgnął, ale i jego opuściły już siły. Z

wolna legł przy panu.

Nadzieja zaczęła słabnąć w sercu Szarego. Czuł, że nie wydoła długo, że dłonie zmartwiałe ran nie utrzymają i życie wyniosą z sobą wewnątrzności. Potem zimnym oblewało się czoło. Modlił

się, duszę polecając Bogu... Zamknął oczy...

Wtem koń zerwał się na nogi, wyciągnął szyję i rozpaczliwie zarżał. Zdało mu się, że usłyszał ludzkie głosy, że mignęły światła, że ziemia tętniała chodem ludzi, biegiem koni. Otworzył z wolna osłabłe powieki...

Nad nim stał z jasną twarzą, otoczoną blaskiem nadziemskim, król w swej zbroi potłuczonej i płaszczu szarym. Patrzył na niego. Obok w sukni księżej podeszłych lat mężczyzna. Dalej kupka ludzi.

— Mój Boże! Co on za straszną mękę ponosi!

Głos ten życie przywrócił Szaremu. Zebrał się na sił ostatek i z uśmiechem męczeńskim odparł słabym głosem:

— Miłościwy Panie! Sroższa daleko męka znosić pod bokiem złego sąsiada, jakiego ja miałem i mam!

Król postąpił krok bliżej. Stał przy nim Hebda i zawołał:

— A to mój Florian z Surdęgi!

— Bądź dobrej myśli! — odezwał się król. — Jeżeli się z tych ran wyleczysz, ja cię uwolnię od złego sąsiada.

Hebda natychmiast na nosze go ludziom wziąć przykazał i do obozu nieść, gdzie królewski lekarz miał rany opatrzyć i obwiązać.

Florian, dotrwawszy do tej chwili więcej mocą ducha niż ciała, gdy uczuł się już pod opieką, omdlał. Miał zaledwie czas, czując się opadającym na siłach, zawołać ku wojewodzie:

— Siwego mego zabierzcie!

## VIII

Nocy tej nikt na pobojuwisku nie zasnął oprócz tych, co już nigdy wstać nie mieli.

Tam, gdzie niedawno był obóz krzyżacki, rozbito namiot dla króla, gdzie powiewała wielka chorągiew Zakonu z czarnym krzyżem i orłem, wiatr unosił czerwony proporzec królewski z orłem białym. Na placu, jak zajrzeć, leżały trupy w części już poobnażane, częścią w zbrojach i szatach, zmieszane razem z końmi, potłuczonymi wozy, połamaną bronią.

Gdy ostatnia walka z Plauenem wziętym do niewoli skończyła się rozpędzeniem jego ludzi,

którzy w nieładzie pierzchnęli, spędzono do gromady wszystkiego niewolnika wziętego rano i wieczorem, rycerzy, knechtów, co tylko poddało się lub żywo pochwycone być mogło. Tłum to był, w którym najdostojniejsi mieszały się z najlichszymi, usiłując ocalić, małymi czyniąc. Lecz po resztkach zbroi, po twarzach i postawach łatwo było rozeznąć dowódców. Resztki białych płaszczów poszarpanych zdradzały ich.

Pięćdziesięciu sześciu rycerzy dostało się w ręce Polaków, około czterechset legło na placu.

Tłum, który otaczał niewolnika, warczał groźnie. Nie chciano im przebaczyć, wołano o pomstę za swoich. Niektórzy rzucali się na bezbronnych, tak że strażę ledwie do przybycia króla osłonić ich mogły.

Gdy Łoktek zsiadł z konia i spojrzał na powiązanych sromotnie sznurami nieprzyjaciół

swych, między którymi znajdował się i marszałek Teodoryk, z chłodną rezygnacją oczekujący śmierci, komtur elbląski Herman blady jak trup, Albert komtur gdański, wielki komtur Otto von Bonsdorf i na ostatku wzięty Russ von Plauen — zmierzył ich oczyma zaiskrzonymi, słowa nie mówiąc.

Najzuchwalsi z nich obawiali się rozjątrzonego tłumu, lecz za przybyciem króla pewni byli, iż się krakowski pan nie będzie śmiał ważyć mściwego Zakonu rozdrażniać, na śmierć ich skazując.

Z wejrzeń ich widać to było. Herman dumniej podnosił głowę, Albert śmiało naciskający

tłum odpychał. Lecz Wielkopolanie, którzy byli świadkami, jak nieludzko się pastwili Krzyżacy nad bezbronnymi po kościołach, lżąc niewiasty, odzierając kapłanów, mordując starców u ołtarzów, pod których opiekę się schronili, Wielkopolanie zbiegli się kupą, najzjadleń domagając nie zemsty, ale słusznego ukarania.

Łoktek właśnie marszałka Teodoryka, którego mu wskazał nadchodzący Wincz, kazał

oddzielić i pod straż oddać osobną, gdy Remisz z głową pokrwawioną przypadł do niego, uląkwszy się, aby i innym nie darowano życia.

— Miłościwy Panie! — począł wykrzykiwać. — Posłuchajcie nas, myśmy najlepsze świadki!

Król, wskazując na Niemców, zapytał:

— Co to są za ludzie?

— My wam powiemy, Miłościwy Panie, co to są za ludzie! — zawołał Remisz. — Zbójcy

są, okrutnicy, co ani krzyża na kościołach, ani niewiast, ni starców, ni kapłanów nie szanowali.

Wskazał na elbląskiego Hermana.

— Oto kat, co dzieci kazał mordować, a klęczącemu przed nim przeorowi dominikanów szyderstwem odpowiedział na błaganie...

Herman, w którym obawa o życie dumę złamała, odparł podniesionym głosem, siląc się na lada jaką polszczyznę, do króla:

— Wy najlepiej wiecie, wodzem będąc, czy on odpowiada za żołnierskie zbytki!

Słyszając to, Remisz przypadł doń z pięściami i rzucił mu w twarz:

— *Ne prest!* Niemcze przeklęty, *ne prest!*

Za nim Wielkopolanie wszyscy pokrzykiwać zaczęli:

— Śmierć im wszystkim, śmierć!

— Po rycersku od miecza zbóje ginąć nie są warci! — krzyczał Remisz. — Postronkami ich, na postronki!

Zaledwie słów tych dokończył, a król nie miał czasu jeszcze odpowiedzieć ni powstrzymać, gdy tłum rzucił się ławą na krzyżackich jeńców i, sznury im zarzucając na szyje, dusić począł.

Jeden z pierwszych padł komtur elbląski, którego ciało wywleczono precz, odarłszy ze zbroi. Za nim poszli inni. Ze starszyny nie oszczędzono nikogo. Wściekłość była niewysłowiona. Król ani zapobiec nie mogąc temu zemsty wybuchowi, ani chcąc nań patrzeć, wszedł do swojego namiotu.

Ogromny łup z obozu marszałka ściągano teraz zewsząd, na kupy go zrzucając przed namiotem królewskim.

Noc zeszła na obrachowywaniu strat w ludziach i obmyśliwaniu skutecznego oporu

Zakonowi, o którego mściwym wystąpieniu, jak skoro wieść dojdzie do Malborge o klęsce, nie wątpiono.

Leżeć tu długo stary król nie miał ochoty ni czasu. Donoszono mu, że król Jan czeski z siłą dość znaczną ciągnął na Poznań. Nie był on teraz tak strasznym, gdyż spodziewał się poparcia Krzyżaków, którego mu miało zabraknąć. Łoktek ciągnąć chciał przeciwko niemu z

niecierpliwością młodzieńczą, pewien zwycięstwa. Poznania mu dać nie godziło się. Nazajutrz jednak wyciągnąć z pobojuwiska pod Płowcami nie było można. Król musiał swoje pułki na nowo pościągać, łup odesłać. Spieszył posłów z radosną nowiną o zwycięstwie wyprawić do żony i syna.

Ranek upłynął na tych zachodach i przygotowaniach. Było już około południa, gdy na gościńcu od Brześcia Kujawskiego pokazał się mały poczet konny, z wolna zmierzający ku namiotowi króla. Na czele jego powoli jechał mężczyzna wiekiem pochylony, siwy, z różańcem w ręku, w czapce futrzanej na głowie, z krzyżem na piersi. Rozpoczęta modlitwa na wargach mu skonowała i oczy wlepione miał w smutny widok pobojuwiska, na którym obnażone, sine, podarte leżały ciała zabitych.

Noc, w czasie której ciury nie próżnowały, już wszystkie te trupy odarła z sukni. Stada kruków ulatywały nad nimi, to spuszczać się na pole, to ulatując i krążąc spłoszone.

Od lasów sunęły jakby cienie ukazujące się i niknące w kotlinach... psy czy wilcy? Starzec jechał, spoglądał i łzy stawały mu na oczach. Nie wiedział nawet, gdy koń go zaniósł przed namiot królewski i stanął przed nim. Starcem tym był Matiasz, biskup kujawski.

Łoktek w szarej swej opończy wyszedł przeciw niemu. Spojrzał na biskupa, uśmiechając się, lecz starczyło tego wejrzenia, by się przekonał, że starzec nie z radością zwycięstwa tu przybywał, lecz z boleścią nad tylą ludzkimi żywotami, którym ono opłacone było. Król widział w tym tryumf — duchowny płakał nad ofiarami.

Matiasz skłonił głowę sędziwą przed witającym go panem.

— Widzicie — ozwał się król. — Bóg to zrządził. On mi dał nad dumnym wrogiem zwycięstwo, chwała niech mu będzie na wieki, iż się ulitował nade mną.

— Ten sam Bóg — odezwał się biskup spokojnie — sprowadził mnie tu, Miłościwy Panie, abym ja, sługa jego, spełnił chrześcijański obowiązek. Wrogom zarówno i swoim należy pogrzeb i modlitwa. Dozwól mi, abym ciała te pogrześć mógł, a okazał nieprzyjaciołom, iż chrześcijanami jesteśmy i obowiązki nasze pełniemy.

Król milcząco skłonił głowę.

— Poniosłem i ja straty dotkliwe — odparł. — Zginął mój wierny Żegota z Morawicy, nie ma Krystiana z Ostrowa, syna Prandoty, i Jakuba z Szumska. Bronili moich chorągwi i położyli głowy...

Biskup ze smutkiem spoglądał na obnażone trupy wymordowanych Krzyżaków, na których sztychach postronki jeszcze zastrzegły, którymi ich poduszono.

— Bogdajbyśmy za to drogo i długo nie musieli płacić! — odezwał się. — Moźni są, mocni

są, a mściwi i okrutni. Pozostał kto żyw z wodzów ich? — spytał cicho.

Łoktek z niechęcią wymówił marszałka imię.

— Jednego jego ocalić mogłem — rzekł. — Resztę ci wymordowali, którzy na ich niecne morderstwa patrzali.

Biskup, natychmiast z konia zsiadłszy, z gromadką swoich ludzi i dodaną mu służbą obozową, poszedł dozorując, aby ciała zebrano i kopano mogiły.

Nad ranem z lasów nadciągnął na pobojowisko pozostawiony w nich obóz królewski. Z nim razem przybyła żona wojewody, która z sercem zbolałym poszła szukać męża. Wojewoda na uboczu stał ze swymi. Wszystek lud jego ochoczo się mieszał z królewskim, on jeden pozostał odosobniony. W twarzy jego nie tyle widać było radości, co niepokoju.

Pomiędzy wojskiem króla znajdowało się niemało ziemian, których majątki zniszczyli

Krzyżacy. Winę spustoszenia tego przypisywano wojewodzie. Jego też i Nałęczów, choć się teraz przyłączyli do Łoktka, nie bardzo uprzejmie witano. Wielu się odwracało z pogróżkami i

opryskliwym łajaniem. Nałęcz radzi nieradzi wskazywali na Wincza. Przebaczono mu było, lecz ci, co ucierpieli, strat swoich darować nie mogli.

Wincz też po pierwszym z królem spotkaniu, napastowany półsłowy i wejrzeniami, poszedł

z gorzkim uczuciem schronić się do swojego namiotu i siedział, bolejąc nad tym, że się przeszłość zatrzeć nie dała. Tu zastała go żona, nie jak by zwycięsko wyszedł z walki, lecz niemal jako pobitego i upokorzonego. W milczeniu uściskała ją. Czytała w twarzy męża, iż cierpiał.

— Nie dano mi było zginąć — odezwał się — choć pragnąłem śmierci. Ciężkie będzie życie moje...

— Wszystko przebaczone — przerwała Halka — król łaskaw.

Wojewoda wskazał poza namiot, na kupy, które się snuły.

— A kto *im* pamięć odejmie? — rzekł. — Ci mi nie przebaczą. Król — dodał po przestanku

— ciągnie ku Poznaniowi. Odstać od niego nie mogę — pójdę i ja. Ale tam poproszę, by mi ciężar z ramion zdjął. Nie chcę dowództwa, pragnę spokoju. Siądziemy na wsi...

Halka pocieszać się go starała, lecz czoło zostało nawisłe chmurami. On sam sobie



przebaczyć nie mógł.

Florian Szary za staraniem Hebdy złożony w jego namiocie, opatrzony przez kanonika

Wacława, w strasznej gorączce marzył o pobjowisku.

Pamiętna opieki, jaką miał nad nią, Halka natychmiast szukać go posła, dowiedziawszy się o ranach okrutnych, jakie mu zadano.

Ksiądz Wacław powiadał o nim, iż mógł się wyleczyć z nich, lecz długiego potrzeba było czasu i starania, nimby życie za ocalone uważać można. Król sam, pamiętny tego słowa, które na pobjowisku od mężnego rycerza usłyszał, zalecał pieczę mieć nad nim.

Prosto spod Płowców Łoktek, nie tracąc czasu, wraz z wojewodą ciągnąć musiał do Poznania, aby Czechów uprzedzić.

Biskup Matiasz, litościw nad umarłymi, dla rannych też miał serce ojcowskie. Florianowi i innym ciężko okaleczonym, których rany spokoju i ducha bezpiecznego potrzebowały, ofiarował

schronienie we dworze swym w Brześciu Kujawskim. Tu łatwo ich nawet na noszach przenieść było.

Wojewodzina, która czekać musiała z powrotem do domu, ażby się wojna w Poznańskim skończyła, schronić się miała z woli męża do Brześcia. Tak więc Szary, który wprzód nią się opiekował, zyskał teraz w niej opiekunkę troskliwą.

Brześć i Radziejów napelniły się rannymi, których liczba znaczną była.

Po pierwszym opatrzaniu ran przez kanonika Wacława i po przebyciu gorączki a niemocy,

jaka nastąpiła po niej, Szary, przeciwko wszelkim lekarskim przepowiedniom, w dziwny sposób szybko do zdrowia przychodzić począł. Obietnica króla, w której spełnienie święcie wierzył, niecierpliwość powrotu do domu, zobaczenia żony, dzieci, ojca, dawały mu siłę cudowną, która z każdym dniem rosła.

W izbie dworca biskupiego leżało ich trzech porąbanych, których wojewodzina odwiedzała

codziennie. Jeden z nich, Starża, młody był i rękę tylko miał przeciętą. Silny i zdrów, przecież rany mu się jąrzyły i cierpiał więcej niż Szary. Drugi, w wieku Floriana, ze zgniecionymi nogami żyć sobie obiecywał, lecz na koń już się nie spodziewał się nigdy.

Szary, choć tak straszliwie poszarpany, wierzył w to mocno, że, byle zszyte rany się zrosły, zdrów musi być.

Co dzień prawie tęskniło mu się tak za domem, a niepokój go ogarniał o sąsiada tak wielki, iżby się

był zerwał i jechał na wozie, byle do swoich. Nie puszczano go.

Biskup Matiasz, co grzebał umarłych, przychodził do nich co dzień i uczył cierpliwości.

— Ojcie mój — mówił Florian, całując go w rękę — ja dla siebie bym cierpliwość miał, ale dla żony i dzieci, dla starego ojca, których tam porzuciłem na łasce bożej i rodziny mej, trudno mi tu ścierpieć. Na wozie bym się dowlókl...

— Drogi złe, zimno okrutne, rany nie zgojone — mówił biskup. — Czekajcie!

Wojewodzina, przed którą bolał i skarżył się Szary, w ostatku się jego niepokojowi

ulitowała. Miała wóz i woźniki dobre, ludzi podostatkiem. Sama tu zmuszona siedzieć, tęskniła wielce. Gdy Szary począł, obwiązany cały, poruszać się i wstawać na gwałt, aby siłą swą pokazać, rzekła dnia jednego:

— Nie ma z wami rady. Jeśli ksiądz Wacław dozwoli, odwiozę was żonie.

Gdyby był mógł Szary paść jej do nóg! Lecz z łóżka mu się ciężko podjąć było. Ręce jej tylko ucałował.

Tegoż dnia kanonik rany opatrzył i na nalegania odpowiedział, jak to lekarze i duchowni zwykli, groźnym słowem a szorstko.

— Chcesz się koniecznie zgubić, trudno ci zabronić — rzekł. — Zamiast pociechy, żonie i dzieciom smutek sprawisz. Czekaj, aż powiem. Nie zatrzymam dnia jednego, gdy ujrzę, że podróż znieść możesz.

Florian zmilczał, ale w oczy księdzu patrzył co dnia, a ten się uśmiechał. Jednego dnia

wreście ręką rzucił gdy wojewodzina go spytała po cichu, i dał do zrozumienia, że jechać z biedy było można.

Wysłano tedy najlepszy wóz, okryto go kabłakami i skórami, przyodziano Szarego i po

pożegnaniu a błogosławieństwie biskupa Matiasza wojewodzina z nim wyruszyła w drogę.

Jesień była późna, pospieszyć z rannym, choćby i chciano, nie pozwolił lekarz, musiano się wlec noga za nogą. Wojewodzina, miasto na drugim wozie spoczywać, niemal całą drogą pieszo szła z różańcem w rękę, jak by pielgrzymką pobożną odbywała. Była też to pielgrzymka

miłosierdzia.

Florian leżał osłonięty, coraz to się po cichu ludzi rozpytujac, kędy byli, jak się miejsca zwały, ile

drogi zrobili. Jemu podróż wydawała się nieskończoną, a im się bardziej ku Pilicy zbliżali, tym niepokój rósł. Zdrowie się nie pogorszyło w drodze, bo je nadzieja utrzymywała.

Uśmiech czasami zjawiał się na bladej twarzy jego, to go spędzał niepokój.

Wojewodzina, sama w trosce o męża, krzepiła go, jak mogła.

— Miłościwa opiekunko moja — rzekł jej jednego wieczora Florian, gdy go ludzie na noc

do izby znieśli. — Myślę ja sobie ciągle o żonisku i dzieciach. Kto tam wie, czy do nich doszło co już o bitwie, a o mnie pewno żadnej wieści nie mają. Co się tam z nimi dzieje, jeśli Domna wie, że naszych tyłu padło? Jak mnie tam na wozie im przywieziecie, gotowi pomyśleć, że im trupa odsyłają z pobojowiska...

Półtora dnia powolnej drogi jeszcze zostawało do Surdęgi, gdy wojewodzina odezwała się:

— Chcecie, to pojedę przodem do waszej?

Florian odpowiedział tylko spojrzeniem wdzięcznym.

Nazajutrz wojewodzina, starszego sługę zostawiwszy przy Szarym, sama pospieszyła do

Surdęgi, jednego dnia się tam dostać spodziewając. Ludzie, choć im drogę dobrze rozpowiedziano, pobłądzili trochę i noc nadeszła, a Surdęgi widać nie było. W ostatku, po przepaścistych groblach i moczarach wlokąc się, wóz złamano, koło pękło i z jednym z czeladzi musiała Halka pieszo iść, szukając schronienia.

Wedle powieści ludzi zamek miał być niedaleko. Uradowała się wielce, gdy na pagórku

ujrzała zabudowania, a w nich światło. Nie wątpiła wcale, iż gródek to być musiał, do którego dążyła, i dobiwszy się po grobelce do wrót, słudze stukać kazała.

Wrzawę jakąś słyhać było na zamku, dla której pewnie bicie do bramy nierychło

usłyszano. Aż wrótny się zjawił klnąc, z drzazgą w rękę, a za nim kilku strasznych parobków, którzy na widok kobiety samej ze służką śmiać się okrutnie i do środka wojewodzinę ciągnąć zaczęli. Przeleżała się w pierwszej chwili, widząc, iż chyba omylić musiała. Lecz mężna i przytomna wnet odzyskała odwagę, odparłszy więc groźno tych, co ją za ręce chwyтали, poczęła naprzód pytać o Surdęgę.

— Toć to! Trafiliście jak raz! Surdęga jest! — zaśmiał się jeden z chłopów.

Wojewodzina stała jeszcze w progu, gdy, rozpychając gromadę tę, zjawił się mężczyzna

twarzy dzikiej, porąbanej, na którego widok wszyscy rozstąpili się i umilkli. Poznała w nim pana.

Śmiało więc ozwała się do niego z zapytaniem, czy to w istocie Surdęga była. Zagadnięty nie

odpowiedział na to pytanie.

— Powiedzcie mi, kto wy jesteście i jakim sposobem się tu znajdujecie? — rzekł gburowato. — Ja to naprzód prawo mam wiedzieć.

Spokojnie i wcale nie okazując obawy, wojewodzina odparła:

— Jadę z rannym z pobojuwiska pod Płowcami, gdzie król moc krzyżacką pobił na głowę, a mąż mój zowie się Wincz z Pomorzan, wojewoda wielkopolski.

Nachmurzył się, słuchając, ten, który badał, i głową potrząsł.

— Ranny? Któż ranny? — spytał.

— Florian Szary.

Pytający, Nikosz Bąk, rozśmiał się na całe gardło.

— Że go nie zabili, tego... — zawołał.

Wojewodzina z tego wykrzyku domyśliła się, w czyje ręce wpadła, a dość jej o nim rozповідаł Florian. Nie strwożyła się tym jednak. Zamiast wrywać się precz postąpiła dumnie kilka kroków.

— Widzę — rzekła — żem nie trafiła do Surdęgi, jakom chciała, ale pod nieprzyjacielski dach. Przecież żonie wojewody królewskiego i tu odpocząć dadzą...

Nikosz, milcząc, cofnął się. Naprzeciw drzwi stały otworem, w których się świeciło. Śmiało wojewodzina szła ku nim. Nikosz zaszepiony za nią, reszta ludzi prowadziła ich oczyma z dala.

Izba, do której weszła Halka, niska, obwieszona dokoła odzieżą, bronią, skórami pobitych zwierząt, miała duże ognisko, na którym ogień płonął z jednej strony, z drugiej wysłane było łoże na ziemi. Dwa psy, wyciągając się, mruzeniem przyjęły gościa. Nikosz, jak by jeszcze niepewien był, co pocznie, wskazał miejsce na ławie, sam stojąc przed nią. Halka usiadła.

— Król pobił Krzyżaków? — zapytał gospodarz.

— Zwycięstwo wielkie Bóg mu dał, starszyny i rycerstwa zginęło wiele... — rzekła wojewodzina.

— Szary ranny? hę? — mruknął Nikosz.

— Ranny, ale mu to wyjdzie na dobre, da Bóg — poczęła wojewodzina spokojnie. — Bił

się jak lew. Już pod koniec dnia, gdy posiłki Krzyżakom nadszły, chciał własną ręką komtura wziąć. Broniący go Krzyżacy trzema włóczniami brzuch mu rozpruli.

— Ha! — rozśmiał się Nikosz.

— Nadszedł potem król — ciągnęła Halka, patrząc na gospodarza — i zobaczywszy go tak strasznie okaleczonym, zawołał: — Co człowiek ten cierpi! — Szary zaś miał jeszcze tyle siły, iż królowi odpowiedział: — Mniej ja tu cierpię niż od złego sąsiada!

Nikosz przerwał takim wykrzykiem i pięści mu się nagle ścisnęły tak groźnie, iż inna by niewiasta ulękła się go. Wojewodzina spojrzała nań tylko i dodała:

— Otóż król mu swe słowo pańskie dał na poboju, że go od sąsiada uwolni.

Nikosz, któremu oczy zdawały się spod powiek wyskakiwać, usta zagryzł i krok się cofnął.

Milczał długo.

— Król! król! — wyjęknął szydersko, ale z twarzy i głosu poznać było można, iż sam przed sobą kłamał odwagę, której nie miał. Począł się wpatrywać w wojewodzinę niedowierzająco, ale razem trwożliwie.

— Gdzież ranny ten jest? — zapytał.

— Leczy go królewski doktor, kanonik Wacław, w Brześciu na Kujawach — odparła wojewodzina. — Król mu go sam polecił.

Nikosz spojrzał spode łba i znowu mrużyć zaczął.

— Król! król! A cóż król ten sąsiadowi jego zrobić może? — ozwał się po chwili zadumany.

— Albo to kobieta jak ja wiedzieć ma? Jam się podjęła tylko żonie dać znać, że żyw jest, i z tym jechałam do niej. Wóz mi się na drodze ułamał...

Nikosz słuchał, dumając ciągle.

— Król! król! — zamruczał pod wąsem. Ale nie w smak mu pono była ta zapowiedziana opieka pańska. Zawrócił się od ognia i w głąb izby kilka kroków, przyszedł bliżej i wojewodzinie się przypatrywał bacznie. Walka jakaś w nim toczyła się widocznie, która dlań była nieprzyjemną.

— Jaceście ludzcy — rzekła Halka po chwili — pomóżcie mi, abym się do Surdęgi dostać

mogła.

— A mnie co wy i Surdęga wasza! — zzymając ramionami, zawołał nagle Nikosz. — Może to ja jestem tym sąsiadem, na którego ten pies, co go trzy krzyżackie włócznie nie dobiły, skarżył się królowi? To ja za to, że on na mnie nasadził króla, będę wam pomagał dla niego?

Rozśmiał się na głos.

— Gdybyście to uczynili, rozum byście mieli... nie powiem już więcej. Bo lepiej wam pono króla nie gniewać i nie drażnić. Mały on jest, ale ręce długie ma...

— Jak by to wszystko prawda była! — ze śmiechem odparł Nikosz.

— Wolno wam wierzyć lub nie — zawołała wojewodzina. — Czyńcie, jak wam lepiej!

I zamilkła dumnie. Nikosz popatrzył na nią. Dziwnym mu się to zdawało, że słaba jedna kobieta, w jego rękach będąca, wcale się go lękać nie zdawała i takie męstwo okazywała.

Mięszało go to widocznie, przeszedł w koniec izby zamyślony, mruczając coś sam do siebie.

Wojewodzina wstała z ławy, otrzęsła nieco obmokłe suknie, zwróciła się ku niemu.

— Dacie mi ludzi do pomocy? — zapytała. Nikosz podumał znowu.

— Ludziom i mnie trzeba za to zapłacić — rzekł gburowato. — Innego czasu i z was by mi się okup należał, bo ode mnie nikt tak nie wyszedł bezkarnie — dodał, patrząc na nią — ale z babami wojować nie chcę. Zapłacicie — pošlę po wóz ludzi.

— Zapłacę, cóż mam robić, jeśli u was taka gościnność — odezwała się wojewodzina.

— Jam nie chłop; abym przewód dawał darmo — ofuknął Nikosz.

— Zapłacę — potwierdziła Halka.

Nikosz, ku drzwiom podszedłszy, wychylił głowę i na swoich huknął. Czekali oni w pobliżu, może innego spodziewając się końca, gdy im kazał światło wziąć i wozu pójść szukać.

Stało się, jak zlecił. Tymczasem udobruchany nieco gospodarz, może napomnieniem o gościnności zawstydzony, jedzenie kazał podać. Sam stał nieco opodal i znowu o Floriana, o rany jego, o przygodę i rozmowę z królem rozpytywać począł. Wojewodzina powtórzyła mu, co powiedziała wprzódy, rozwodząc się nad tym, jak król sam wielkie miał o rannym staranie. Nikosz

mruczał: — Król! — śmiał się, ale jednak niepokój go ogarniał.

Dawszy się posilić wojewodzinie, sam potem ogień na kominie przykładał i po troszę jej

służył, zbywszy się pierwszej swej gburowatości. Na ostatek o sobie mówić zaczął z żalem i bólem wielkim, że mu sąsiad wziął, co on najdroższego miał, że gdyby nie on, Domny by był dostał i na ziemianina takiego wyszedł jako drudzy.

— Zalał mi on za skórę, com nie miał mu oddać! — zawołał. — Król nie wie nic... niechby mnie posłuchał.

Złagodniał wreszcie, na świat i ludzi tylko narzekać poczynając, gdy służba wóz

wojewódzkiej przyprowadziła. Nie upominając się już o zapłatę, Nikosz koło podprawić kazał i dał przewodnika do Surdęgi.

## IX

Radość i przestрах razem przyniosła z sobą żona wojewody, przybywszy w nocy do

zameczku, który zawsze jeszcze w obawie o sąsiada tak czujną był otoczony strażą jak czasu wojny. Wrót jej w początku otwierać nie chciano, chociaż mówiła im o sobie i o Florianie.

Obawiano się zdrady. Nareszcie wyszedł stary ojciec na wyżki, rozpatrzył się w szczupłym orszaku wojewodziny i na zamek ją puszczono.

Domna stała tu już z niniejszym dziecięciem na ręku, posłyszawszy o mężu, niecierpliwa, by się coś o nim dowiedzieć.

Wiść o bitwie pod Płowcami głucha i niepewna doszła tutaj, ale z niej o losie tych, co

walczyli, nie wnieść nie było można. Opowiadano, że padło ich wielu, że zwycięstwo było

okupione drogo. Wszyscy więc tu w trwodze byli o Szarego, wiedząc, jak rad niebezpieczeństwa szukał i siebie nie szczędził.

Wojewodzina poczęła od tego, że im oznajmiła o Florianie. Domna poskoczyła do niej

żywo, z radością razem i niepokojem, nie umiejąc sobie wytłumaczyć, co wojewodzina w tych stronach mogła mieć za sprawy i dlaczego się tu znajdowała.

— Jam ci też Leliwianka — rzekła przybyła Halka — i dlatego się czuła obowiązana

Florianem zaopiekować.

— A on, on? Gdzież jest? — zapytała Domna.

— Nadaży wkrótce — odezwała się Halka. — Wyście męznego serca niewiasta, nie będę więc tuiła przed wami, że rannym był w bitwie.

Domnie oczy się załzawiły, dziecko przycisnęła do piersi.

— Ranny był? — szepnęła, pilno się wpatrując w mówiącą. Stary ojciec drżał, słuchając.

— Dziś już rany znacznie pogojone, a że mu pewnie nigdzie lepiej być nie może, jak w domu, więc przybędzie wkrótce.

Wszystko to Domnie się jeszcze nie dość wydawało jasnym. Stała, czekając coś więcej.

Weszły razem do dolnej izby, w której młoda pani ze swymi prządkami i dziećmi siadywała wieczorami. Stary powlókł się za nimi.

Wojewodzina obejrzała się dokoła, zaczęła podróżną odzież zdejmować, ale nie spieszyła z opowiadaniem, na które oczekiwano.

— Pani moja miłościwa — odezwała się, podchodząc ku niej, Domna, która dziecię złożyła

w kolebce. — Nie kryjcie nic przede mną, mówcie mi o moim... wszystko... To, czym się Bogu jego dotknąć podobało, ja z nim podzielać powinnam. Bóg mi da męstwo. Ja wszystko chcę

wiedzieć! Jestem córką ojca, który za młodu rycerzem był. Ród mój cały nie inną sprawą się parał.

My, niewiasty ich, choć zbroi nie wdziewamy, serca zbroić musimy.

Uściskała ją wojewodzina.

— Siostro ty moja — rzekła z rozrzewnieniem — my, my wprawdzie ran nie odnosim, krwi

nie lejem, ale odboleć musimy za wszystkich. I w naszych sercach odbija się, co oni cierpią. Bóg z tobą. Florian żyw powraca, zdrów będzie, ale wycierpiał wiele. Trzy krzyżackie włócznie rozdarły mu wnętrzności. Cudem ocalony został. Jedzie on tu i jutro będzie przy tobie. Król sam znalazł go na pobojuwisku, a męzny człek, gdy nad nim się użalał, jeszcze miał siłę mu się poskarżyć, że od sąsiada cierpiał więcej niż od tych ran, które mu włócznie zadały...

Domna rękami zakryła twarz. Starzec załamał dłonie. Milczeli wszyscy, wojewodzina dalej mówiła:

— Król mu przyrzekł, że go od sąsiada uwolni, sam opatrzeć go kazał i dziś już nie ma



niebezpieczeństwa.

Z płaczem rzuciła się młoda pani dziękować zwiastunce. Potem jak nieprzytomna pobiegła uklęknąć i pomodlić się.

Potem chciała natychmiast choćby na koń sięść i naprzeciw męża jechać. Lecz Halka nie dozwoliła na to, ojciec się oparł. Wojewodzina nie powiedziała nic jeszcze o swej bytności u Bąka i teraz dopiero, gdy Domna zaczęła się kłopotać, aby mściwy sąsiad nie napadł w drodze na Floriana, o swojej przygodzie mówić poczęła. Wszyscy wydziwić się nie mogli, iż z niej cało wyszła.

— Powiedziałam ja mu — dodała wojewodzina — o tym, co król przyrzekł Florianowi, i zdaje się, że Nikosz, choć się uśmiechał z tego, musiał wziąć do serca królewskie słowo.

Domna się przecież nie uspokoiła, póki naprzeciw męża ludzi kilku zbrojnych nie wysłała.

Halka, która, choć z dala, patrzyła niemal na straszną walkę pod Płowcami i dla męża swego, o którego się lękała, o najmniejsze jej szczegóły dopytywała, poczęła teraz opowiadać o tym dniu pamiętnym, w którym krzyżacka duma ukróconą, a okrucieństwo ich ukarane zostało. Co żyło we dworze, cisnęło się słuchać do izby, pode drzwi i milczenie uroczyste, okrzykami radości i znakami krzyża świętego przerywane tylko, panowało w czasie powieści Halki, która sama się nią zapaliła i unosiła.

Młoda pani swym mężem i jego męstwem bohaterskim czuła się dumną. Łzy jej wysychały

od tego uczucia radości i czci dla człowieka, który tak prostym być umiał, tak skromnym, a tak rycersko w życiu się całym sprawował. Rósł w jej oczach ukochany mąż, potężnego ducha, który, bliski śmierci będąc, pamiętał o tym tylko, aby królowi rodziny swej spokój i przyszłość polecić.

Przy nim maleli inni, którzy wielkimi być chcieli, a nie mieli cnoty jego żelaznej, zwyciężającej cierpienie, urągającej się śmierci...

— Mój Florek! — powtarzała sobie z bijącym sercem i wracającymi do łez oczyma. —

Mój!

Całowała dzieci i chciałaby była powiedzieć im, jak mieli czcić ojca. Na to jej słów brakowało.

Nazajutrz zameczek od rana gotował się, jak do uroczystości wielkiej, na przyjęcie swego pana.

Wiść od dworu poszła po wioskach — z echem królewskich słów i obietnic. Gromady

zbierały się witać wracającego na granicy. Ze wszystkich wsi postrojony świątecznie lud cisnął się na drogę wiodącą do zameczku. Opowiadano sobie i to, co było, i to, co każdy z serca dodawał do powieści o trzech włóczyjach i o złym sąsiedzie. Historia stawała się już legendą, która wieki przetrwać miała.

Na zaniku Bąka postrzeżono ten ruch wielki i niepokój około Surdęgi, lecz stąd nikt się nie ruszył ni pomagając, ni przeszkadzając. Zza ostrokołów Nikosz patrzył niespokojnie, rozkazawszy zamek zaprzec, a ludziom broniąc wychodzić z niego, jakby się lękał o siebie.

Domna zaraz dała znać do Lelowa, skąd brat jej i, *co żyło*, skoczyło także na spotkanie Floriana.

Z woza swego przysłoniętego skórą Szary, zbliżając się ku domowi, wyglądał coraz niespokojniej. Znajoma okolica dozwalała mu obliczać czas i odległość, mierzyć biciem serca zbliżanie się do Surdęgi. Na próżno jednak naglił i prosił powożących, aby pospieszali. Rozkaz był wydany, aby rannego wieźli powoli, wozowi się nie dając przechylać. Szli słudzy z obu stron po złych przeprawach podtrzymując go, aby wstrząśnienia nie czuł. Lecz o ranach swoich i o cierpieniu zapomniał Florian, tak pilno mu było swoich zobaczyć, Domnę uściskać.

Dobili się tak do granicy, gdzie krzyż stał, a koło niego ludzi kupa. Włodarz z częścią gromady z Lasek i Woźnik podbiegł pierwszy do pana. Stary sługa po nogach go całował, a gromada wołała radośnie i ciągnęli z nią dalej. Czuł się już między swoimi.

— Miły Boże — mówił w duchu — leżąc na pobojowisku, gdym sądził, że mi już ostatnia nadeszła godzina, czym ja się spodział, że tej chwili dożyję?

Gdy przeciągali naprzeciw zameczku Bąka, drżącą ręką Florian nieco skórę odgarnął i spojrzął na Wilczą Górę. Stała, jak by na niej żywej duszy nie było, choć skrycie wiele oczów ciekawych patrzyło z niej na ten orszak posuwający się dołem ku Surdędze.

— He, hej! — mruzczał Nikosz zza płota — prowadzą go, jak z pogrzebem idąc. Któż wie?

Może mu życia niewiele zostało, a z nim, gdy zdechnie, i obietnica królewska pójdzie do dołu...

Staął wóz nagle, choć do zamku jeszcze kawał drogi było. Przed Florianem ukazała się siwa głowa ojca i biały czepiec żony na ręku trzymającej dziecinę. Płakali wszyscy i ściskali ręce, a mówić nikt nie mógł.

Gdy wóz się zatrzymał w podworcu, a ludzie, na ręce wzięwszy Szarego, do izby go nieśli, on, trzymając za rękę żonę, uśmiechał się wesoło do niej i do dziecka.

— Ano — zawołał — smutkom tym i łzom dać by pokój! Jest się z czego radować i Bogu dziękować!

Podniósł do góry drugą rękę i zakrzyczał wesoło:

— Ojcie kochany, kubka! Choć kroplę wypijemy prze zdrowie króla i korony naszej!

Do żony się zwrócił:

— A wy odezwijcie się co wesołego! Piosnkę zanucić! Rycerska rzecz zawsze dobrej myśli być w złej i pomyślnej doli równo.

Wziął kubek podany i, do ojca obracając się:

— Króla zdrowie! Niech nam długo i szczęśliwie panuje!

**X**

Od powrotu Floriana, choć na zamku zawsze się po staremu strzeżono od sąsiada, Bąk

najmniejszego powodu do obawy i znaku życia nie dawał. Na Wilczej Górze wszystko się zdawało usypiać, jak by go w niej nie było. Ludzie nawet jego, dawnym swym zwyczajem, psot żadnych nie czynili.

Stary Dalibór, zawsze nie dowierzający, utrzymywał, że chyba podłe owe człeczysko coś

bardzo niegodziwego gotuje i ma na wątrobie. Nie dawało się to jednak czuć wcale.

Tymczasem wojna się skończyła, z Krzyżakami niby to jakieś układy i pokojowe rozmowy

poczęto, choć w dobry ich skutek nikt nie wierzył. Tracono tylko czas, który oni zyskać chcieli, a do końca dobić się z nimi nie było można. Króla Jana odpędzono od Poznania, doma ludzie trochę spokojniej oddychali do czasu.

Szary zaraz po Godach wstawać począł, chodzić, z włodarzem się naradzać. Na koń mu się

chciało, ale żona nie dozwalała się wybrać, dopóki by do lepszych sił nie przyszedł.

Często gęsto wspomniano o królu, czy też on obietnicę swą strzyma.

— Król stary, a ma tyle na swej głowie spraw głównych, iż pewnie zapomniał, co mu się na pobjowisku z ust wyrwało — mówił ojciec. — Nie grzech by mu było pokłonić się pójść i przypomnieć.

— Nie uczynię tego — odpowiadał Florian. — Nikosz jakoś cicho siedzi, a iść do króla po

zapłatę za krew nie ziemiańska rzecz, ale żołdacka. Dla swojej ziemi i dla korony Chrobrego się to czyniło — niech będzie Bogu na chwałę! Tyle zrobimy, że kozła na hełm wyprawim, a moje trzy włócznie w tarczę włożym tak, jak one mi w brzuchu tkwiły. Dość mi na tym!

Żona nigdy się mężowi nie sprzeciwiała, dla niej on zawsze słuszość miał. Ojciec też zamilkł, nie nalegał.

Począł się Florian coraz pilniej krzątać około domu, bo się wcześniej jakoś na wiosnę zbierało, a na wsi, nim ona przyjdzie, trzeba być gotowym na jej przyjęcie.

Z Krakowa, jak nie było, tak nie było wieści żadnej. Ale poczęły po kraju chodzić pogłoski, że Krzyżacy się znowu na Kujawy wybierają i na Brześć chcą ciągnąć.

Drogi ledwie obsychać zaczynały, gdy dnia jednego do izby chłopak wpadł, do siedzącego na ławie pana wołając, że do zamku ktoś w kilkadziesiąt koni ciągnie.

— Ano — odparł spokojnie Florian — jak gość przybędzie, wrota mu otworzymy, czym chata bogata... Dostojny pan czy ubogi człek, tym go przyjmę, co mam. Choćby i król sam, więcej nie dam nad to, co mogę.

Jeszcze sobie tak wesoło żartował, a żona do okien biegła wyglądać, gdy od wrót szum się stał, wołano: Wojewoda!

Stary z Florianem wyszli naprzeciw niego. Zsiadał właśnie z konia, rozglądając się po zameczku, a twarz miał dosyć wesołą.

— Oho! — zawołał do Szarego, patrząc nań — jużeście to na nogach?

— Dzięki Bogu, a pono w sam czas — odparł Florian z pokłonem — bo coś o wojnie bąkają. Krzyżacy na Brześć mają ciągnąć. Trzeba będzie spróbować na siodło.

— No, wy jeszcze spocząć możecie — odpowiedział Hebda. — Tej biedzie na Kujawach

jednakże jesteście winni, że gdy o niej była mowa u króla, stary sobie was przypomniał i nakazał mi zaraz jechać, abym złego sąsiada okupił, choćby najdrożej. I z tym ja do was przybywam.

— Bóg zapłać królowi panu!

Wprowadzili do izby wojewodę. Przyjmowano go serdecznie, ale po ziemiańsku, jak Florian mówił, chlebem powszednim, dostatkiem domowym, żadnego nie czyniąc zbytku. Po kubku

jednym, drugim odezwał się Hebda:

— A co, miły bracie? U mnie czasu omal zawsze. Zawezwąć by go tu w imieniu króla i...

Syn i ojciec oba głowami potrząśli.

— Jakośmy żywi, ten zbój naszego progu nie przestąpi. Darujcie, panie wojewodo, ani on nie zechce, ani my tego dopuścim.

Stary wtórował. Hebda się zadumał. Nie w smak mu to było.

— Nadtośmy sobie nadojedli — mówił Dalibór. — Człek zły jest i my z nim zgody nie chcemy, bo z takimi jak on družba nic po tym. Niech idzie na kraj świata, by go nasze oczy nie oglądały — i tyle.

Nie spierał się już wojewoda.

Dworu swojego część zostawił w Surdędze, konia kazał przyprowadzić i pojechał sam do Bąka.

U niego ciągle jeszcze od powrotu Floriana cicho było i pusto. Ludzie nawet z Wilczej Góry nie zadzierali się z chłopami z Woźnik jak dawniej. Do bójek na granicy i po lasach nie przychodziło. Zdawało się, jak by i sam Nikosz zmęczył się tym i spokój wolał.

Wojewoda przodem posłał urzędnika swojego z laską białą, aby o nim oznajmił, powiadając że od króla był wyprawiony. Gdy nadciągnął, wrota już stały otwarte na oścież, a w nich Nikosz czekał ubrany naprędce w szubę dostatnią, z łańcuchem na szyi, w kołpaku na głowie sobolowym, z mieczem u boku. Straszniejszym i brzydszym był jeszcze niż zwykle. Twarz miał jak wosk żółtą, a oczy mu biegały jak u kota, gdy psy za nim gonią.

Wprowadził, milcząc, Hebdę do izby, w której, zda się, naumyślnie służba dzbanów srebrnych i kubków nastawiła więcej, niż było potrzeba, aby się bogactwem pochłubić. Zbieranina to była różności, nie jednej matki dziatki, jakby i z kościołów, i ze dworów się to poschodziło — ale błyszczało.

Wojewoda, nim siadł na ławie, rzekł:

— Jadę do was od króla z rozkazaniem. Musicie mu z tej posiadłości ustąpić. Nie komu, ale królowi samemu.

Nikosz głowę bardzo nisko skłonił, ale śmiał się szydersko.

— A jak bym ja dać jej nie chciał? — zapytał.

— To król znajdzie, za co dać was sądzić, bo skarg i żalów na zbytki wasze dosyć jest. Więc i ziemia się nie ostoi, i głowa w dodatku...

Bąk szuby poprawił.

— Z królem a z biskupem — rzekł — ziemianinowi się nie borykać. Wiem ci ja, skąd to wszystko płynie, za co na mnie ta groza. Siła by mówić o tym, ale mnie nie posłuchają.

— Słowo wam nie pomoże nic — przerwał wojewoda. — Mówić możecie, co chcecie, a ziemię królowi trzeba dać.

Nikosz się strząśł tylko.

— Wojny prowadzić trudno! — burknął.

— Król niczyjej krzywdy nie chce — ciągnął dalej Hebda, przypatrując mu się ciekawie. —

Otóż wiedzcie, że wam daje ziemi w dwójnasób tyle koło Nowego Sącza. Jest i dwór, i ludzi trochę, i młynek.

Nikosz począł słuchać z uwagą większą — kłaniał się. Wojewoda odpowiedzi czekał, ale jej nie otrzymał. Bąk milczał, tarł w rękę połą sukni i, w ziemię oczy wlepiwszy, ustami ruszał. — No, cóż? — zapytał Hebda.

— Cóż ma być? — zamruczał Nikosz — kiedy mus...

— Zatem — podchwycił wojewoda prędko — czym prędszy koniec, tym lepszy. Wynieście się rychło, a w Sąddeczyczynie osiadłszy, z ludźmi żyćcie we zgodzie, aby na was żalów i skarg nie noszono.

— Miłościwy panie — zawołał, z wolna głowę podnosząc Nikosz. — Człek, gdyby chciał, ze skóry swej nie wylezie. Będą mi ludzie dobrzy, będę im druhem. Znajdzie mi kto w drogę, jako tu Szary, krew nie woda. Raz człek żyje i raz umiera.

Musiał wojewoda podany kubek przyjąć, choć mu się pić nie chciało. Miód był stary i jak smoła czarny. Nikosz począł rozwodzić żale, a sam pił chciwie i dużo. Blade jego lice rozgorzało i z żółtego stało się niemal sinym. Widać było, że się w nim burzyło wszystko. Hebda słuchał obojętnie.

— Kiedyż mi puścicie wasz gródek? — zapytał — bo ja tu urzędnika mojego do odbioru

zostawić muszę.

Nikosz się trochę nasrożył.

— Wypędzacie mnie — rzekł — pilno się mnie im pozbyć. I, chwilę podumawszy, rzekł ze złością:

— Za dzień, za dwa wozy moje gotowe będą. Byłem zaraz tamtę ziemię dostał, pójdę stąd, pójdę bez żalu...

— Ziemię król przeznaczył i rozkazy a pisanie dostaniecie w Krakowie — rzekł wojewoda.

To powiedziawszy, wstał zaraz Hebda i, przynaglając jeszcze, począł iść do konia.

Razem wyszli w podwórze, gdzie już urzędnik czekał, który miał pozostać, aby mu zamek był zdany.

Nikosz uśmiechnął się, spojrzawszy na tego przystawa, którego mu dawano. Nie opierał się.

Wojewodę do wrót odprowadziwszy z pychą wielką, do swej izby powrócił.

Hebdzie pilno było, więc ledwie do Surdęgi zajechawszy z dobrą nowiną, nie patrząc nocy, która nadchodziła, natychmiast dalej pociągnął.

Radość była wielka, jak by wszystkim z serca kamień spadł. Króla pod niebiosą wnoszono.

Teraz dopiero swobody zażyć mieli, wrota otworzyć, zbyć się nieustannej trwogi. Florian z ojcem naprzód już układali, jak ziemię, której obszar był znaczny, osadzać będą, gdzie młyn pobudują, jak w lasach z barciami się rozgospodarują, bo pszczoł był dostatek, a z nich ziemianinowi najwięcej grosza płynęło. Domna, uśmiechając się, mówiła:

— Barcie dobre, ale sen spokojny jeszcze lepszy!

Stary Dalibór niemal po całych dniach na wyżkach stał, wypatrując, kiedy się ten Nikosz w drogę wybierać zacznie.

Przez trzy dni nic widać nie było, czwartego otwarły się wrota, wozy poczęły wyciągać,

potem stado pędzili, dalej ludzie szli i jechali całym obozem — kobiety i dzieci. Droga najprostsza byłaby im musiała iść koło Surdęgi, ale umyślnie sobie dalszą i gorszą wybrali, aby się im nie przypatrywano i nie urągano.

Do wieczora ciągle się jeszcze coś z Wilczej Góry wlokło, aż nareście i psa nie zostało.

Urzędnik dał znać, żeby przybywano, bo nikogo nie było. Włodarz posłany, bo ojcu i synowi nie było

pilno, zastał pustkę jak po Tatarach i urzędnika, który już się w drogę wybierał, podarku nie czekając, bo mu pobyt u Nikosza dokuczył.

Florian nie spieszył do nowej posiadłości, ludzi tylko wysłał, aby gródek osadzili i opatrzyli wszystkie kąty. Dalibór chciał się sam wybrać, lecz syn go, po rękach całując, zatrzymał.

— Diabeł tam mieszkał długo — rzekł. — Poślemy naprzód po księdza, niechaj wszystkie kąty poświęci i oczyści słowem bożym.

Natychmiast więc włodarz z wozem po wikarego pojechał i nazajutrz owo gniazdo plugawe pokropiono wodą święconą, aby je dla Szarych przystępnym uczynić. Mogli więc już jechać bezpiecznie, lecz Florian się i teraz nie kwapił. Odłożyli do jutra.

Szli tedy spocząć i Dalibór w swojej izbie właśnie miał się do snu położyć, bo zawsze najpóźniej szedł na spoczynek, a wstawał najraniej, gdy przez szczeliny okiennicy dostrzegł promyk jakiś, jak by na dworze coś świeciło. Odsunął prędko okienniczkę i stanął przerażony.

Ogromna łuna gorzała na niebie. Nie mógł się w początku z przestachu opamiętać, gdzie pożar się wszczął, i zląkł o samą Surdęgę. Ale ogień, choć bliski, zza wałów się ukazywał. Wtem i stróże poczęli wołać: Gore!

Płonęły zabudowania na Wilczej Górze, do których już z wiosek biegli ludzie na ratunek.

Ani oni jednak, ani ci, co na zamku byli, ogniowi straszному nie mogli dać rady ani się nawet zbliżyć do niego. Zabudowania podpalone na wszystkie cztery rogi, gdyż pakuły i smołę

poznajdowano pod ścianami, gorzały tak szybko, iż ci, co w izbach spać się pokładli, ledwie uszli z życiem.

Nie dość na tym. Chałupy i szopy na podzamczu, które dla nowych osadników służyć miały, płonęły też wszystkie i do rana nie zostało z nich nic oprócz kupy popiołów.

Ostatnia to była zemsta Nikosza Bąka, który, wszystko zdawszy w całości, postarał się o to, aby po nim Szary nie wziął nic oprócz pustki i zgliszcza.

— Kat go bierz — zawołał Florian, patrząc na pogorzeli z dala. — Ja na tej górze nie pobuduję nic. Niechaj pustką stoi, a świadczy na wiek wieków o miłym sąsiedzie!



Było to w roku następnym 1332, na dni kilka jakoś przed uroczystością narodzin świętego Jana Chrzciciela. Florian z ojcem i żoną brata Leliwę i kilku ziemian przyjmowali u siebie.

Powieściom o zwycięskiej owej wyprawie starego króla pod Płowce nie było końca. Bo gdziekolwiek się Szary ukazał, nie dawano mu spokoju, zagadując go o to, co widział, słyszał, czego naówczas był świadkiem.

Mówiliśmy już, że owe trzy włócznie krzyżackie, które mężnego rycerza przebodły, wziął on był sobie do szczytu, a że stary swój w Krakowie przemaalować kazał. Opatrywano tarczę nową, skórą ociągniętą i gwoździ złościstymi obitą, na której dosyć misternie skrzyżowały się trzy kopie.

Zawołanie też rodu z Koźlarogów zmieniło się na Jelita, aby dzieci i wnuki pamiętały, czym swój szczyt opłacił nowy.

Setny może raz Szary powtarzać musiał, jak to król długo potajemnie za Krzyżakami chodzić musiał, wyczekując chwili, gdy się pomścić będzie mógł za kraju zniszczenie, jak wojewodę Wincza pocziwa żona odwiodła od zdrady, z królem pojednała, skłoniła go, aby Krzyżaków porzucił.

— Święta to niewiasta — mówił Florian. — Nie żałowała trudu, nie zważała na niebezpieczeństwa i męża ocaliła od sromu, a król z jego pomocą pokonał Krzyżaków.

— Prawda to — odparł Leliwa — że juści po trosze to złe, które uczynił, naprawił. Król mu przebaczył, zatarło się niby — ano szlachta wielkopolska nie zapomniała mu, że z Krzyżakami majątności jej najeżdżał. Po tym, com słyszał, w skórze jego do dziś dnia bym nie chciał być.

— Mój bracie — odezwał się Florian — ziemianie nasi, prawda, na razie krwi są bardzo gorącej i, gdy ona w nich zakipi, rąbać i zabijać gotowi, ale też nikt tak prędko nie ostyga jak my.

Wojewoda do domu powrócił, ludzie z lasów też i na nowo poklecieli chaty. Straty się po troszę zapomniały — dadzą mu pokój.

Ma to za sobą Wincz, że krzyżackiemu łupiestwu na żaden sposób zabieżeć nie mógł.

— Ale się na nie patrzył, ale z nimi chodził — dodał Leliwa. — Nałęczcie nie Nałęczcie gromy nań ciskają — on wszystkiemu winien. On! Mówię ci, w skórze jego nie chciałbym być. Z dobrego to źródła wiem, że się nań naposiedli i że go zgładzą, a z nim wszystkich, kto żyw...

Florian się porwał z siedzenia niespokojny.

— Niechże Bóg uchowa! — zawołał. — Gdybym wiedział, że mu grozi w istocie niebezpieczeństwo, jemu i Halce pobiegłbym na pomoc, bo mi tej kobiety żal okrutny.

Leliwa głową pokręcił.

— Niewiele byś tam pomógł — rzekł. — To wiem, że nań spisek jest, że ludzi do niego należy siła i że im nie ujdzie! Grzymała opowiadał, niedawno powróciwszy ze zjazdu ziemian, który we Środzie był, iż tam się sprzysięgali nieprzyjaciele wojewody krzywd swych na nim powetować. Zdrajcy łeb ściąć, z rodziny nikogo nie szczędzić i wszystko z dymem puścić.

Szary się wzdrygnął.

— Jeżeli tak jest — rzekł — jutro na koń z ludźmi siadam i do Pomorzan muszę.

Rzucili się mu wszyscy odradzać, poczynając od ojca, ale Szary twardo przy swoim stał.

— Nie może to być, abym naszą powinowatę, która mnie chorego pielęgnowała i do domu wiozła, opuścił. Pomogę nie pomogę, powinność spełnię.

Domna nie mówiła nic, błagająco patrzyła na męża. Dalibór rozjątrzonego łagodził.

— Bajki plotą — szeptał cicho. — Darmo się zerwiesz, a i ludzi sobie narazić niedobrze.

Dać temu pokój. Palca we drzwi wkładać nie trzeba.

Florian milczał, lecz po wyjeździe Leliwów drugiego dnia w drogę się wybierać zaczął.

Ludzi dobrał sobie zbrojnych kilkunastu, żonę pożegnał, ojca i ruszył najprostszymi drogami na noc całą.

O sześć mil od domu przyszło spocząć. W gospodzie siedzieli podróżni przy piwie. Jechali do swoich do Sieradzia, a byli Wielkopolanie.

— Co tam słyhać koło Poznania? — zapytał Szary. Wąsaty, gruby ziemianin śmiać się począł dziko.

— Dobrze słyhać, dobrze! — rzekł, panosząc się i w bok biorąc. — Łotrom łby ścinają, aby drudzy się kajali.

— Jakim? Komu? — rzekł Florian, poblądłszy nieco.

— Tak ci jest, tak — ciągnął dalej podróżny. — W samą wigilię narodzenia świętego Jana

Chrzciela nasi najechali na dwór w Pomorzanach i stała się sprawiedliwość. Zdrajcę wojewodę posiekano w kawałki, nie zostało żywej duszy, dwór spalono... Kara boża, choć przez ręce ludzkie.

Tak niech wszystkim zdrajcom bywa. Amen.

# Document Outline

- [TOM PIERWSZY](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)
- [TOM DRUGI](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)
- [X](#)
- [XI](#)